

Kieraciński:
Konflikt w Akademii Piotrkowskiej

Szymański, Kupisz:
Ewaluacja szkół doktorskich

Masnyk:
Uniwersytet w małym mieście

FORUM

AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 2/2024

PL ISSN 1233-0930 22 zł (VAT 8%)



Wiwisekcja Wielkiego Brata

Nowak-Dziemianowicz:
Wolność czy przymus?

Kowalczyk-Wesołowska:
Czarownice dawnych wieków

Żwanko:
Polscy architekci w Dnieprze

Zostań ekspertem programu Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki

Narodowe Centrum Badań i Rozwoju (NCBR) poszukuje osób posiadających umiejętności i kwalifikacje do uczestnictwa w działaniach instytucji w największym programie wsparcia innowacyjności w Polsce – Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki (FENG) 2021-2027. Centrum zaprasza specjalistów ze sfer naukowych, przemysłowych, finansowych, gospodarczych i społecznych do nawiązania współpracy – trwa nabór na ekspertów programu.

Narodowe Centrum Badań i Rozwoju jako kluczowy ośrodek wspierania i tworzenia innowacyjnych rozwiązań technologicznych i społecznych, kreuje ekosystem wiedzy i informacji na ich temat. Inicjuje i realizuje przedsięwzięcia przyczyniające się do cywilizacyjnego rozwoju kraju. Aby jak najlepiej wykonywać swoje obowiązki, Centrum współpracuje z ekspertami z Polski i z zagranicy, którzy merytorycznie wspierają działalność instytucji. Obecnie NCBR prowadzi nabór na ekspertów, którzy mieliby uczestniczyć w ocenie spełnienia kryteriów wyboru projektów, rozpatrywać protesty, opiniować zmiany w projektach czy monitorować postępy w realizacji projektów w programie Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki.

– Eksperci, a w szczególności ich wiedza, doświadczenie i opinie, są istotnym elementem procesu tworzenia innowacji przez polskich przedsiębiorców i naukowców. Mają decydujące znaczenie dla przyznania, wstrzymania lub zmiany finansowania projektów. Z tego względu zależy nam na najwyższej jakości pracy ekspertów, zarówno pod względem merytorycznym, jak i etycznym – powiedział Piotr Krasiński, zastępca dyrektora Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.

Osoby, które zostaną zakwalifikowane do grona ekspertów NCBR mają możliwość zdobycia unikalnego doświadczenia w procesie tworzenia innowacji poprzez realny wpływ na rozwój konkurencyjności polskiej gospodarki i nauki. Otrzymują zaświadczenie o współpracy z NCBR oraz wynagrodzenie za wykonaną pracę.

Kto może zostać ekspertem?

Zainteresowani statusem eksperta FENG, w zależności od posiadanej wiedzy, umiejętności, doświadczenia lub uprawnień, mogą ubiegać się o status eksperta branżowe-

go, eksperta finansowego lub w obu tych zakresach. Każdy aplikujący musi posiadać co najmniej wykształcenie wyższe oraz wiedzę i udokumentowane doświadczenie zawodowe (znajomość nowoczesnych technologii stosowanych na świecie umożliwiające ocenę potencjału rynkowego i innowacyjności; problematyki ochrony własności intelektualnej; realiów gospodarczych i uwarunkowań prawnych) w dziedzinie, do której aplikuje. Musi również spełnić wymagania formalne jak np. korzystanie z pełni praw publicznych, posiadanie pełnej zdolności do czynności prawnych czy nie pozostawanie w stosunku pracy z Instytucjami Pośredniczącymi lub Instytucją Zarządzającą FENG. Niezbędne jest również posiadanie aktywnego kwalifikowanego podpisu elektronicznego.

Elektroniczna aplikacja

W pierwszej kolejności, każdy kandydat musi zarejestrować się w systemie InfoExpert, podając wymagane informacje wraz z dokumentacją poświadczającą wykształcenie oraz doświadczenie. Następnie należy wykonać obowiązkowe szkolenia e-learningowe (3 szkolenia antykorupcyjne CBA, podstawowe szkolenie NCBR „Kim jest ekspert NCBR?” oraz szkolenie z zakresu oceny w nowej perspektywie finansowej na lata 2021-2027). W kolejnym etapie Komisja Kwalifikacyjna FENG weryfikuje każdą kandydaturę pod kątem formalnym i merytorycznym na bazie kryteriów określonych w regulaminie naboru. Po uzyskaniu pozytywnej oceny, kandydaci otrzymają zaproszenie do podpisania Umowy ramowej FENG, na bazie której będą mieli możliwość wykonywania zadań zleconych przez NCBR. Po podpisaniu umowy, każda osoba wpisywana jest do dostępnego publicznie Wykazu Ekspertów FENG, znajdującego się na stronie internetowej NCBR.

Nabór na ekspertów FENG ma charakter ciągły i trwa do momentu opublikowania informacji o jego zakończeniu (nie później niż 2 tygodnie przed jego zakończeniem), nie dłużej jednak niż do końca okresu wyboru projektów do dofinansowania w ramach FENG.

Wszelkie niezbędne informacje nt. naboru (regulamin naboru, wzór umowy, obowiązujące wytyczne dla ekspertów) znajdują się na stronie gov.pl/ncbr.



Nowy rok
i nowa szansa
Zostań ekspertem FENG!

Fundusze Europejskie

INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
Drugi pierwszy rektor – Piotr Kieraciński	6
Debata po akcji „Nauka do naprawy”	8
Preferencje publikacyjne: świat i Polska – Wit Grzesik	10
Uniwersytet Opolski: 30 lat	12
Staroświecki przepis – Marek Kosmułski	13
Jak lepiej żyć? – Ewelina Marek-Andrzejewska, Marta K. Nowak, Viktoria Takacs, Piotr Tryjanowski	14
Zacieśnić kontakty z Wyspami – Agnieszka Gawda	16
Transfer wiedzy: konieczna zmiana systemu ewaluacji	17
Nauka i przedsiębiorczość – Leon Gradoń	18
Nowi profesorowie	48

ROZMOWA FORUM

Wszystko zacznie się w październiku – rozmowa z prof. Filipem M. Szymańskim, przewodniczącym KEN oraz prof. Dariuszem Kupiszem, przewodniczącym zespołu ds. ewaluacji szkół doktorskich KEN	20
Medycyna to koło napędowe uczelni – rozmowa z prof. Markiem Masnykiem, rektorem Uniwersytetu Opolskiego	23

CENZURA JAKO PRZEDMIOT BADAŃ

Badania filologiczne nad cenzurą w PRL-u – Kamila Budrowska	26
Twórcy wobec cenzury w PRL – Zbigniew Romek	29
Cenzura po polsku – Piotr Nowak	33
Cenzura w PRL – Kamila Kamińska-Chełminiak	36

ŻYCIE NAUKOWE

Ewaluacja do resetu – Tomasz Kozłowski	40
---	----

Z archiwum nieuczciwości naukowej (205)

Profesorski plagiat na plecach magistranta-plagiatora – Marek Wroński	44
--	----

ŻYCIE AKADEMICKIE

Wspólnota sensu, przedsiębiorstwo czy fabryka? – Mirosława Nowak-Dziemianowicz	49
---	----

Studencka samorządność – Zbigniew Drozdowicz	52
---	----

Publikuj lub giń

Mów do mnie – Marek Misiak	55
-------------------------------------	----

Z LABORATORIÓW

200 lat polskiej bajki dla dzieci – Marcin Lutomiński	58
Na tropie staropolskiej wiedźmy – Sabina Kowalczyk-Wesołowska	61
Sztuczna inteligencja oszczędzi czas lekarzowi – Artur Wolski	65

W STRONĘ HISTORII

Polskie dynastie architektoniczne w Dnieprze (Jekaterynosławiu) – Lubow Żwanko	68
---	----

Portrety nauki polskiej

Henryk Paszkiewicz i „trylogia ruska” – Marcelina Smużewska	73
--	----

OKOLICE NAUKI

Książki	48
Książki nadesłane	48
Kulturalnych ludzi szacunek nie trudzi – Marek Misiak	77
O Rety(k)! – Jacek Hnidiuk	77
Straceni dla Polski – Bogdan Bernat	78
„Kolonialne jądro” – Zbigniew Chojnowski	78
Życie i dzieło architekta – Juliusz Gałkowski	79
Rola życia – Aneta Zawadzka	79

FELIETONY

Szkiełko w oku	76
Warsztaty literackie, a szczególnie poetyckie – Piotr Müldner-Nieckowski	76

Na marginesach nauki

Zagęszczenie – Leszek Szaruga	80
--	----

Projekt okładki – Sławomir Makal	
---	--

Ruszył maraton wyborczy

POLSKA Rozpoczęły się wybory rektorów na kadencję 2024–2028. Poznaliśmy już czterech nowych sterników uczelni. W Państwowej Akademii Nauk Stosowanych im. ks. Bronisława Markiewicza w Jarosławiu zarządzać będzie dr n. hum. Beata Rejman, żona dotychczasowego rektora. Akademią Wychowania Fizycznego im. Jerzego Kukuczki w Katowicach pokieruje prof. Andrzej Małecki (na fot.), AWF w Poznaniu prof. Jacek Zieliński, a AWF we Wrocławiu dr hab. Tadeusz Stefaniak. W kolejnych pięciu uczelniach doszło do reelekcji, w wyniku której w fotelu rektora pozostaną: dr Dariusz Skalski (ANS w Wałczu), prof. Paweł Cieszyński (AWFiS Gdańsk), prof. Piotr Stepnowski (Uniwersytet Gdański), dr hab. Donat Mierzejewski (ANS w Pile), prof. Piotr Ponikowski (Uniwersytet Medyczny we Wrocławiu). Wybory odbywają się w tym roku we wszystkich 131 publicznych uczelniach.



NCBR znów przy nauce

WARSZAWA Minister nauki ponownie sprawuje nadzór nad Narodowym Centrum Badań i Rozwoju. To powrót do sytuacji sprzed sierpnia 2022 roku. W efekcie pozwoli to na sprawne i skuteczne realizowanie przez NCBR zadań z zakresu polityki naukowej państwa, takich jak zarządzanie strategicznymi programami badań naukowych i prac rozwojowych, pobudzanie inwestowania przez przedsiębiorców w działalność naukową czy wspieranie komercjalizacji wyników badań naukowych lub prac rozwojowych oraz innych form ich transferu do gospodarki. NCBR będzie także musiało uzyskać zgodę szefa resortu nauki na powoływanie m.in. spółek czy obejmowanie oraz nabywanie udziałów i akcji. Narodowe Centrum Badań i Rozwoju jest agencją wykonawczą, która realizuje politykę naukową i innowacyjną Polski. Zostało utworzone w 2007 roku. Od sierpnia 2022 r. nadzór nad jednostką sprawował minister rozwoju regionalnego.

Nowy szef Rady NAWA

WARSZAWA Politolog dr Bartłomiej Nowak został przewodniczącym Rady Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej. Był prezesem Grupy Uczelni Vistula (2020–22), szefem Katedry Stosunków Międzynarodowych AFiB Vistula (2014–



2017), a także dyrektorem wykonawczym Centrum Stosunków Międzynarodowych (2010–2013). Przewodniczył Radzie Programowej Stowarzyszenia Narodów Zjednoczonych w Polsce (UNAP). Obok niego minister nauki powołał do Rady NAWA dr. hab. Adama Gendźwiłła. Rada jest jednym z dwóch (obok dyrektora) organów Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej. Do jej zadań należy przygotowywanie propozycji wieloletnich kierunków działań i rozwoju agencji, opiniowanie sprawozdań z jej działalności, a także dokonywanie okresowej oceny realizacji planów działania. We współpracy z MNiSW gremium aktywnie włączy się również w prace nad krajową strategią umiędzynarodowienia nauki i szkolnictwa wyższego.

Przekonać rynek

POZNAŃ Dr hab. inż. Krzysztof Fic z Politechniki Poznańskiej został laureatem grantu ERC Proof of Concept. Na realizację 18-miesięcznego projektu otrzymał 150 tys. euro. To kontynuacja otrzymanego w 2017 roku ERC Starting Grant, pierwszego w Polsce realizowanego na uczelni o profilu technicznym. Miał pomóc w zrozumieniu mechanizmów starzenia elektrod węglowych, interakcji na granicy faz elektroda/elektrolit, jak również opracowaniu systemu magazynowania energii, w którym odkryte i opisane procesy starzenia zachodziłyby znacznie wolniej. Rezultaty okazały się na tyle interesujące, że zdecydowano się na zbadanie ich potencjału komercyjnego. Teraz poznański naukowiec będzie próbował przekonać rynek magazynów energii do atrakcyjności swojego rozwiązania – nowoczesnego kondensatora elektrochemicznego, cechującego się wysoką energią i mocą właściwą oraz dużą trwałością cykliczną. To już 80 grant ERC, który trafił do Polski. Na tę liczbę składa się: 45 Starting Grants, 18 Consolidator Grants, 9 Advanced Grants, 7 Proof of Concept Grants i 1 Synergy Grant.



Trzy granty instalacyjne

BRUKSELA Troje Polaków otrzymało prestiżowe granty Europejskiej Organizacji Biologii Molekularnej. Dzięki EMBO Installation Grant własne niezależne laboratoria utworzą dwie badaczki Międzynarodowego Instytutu Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie: dr



Ewelina Małecka-Grajek (bada zależności między procesami zachodzącymi w środowisku bakterii) i dr Aleksandra Kołodziejczyk (zajmuje się rolą mikroflory w progresji chorób wątroby) oraz dr Maciej Cieśla z Międzynarodowego Instytutu Mechanizmów i Maszyn Molekularnych Polskiej Akademii Nauk (bada molekularne podłoże przemiany komórek macierzystych w nowotworowe). Wszyscy dostaną po 50 tys. euro rocznie na okres 3–5 lat, oprócz tego mogą ubiegać się również o dodatkowe finansowanie w wysokości do 10 tys. euro rocznie. Od 2006 roku EMBO przyznała już 147 Installation Grants, z czego 34 polskim naukowcom.



Heweliusze dla anglisty i chemiczki

GDAŃSK Po raz 36 przyznano Nagrody Naukowe Miasta Gdańska im. Jana Heweliusza. W tym roku otrzymali je uczeni z Uniwersytetu Gdańskiego: anglista prof.



Artur Blaim za badania konstrukcji i sposobów funkcjonowania utopijnych modeli świata w literaturze, kulturze i życiu społecznym oraz oceanografka i chemiczka prof. Hanna Mazur-Marzec za identyfikację metabolitów mikroorganizmów i określenie ich znaczenia środowiskowego oraz potencjału biotechnologicznego i medycznego. Popularne „Heweliusze”, zwane też Pomorskimi Noblami, wręczone są od 1987 roku. Trafiły już w ręce 57 osób, reprezentantów gdańskiego środowiska naukowego w dowód uznania za ich wybitne osiągnięcia. Laureaci otrzymują dyplom, statuetkę Heweliusza autorstwa prof. Jana Szczypki oraz 20 tys. zł.

Na rzec obcokrajowców

POZNAŃ Prof. Andrzej Jajszczyk z AGH został uhonorowany specjalną nagrodą „Distinguished Star” przyznaną przez „Perspektywy” w konkursie „Gwiazdy Umieędzynarodowienia” programu „Study in Poland”



Fot. Perspektywy

za zasługi dla umieędzynarodowienia polskiego szkolnictwa wyższego i nauki. Gwiazdami Umieędzynarodowienia zostali ponadto: prof. Jerzy Duszyński (Polska Akademia Nauk), Tomasz Orłowski (Krakowska Akademia Andrzeja Frycza Modrzewskiego), prof. Bogusława Drelich-Skulka (Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu), dr hab. Paweł Kaczmarczyk (Uniwersytet Warszawski), dr Katarzyna Świerk (Uniwersytet Gdański), prof. Krzysztof Walkowiak (Politechnika Wrocławska), Olga Vakhrina (Politechnika Poznańska), Katarzyna Specjalska (SGGW). Poznaliśmy także laureatów konkursu INTERSTUDENT: studia lic. – Illia Podorov z Ukrainy (Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie), studia mgr – Heybat Naghiyev z Azerbejdżanu (UW), doktorat – Waheed Adewale Rasaq z Nigerii (UPWr). Nagrody wręczono podczas konferencji „Studenci zagraniczni w Polsce 2024” na Politechnice Poznańskiej.

Miliony dla humanistów

WARSZAWA Ponad 60,7 mln zł przyznano w ubiegłym roku laureatom konkursów Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Środki te trafiły do 37 podmiotów, w tym do 16 uczelni publicznych, 3 niepublicznych, 2 kościelnych, 4 instytutów Polskiej Akademii Nauk i 11 innych instytucji (instytucji kultury, towarzystw naukowych, fundacji i stowarzyszeń). Najwięcej otrzymały: Uniwersytet Wrocłowski (5,2 mln zł), Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej (4,9 mln zł) oraz Instytut Pileckiego (4,8 mln zł). Następnie: Akademia Ekonomiczno-Humanistyczna w Warszawie (4,7 mln zł), Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego (4 mln zł), Instytut Historii im. Tadeusza Manteuffla Polskiej Akademii Nauk (3 mln zł), Fundacja „PRO FUTURO THEOLOGIAE” (2,6 mln zł), Akademia Zamojska (2,4 mln zł) i Uniwersytet Śląski (2,2 mln zł).

Studenci innowatorzy

KIELCE Hybrydowy układ napędowy bezzałogowego statku powietrznego o dużym udźwigu, egzoskielet rehabilitacyjny, sposób otrzymywania biomateriału kośćczastępczego w postaci hybrydowych granul, modyfikowane pochodne aminokwasowe do leczenia chorób o podłożu neurologicznym oraz wybranych zaburzeń psychiatrycznych i sposób otrzymywania hybrydowego nośnika substancji aktywnych należących do grupy leków przeciwnowotworowych – to wynalazki nagrodzone w XIV konkursie „Student-Wynalazca”. Nadesłano 123 zgłoszenia od 247 twórców z 21 uczelni. Wśród najaktywniejszych znaleźli się młodzi innowatorzy z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu (24 rozwiązania), Akademii Górniczo-Hutniczej (22) i Politechniki Wrocławskiej



Fot. PIS

(21). Do wszystkich dotychczasowych konkursów ponad 2,9 tys. wynalazców zgłosiło już w sumie 1423 pomysły.

Pomorska stacja

GRZMIĄCA Nowoczesna stacja badawczo-dydaktyczna dla potrzeb Uniwersytetu Pomorskiego w Słupsku powstanie w miejscowości Grzmiąca. Naukowcy, studenci i doktoranci zrealizują w niej swoje projekty i prace badawcze. Dla biologów miejscowe liczne wąwozy z bogatą fauną oraz florą to idealne miejsce do badań. Znajduje się tam m.in. jedno ze stanowisk w projekcie służącym opracowaniu metod zwalczania inwazyjnych gatunków obcych. Inne już prowadzone badania mają na celu zredukowanie ilości pestycydów stosowanych w rolnictwie. Obiekt zostanie wyposażony w nowoczesny



Fot. UP

sprzęt badawczy. W obiektach stacji znajdują się sale wykładowe, sala szkoleniowa, laboratorium oraz pomieszczenia gospodarcze i administracyjne. Powstaną też pokoje z łazienkami oraz wspólne zaplecze socjalne (kuchnia i jadalnia). Placówka włączy się w tworzenie sieci współpracy oraz opracowywanie i wdrażanie innowacyjnych rozwiązań (inteligentnych specjalizacji) w obszarze zrównoważonego rozwoju, w tym: energetyki, rolnictwa, zarządzania i ochrony środowiska.

Rok Edukacji Ekonomicznej

WARSZAWA W Senacie zainaugurowano obchody Roku Edukacji Ekonomicznej. Ustanowiono go dla przypomnienia znaczenia ważnych dla Polski rocznic: 100-lecia reform gospodarczych Władysława Grabskiego, 100-lecia powstania polskiego złotego, 100-lecia założenia Banku Polskiego oraz Banku Gospodarstwa Krajowego, 100-lecia wydania książki Janusza Korczaka *Bankructwo małego Dżeka*. Będzie to także okazja do pokazania znaczenia edukacji ekonomicznej we współczesnym świecie. Inicjatywa była możliwa dzięki zaangażowaniu 6 organizacji pozarządowych od lat podejmu-



Fot. MIBSW

jących wspólnie z sektorem finansowym działania w celu podniesienia poziomu świadomości związanej z finansami: Warszawskiego Instytutu Bankowości, Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, Związku Harcerstwa Polskiego, Fundacji GPW, Fundacji Młodej Przedsiębiorczości oraz Fundacji Rodziny Czeczpyńskich.

Budują ekranoplan

GDAŃSK Bezzałogowy ekranoplan, czyli samolot, który leci nisko nad wodą, wykorzystując efekt przypowierzchniowy, konstruuje Politechnika Gdańska, Wojskowa Akademia Techniczna im. Jarosława Dąbrowskiego i Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych. To pierwsza tej wielkości i tego typu jednostka na świecie, a jej głównym celem ma być wsparcie działań morskich oddziałów wojska. Będzie miała napęd turbośmigłowy, uniesie się nad wodą na wysokości kilku metrów, ma ważyć maksymalnie 400 kg. Będzie sterowana zdalnie z brzegu. Prototyp powstanie do 2026 roku, a tworzący jest z włókien szklanych



Fot. PIG

i węglowych z materiałem przekładkowym z innych tworzyw sztucznych. Efekt przypowierzchniowy, wykorzystywany np. przez czaple, żurawie czy pelikany, polega w tym przypadku na zwiększeniu siły nośnej samolotu poruszającego się na niewielkiej wysokości nad ziemią bądź wodą (przyjmuje się wysokość równą połowie rozpiętości skrzydła). Skrzydła wytwarzają wtedy większą siłę nośną niż podczas lotu na większej wysokości.

UMK w polarnym konsorcjum

LONGYEARBYEN Stacja Polarna Uniwersytetu Mikołaja Kopernika na Spitsbergenie weszła w skład konsorcjum POLARIN zrzeszającego 50 partnerów posiadających światowej klasy infrastrukturę w regionach podbiegunowych. Grupuje ono m.in. arktyczne i antarktyczne stacje badawcze, statki badawcze i lodołamacze działające na obu biegunach, obserwatoria, infrastruktury danych oraz repozytoria rdzeni lodowych i osadowych. W sumie to 64 polarne infrastruktury naukowe, które przyczyniają się do zrozumienia i przewidywania wpływu zmieniającego się klimatu na: lód morski i oceany polarne, zmiany poziomu morza, stabilność i topnienie lodowców, bilans

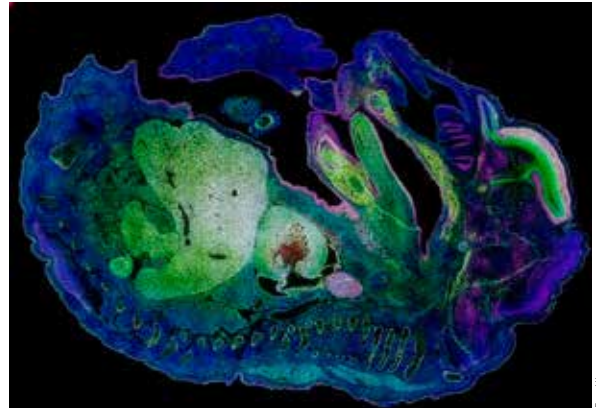


Fot. Ireneusz Sobota

węglowy i wieloletnią zmarzlinę, ekosystemy polarne i różnorodność biologiczną, dynamikę atmosfery oraz procesy (paleo)klimatyczne. POLARIN koncentruje się na regionach, które są szczególnie narażone na zmiany klimatu, takich jak: Grenlandia, Svalbard czy Półwysep Antarktyczny.

Zobacz niewidzialne

ŁÓDŹ Pierwszy w Polsce mikroskop wyposażony w system Leica MICA WideField, który pozwala na uzyskanie bardzo czystych i dokładnych obrazów, został zainstalowany na Uniwersytecie Łódzkim. Tym samym uczelnia stała się pionierem w dziedzinie zaawansowanych technik mikroskopowych. Sprzęt jest wyposażony w moduł Thunder o bardzo wysokiej rozdzielczości. Pozwala na obser-



Fot. UK

wowanie obiektów większych niż pojedyncze pole widzenia obiektywu w rozdzielczości konfokalnej, co umożliwia szczegółową wizualizację badanych próbek w osiach XYZ i ich rekonstrukcję do obrazów 3D. Automatyczne skanowanie preparatów pozwala na wykonanie dużej liczby badań przesiewowych, co jest niezbędne np. do oceny produktów leczniczych. System Leica MICA WideField pozwala nie tylko na wizualizację komórek, ale także na szybkie obrazowanie dużych fragmentów tkanek. Nowy sprzęt przyda się do kontynuacji badań nad modelem naśladującym ludzką skórę czy zastosowaniem nanocząstek w produkcji szczepionek, terapii nowotworów i chorób neurodegeneracyjnych.

Nowy dyrektor od pogody

WARSZAWA Prof. Robert Czerniawski z Uniwersytetu Szczecińskiego (na fot. z prawej) został powołany na stanowisko dyrektora Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej – Państwowego Instytutu Badawczego. Jest siódmą osobą zawiadującą tą



Fot. MI

placówką od momentu jej powstania w 1972 roku. Jest ekologiem wód płynących i stojących, ichtologiem oraz hydrobiologiem, a także specjalistą w zakresie transportu materii organicznej w rzekach. W pracy naukowej zajmuje się głównie wpływem antropogenicznym przekształceń zlewni i koryt rzek oraz zanieczyszczeń wód na funkcjonowanie ekosystemów wodnych i zasobów wód w dobie zmian klimatu. Sieć pomiarowo-obszaryjna i badawcza IMGW obejmuje całą Polskę i liczy 2 tys. naziemnych punktów pomiarowych, ponad 850 stacji klimatologicznych i opadowych, ponad 850 stacji wodowskazowych, 63 stacje hydrologiczno-meteorologiczne, 3 stacje aerologiczne, 8 radarów meteorologicznych, 12 stacji detekcyjnych lokalizujących wyładowania atmosferyczne. Z instytutem związanych jest blisko 1400 specjalistów i ekspertów. IMGW podlega Ministerstwu Infrastruktury.

Polski rodzynek w EBRAINS

BELGIA Poznańskie Centrum Superkomputerowo-Sieciowe afiliowane przy Instytucie Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu zostało pełnoprawnym członkiem EBRAINS – nowej cyfrowej infrastruktury badawczej. Jej celem jest przyspieszenie badań nad mózgiem dzięki udostępnianiu danych, tworzeniu atlasów, modelowaniu, symulacji obliczeń o wysokiej wydajności, analizie dużych zbiorów danych, neurorobotyki, obliczeń neuromorficznych i innych. W działaniach EBRAINS, która liczy 10 członków i 45 członków stowarzyszonych,

polские jednostki nie brały do tej pory udziału. PCSS rozwija technologie symulacji obliczeniowych, uczenia maszynowego, analiz BigData, cyfrowych bliźniaków, zaawansowanej wizualizacji. Jednym z kierunków rozwoju jest rozszerzanie zakresu prowadzonych badań o zastosowanie infrastruktury superkomputerowej i sztucznej inteligencji w naukach o mózgu.

Naukowy Śląsk

KATOWICE List intencyjny w sprawie powołania „Programu naukowego dla Śląska” podpisały uczelnie wchodzące w skład Konsorcjum Akademickiego „Katowice-Miasto Nauki” oraz Centrum Łukasiewicz. To kolejny element zacieśniania współ-



Fot. Łukasiewicz

pracy pomiędzy katowickimi uczelniami. Współpraca została zainicjowana staraniami o tytuł Europejskiego Miasta Nauki. Stolica Górnego Śląska, jako pierwsze miasto z Europy Środkowo-Wschodniej, dzierży tytuł właśnie w tym roku. „Program naukowy dla Śląska” ma na celu wsparcie uczestniczących w nim podmiotów szkolnictwa wyższego w doskonałości naukowej, poprzez ustanowienie mechanizmów dla jeszcze lepszego i efektywniejszego finansowania badań naukowych oraz rozwojowych. Ma być w szczególności poświęcony problemom transformacji regionu Śląska. Liderem konsorcjum jest Uniwersytet Śląski, zaś operatorem programu będzie Centrum Łukasiewicz.

Rezydencje w sieci

WARSZAWA Kolekcja 650 fotografii ukazujących rezydencje na kresach dawnej Rzeczypospolitej znajduje się w zbiorach Instytutu Sztuki PAN. To archiwum Romana Aftanazego. Wybitny polski historyk już w okresie międzywojennym roz-



począł dokumentowanie dworów i pałaców kresowych, gromadząc informacje od ówczesnych właścicieli i wykonując szczegółowe fotografie zabytków. Zgromadzony materiał zaprezentował w swoim monumentalnym dziele – jedenastotomowej monografii poświęconej dziejom rezydencji na Kresach Wschodnich. Kolekcja Aftanazego została zdeponowana w Zbiorach Fotografii i Rysunków Pomiarowych Instytutu Sztuki PAN w Warszawie. W ub.r. pierwsza część tego zasobu została zdigitalizowana i udostępniona online. Projekt zrealizowało Stowarzyszenie „Liber Pro Arte”.

Stypendium+ na badania podstawowe

KRAKÓW Stypendyści programu Fulbright Senior Award organizowanego przez Polsko-Amerykańską Komisję Fulbrighta po powrocie do kraju będą mogli kontynuować

współpracę z naukowcami ze Stanów Zjednoczonych, dzięki finansowaniu uzyskanemu z Narodowego Centrum Nauki. To efekt porozumienia między obiema instytucjami. Możliwość taką zapowiadał już pod koniec ub.r. w wywiadzie dla internetowego serwisu FA prof. Robert Hasterok, przewodniczący Rady NCN. Program FSA umożliwi osobom zatrudnionym w polskich instytucjach akademickich i naukowych realizację samodzielnych projektów badawczych lub badawczo-dydaktycznych w instytucjach w USA. Otwarty jest dla naukowców z doktoratem, reprezentujących wszystkie dyscypliny naukowe i na każdym etapie kariery. Laureaci mogą spędzić w instytucji goszczącej od 3 do 9 miesięcy. Środki na badania otrzyma dziesięcioro stypendystów, których projekty dotyczą badań podstawowych. Na realizację programu NCN przeznaczy maksymalnie 2 mln złotych. Nabór wniosków trwa do 5 czerwca.

Wiatr im niestraszny

KRAKÓW Laboratorium Aerodynamiki Środowiskowej powstało na Politechnice Krakowskiej. Kosztowało ponad 34 mln zł. To trzykondygnacyjny budynek o powierzchni 1665 m², w którym będzie można testować innowacyjne rozwiązania dla energetyki wiatrowej, rynku materiałów i produktów budowlanych. Autorsko zaprojektowana infrastruktura pozwoli na prowadzenie badań z zakresu inżynierii wiatrowej, inżynierii śniegowej i inżynierii środowiska, dotyczących m.in. przewietrzania miast, transportu zanieczyszczeń, dynamicznego



Fot. Jan Zych

oddziaływania na smog, systemów wymiany i regeneracji powietrza. Kluczowym wyposażeniem są dwa duże tunele aerodynamiczne o obiegu zamkniętym, każdy wyposażony w dwie przestrzenie pomiarowe i zróżnicowany system wentylatorów (o oryginalnej konstrukcji i geometrii, wibroizolowanych, z konfuzorami i dyfuzorami).

Pochód profesorów na liście dziedzictwa

KRAKÓW Tradycyjny przemarsz profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego został wpisany na krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego. To pierwsza inicjatywa akademicka wśród chronionych praktyk i zwyczajów. Pierwszy pochód odbył się 7 X 1886 r. Obecnie uczestniczą w nim przedstawiciele wszystkich 16 wydziałów uczelni, a każdy profesor nosi tożę o kolorze symbolizującym jego wydział. Przemarsz zamyka rektor uczelni, przed którym niesione są przez pedli najstarsze berła rektorskie w Europie. Trasa wiedzie ul. św. Anny, Plantami, uczestnicy zatrzymują się przy Collegium Novum, by złożyć wieńce pod Dębem Wolności, a następnie udają się do auli Auditorium Maximim, w którym odbywa się inauguracja nowego roku akademickiego.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Marcin Behrendt, Kamil Dziewit, Maciej Dzwonnik, Anna Korzekwa-Józefowicz, Marcin Kowalczyk, Agata Lipczik, Magdalena Nieczuja-Goniszevska, Małgorzata Syrda-Silwa

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej
www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku  
i na platformie X 

Drugi pierwszy rektor

Jest najmłodszą uczelnią publiczną w Polsce. Została utworzona 1 czerwca 2023 r. na mocy ustawy o utworzeniu Akademii Piotrkowskiej z dnia 9 marca 2023 r., a bazę dla niej stanowiła istniejąca w Piotrkowie Trybunalskim Filia Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, której początki sięgają 1981 r. Minister nauki Przemysław Czarnek powołał w czerwcu 2023 roku na stanowisko rektora APT (używam skrótu nazwy uczelni określonego w jej statucie w par. 3 punkcie 1.) dr. hab. Dariusza Roguta, prof. APT, który dobrał sobie współpracowników, w tym prorektora ds. studenckich i kształcenia dr. hab. Jacka Bonarka, prof. APT. Bardzo szybko w środowisku Akademii pojawiły się pierwsze poważne konflikty, niedociągnięcia wykazała władza uczelni kontrola Państwowej Inspekcji Pracy, a rektor Rogut w połowie listopada 2023 roku odwołał J. Bonarka z funkcji prorektora. Pojawiły się też wątpliwości, co do prawidłowości przeprowadzenia konkursów na stanowiska nauczycieli akademickich w uczelni, co opisał Dominik Szulc w artykule opublikowanym na portalu forumakademickie.pl.

Niespodziewanie 1 lutego 2024 r. (czwartek) rektor Dariusz Rogut złożył na ręce ministra nauki Dariusza Więcaszka lakoniczną informację o rezygnacji z funkcji rektora Akademii Piotrkowskiej. Na to pismo minister odpowiedział dwoma dokumentami, datowanymi na 2 lutego (piątek). W pierwszym w krótkich słowach stwierdził wygaśnięcie mandatu rektorskiego Dariusza Roguta: „W związku ze złożoną do Ministra Nauki rezygnacją z pełnienia funkcji pierwszego Rektora Akademii Piotrkowskiej (pismo z dnia 1 lutego 2024 r.) stwierdzam wygaśnięcie mandatu Rektora Akademii Piotrkowskiej – Pana dr hab. Dariusza Roguta”. W drugim, równie lakonicznym piśmie powołał na rektora Akademii Piotrkowskiej na okres od 2 lutego do 31 sierpnia 2024 roku dr. hab. Jacka Bonarka. Minister powołał się na artykuł 8 ust. 2 ustawy o utworzeniu Akademii Piotrkowskiej z dnia 9 marca 2023 r. Stanowi on, że „Pierwszego rektora Akademii powołuje minister właściwy do spraw szkolnictwa wyższego i nauki na kadencję trwającą do dnia 31 sierpnia 2024 r.” Oba pisma dotarły do Dariusza Roguta 5 lutego o godz. 15.10, co potwierdził odpowiednimi adnotacjami na tych dokumentach. W związku z pismem o wygaśnięciu mandatu D. Rogut odpisał ministrowi nauki, że zgodnie z art. 24 ust. 8 ustawy PSWN pełni obowiązki rektora „do dnia wygaszenia (. . .) mandatu przez przewodniczącego Kolegium Elektorów AP, który jest jedynym podmiotem, który w świetle owej ustawy może tego dokonać. Zgodnie z art. 24 ust. 7 ustawy (PSWN – red.) wyboru Rektora AP na okres do końca kadencji dokonuje Kolegium Elektorów”. Takiego jednak nie ma w Akademii Piotrkowskiej. Miało zostać ukonstytuowane do 18 lutego br. W swoim piśmie D. Rogut stwierdza, że minister powołuje i może odwołać tylko pierwszego rektora, „co w tym przypadku w sposób nie budzący wątpliwości nie zachodzi. [Minister] Nie ma również kompetencji stwierdzenia wygaśnięcia mojego mandatu ani powołania mojego następcy”. Zapowiada też podjęcie kroków prawnych wobec działań ministra nauki. Swoją zapowiedź realizuje następnego dnia przed południem, składając w piotrkowskiej prokuraturze zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez min. D. Więcaszka, o czym informuje mnie telefonicznie. W tym dokumencie widnieje, że zarówno stwierdzenie wygaśnięcia jego mandatu rektorskiego, jak i powołanie dr. hab. Jacka Bonarka na rektora APT stanowi naruszenie ustawy PSWN, ale także „konstytucyjnej zasady autonomii uczelni wyższych oraz tworzy podejrzenie naruszenia dyspozycji art. 231 KK”. Ów artykuł kodeksu karnego mówi o przekraczaniu uprawnień i niedopełnianiu obowiązków przez funkcjonariusza publicznego, co zagrożone jest sankcjami

karnymi z więzieniem włącznie. Także statut Akademii Piotrkowskiej w § 63 stanowi, że wygaśnięcie mandatu rektora potwierdza przewodniczący Kolegium Elektorów.

Na pismo D. Roguta minister nauki odpowiada rozesłanym 6 lutego do mediów oświadczeniem, w którym wyjaśnia, że „W związku ze złożeniem rezygnacji przez pierwszego rektora Akademii Piotrkowskiej, Minister Nauki zdecydował o jej przyjęciu, a tym samym wygaszeniu mandatu pierwszego rektora w trakcie kadencji. Zgodnie z art. 20 ust. 4 w związku z art. 24 ust. 5 ustawy z dnia 20 lipca 2018 r. – Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce (ustawa PSWN) rezygnacja rektora z funkcji jest przesłanką do stwierdzenia wygaśnięcia mandatu rektora”. Wzmiankowane w piśmie ministra artykuły PSWN stanowią, że wygaśnięcie mandatu następuje m.in. wskutek rezygnacji z funkcji.

W oświadczeniu ministra nauki czytamy dalej, że „po stwierdzeniu wygaśnięcia mandatu pierwszego rektora zgodnie z przepisem art. 8 ust. 2 ustawy o utworzeniu Akademii Piotrkowskiej powołał [on] kolejną osobę do pełnienia funkcji pierwszego rektora na okres pozostający do końca kadencji, o której mowa w tym przepisie, tj. do dnia 31 sierpnia 2024 r.”. I dalej tłumaczy, jak rozumiana jest funkcja pierwszego rektora: „to określona w ustawie PSWN funkcja organu jednoosobowego, której ramy czasowe kadencji wynikają z przepisów ustawy. Pierwszy rektor jest organem uczelni powoływanym przez ministra na okres roku (zgodnie z art. 24 ust. 9 pkt 1 ustawy PSWN) albo na okres wynikający z ustawy o utworzeniu uczelni akademickiej”. Stąd minister wyciąga wniosek, że rezygnacja D. Roguta z funkcji rektora APT wywołuje określone prawem konsekwencje, a tymi są wygaśnięcie mandatu, które minister tylko potwierdza oraz powołanie od 2 lutego dr. hab. J. Bonarka na (wciąż) pierwszego rektora Akademii. Jak widać, minister traktuje „pierwszego rektora” jako organ uczelni powoływany na cały okres specyficznej (krótkiej) „kadencji”, określonej w art. 8 ustawy o powołaniu APT, a nie konkretną osobę na tym stanowisku. Organ uczelni pozostaje tym samym organem, nawet jeśli zachodzi zmiana w jego składzie – tak rozumiem tę interpretację prawa – i nie zmienia tego fakt, że jest to organ jednoosobowy. D. Rogut rozumie określenie „pierwszy rektor” literalnie: to jest osoba, która tę funkcję pełni. W art. 17. ustawy PSWN określono, że organami uczelni publicznej są rada uczelni, rektor i senat. Nie ma tam mowy o takim organie jak pierwszy rektor. Sądzę, że to ciekawy przypadek, którego rozwiązanie będzie miało znaczenie dla szkolnictwa wyższego, zwłaszcza jego autonomii.

Tymczasem od wtorkowego poranka (6 lutego) Dariusz Rogut wraz z kilkoma współpracownikami zamyka się w pokojach rektorskich na pierwszym piętrze rektoratu Akademii Piotrkowskiej. Powód, a już zwłaszcza cel, „okupacji” rektoratu – tak określają to niektórzy, w tym powołane przez ministra nauki nowe władze APT – nie jest dla mnie oczywisty. W rozmowie telefonicznej Dariusz Rogut nie wyjaśnia mi tego klarownie. Zapytany o okupację rektoratu, nie potwierdza tej informacji, informując, że jest w samochodzie i jedzie do prokuratury złożyć zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez ministra nauki. Rektor J. Bonarek informuje mnie, że rektorat jest „okupowany” od poniedziałkowego wieczora, dodając, że kilka osób nocuje w budynku.

Żadna z pytanym przeze mnie osób nie wie, ilu pracowników uczelni ani kto dokładnie oprócz D. Roguta znajduje się w rektoracie. Nieco później, na konferencji prasowej zwołanej przed zamkniętymi drzwiami rektoratu, D. Rogut występuje w towarzystwie dotychczasowych władz rektorskich i reprezentacji Samorządu Studentów –

jak widać nie jest osamotniony. Stwierdza wówczas, że według statutu Akademii Piotrkowskiej w okresie do powołania nowego rektora – do czego minister nie ma prawa, jak sądzi D. Rogut – funkcję tę pełni prorektor ds. nauki i rozwoju (S 64 statutu uczelni), a w tym wypadku jest to dr hab. Radosław Lolo, prof. APT, który ma zorganizować wybory nowego rektora. U boku D. Roguta jest też drugi prorektor ds. kształcenia studenckich i kształcenia dr Marcin Strzelec, prof. APT. Obu prorektorów J. Bonarek odwołuje tego samego dnia specjalnym zarządzeniem.

Rektorat to najmniejszy obiekt Akademii Piotrkowskiej. Znajduje się jakby na uboczu w stosunku do pozostałych budynków uczelni. W żaden sposób nie koliduje z miejscami, w których odbywają się egzaminy i funkcjonuje cała Akademia. Gdy wysłani we wtorek rano przez rektora J. Bonarkę informatycy próbują wydostać stamtąd uczelniane komputery, zostają odesłani z kwitkiem. Piszą notatkę z tego zdarzenia. Jednak to oni, choć nie mają samych komputerów rektorskich, dysponują „kluczami” do działania uczelnianych serwerów i sieci komputerowej. Urzędnicy administracji APT w większości pracują pod kierunkiem nowego rektora, administracja przeniosła się czasowo do zastępczych pomieszczeń w innych budynkach. Studenci mają akurat sesję. Egzaminy podobno odbywają się bez zakłóceń, tak przynajmniej informuje mnie rektor Bonarek. Nowym władzom APT udało się przejąć pieczęć uczelni, za wyjątkiem okrągłej i imiennych dawnego rektora. Mają też hasła i loginy do uczelnianych systemów informatycznych i finansowych. Rektor Bonarek zapewnia mnie, że nie dojdzie do żadnej interwencji siłowej, która, jego zdaniem, nie ma sensu. Czeka na wyciszenie i samorozwiązanie tej niecodziennej sytuacji, starając się zapewnić normalne funkcjonowanie uczelni. Potrzebuje zaufanego współpracownika, a zatem już we wtorek 6 lutego mianuje na stanowisko prorektora ds. nauki i rozwoju dr. hab. Wojciecha Barana-Kozłowskiego, prof. APT. Ta nominacja szybko pojawia się na stronie internetowej uczelni. Razem czekają na finał. W międzyczasie władze samorządowe spotykają się z Jackiem Bonarkiem, a starosta powiatu piotrkowskiego, niejako legitymizując jego nominację, wręcza mu list gratulacyjny (na fot.).

W środę „okupacja” rektoratu wciąż trwa. Cierpliwość nowych władz się kończy. Po południu wzywają policję, która jednak nie wchodzi do budynku C, czyli rektoratu, sporządza jedynie notatkę w budynku B, gdzie urzędują nowe władze. Pojawienie się policji sprawia, że osoby pozostające dotąd w rektoracie opuszczają budynek. Zostaje on przejęty przez nowe władze uczelni i opieczętowany.

Mimo pozornego rozwiązania, sytuacja w Akademii Piotrkowskiej wciąż jest napięta. Pismo, które 12 lutego po południu rektor Jacek Bonarek rozsyła do wszystkich pracowników, wskazywałoby, że trwa tam jakiś stan wyjątkowy. Czytamy w nim: „informuję o obowiązującym na terenie Tutejszej Uczelni stanie prawnym, który wynika z przepisów

Ustawy o szkolnictwie wyższym (Dz.U. 2023.742 t.j.), w tym w art. 52 odnośnie do tego, że zorganizowanie zgromadzenia w lokalu Uczelni **wymaga bezwzględnie zgody Rektora**” (pisownia oryginalna, także pogrubienie). Dalej rektor pisze: „**Zwracam uwagę na odpowiedzialność karną, wynikającą z czynnego udziału w nielegalnym zbiegowisku, o czym stanowi art.254 Kodeksu Karnego (...).** Karane jest zatem samo uczestniczenie w zbiegowisku i wystarczy samo zaangażowanie się w jego przebieg w aspekcie psychicznym i fizycznym oraz solidarność z innymi uczestnikami nielegalnego zbiegowiska” (cały fragment boldem). Dalej powołuje się na postanowienie Sądu Najwyższego dotyczące zadym z udziałem kibiców piłkarskich i kończy „**Będę zobowiązany zatem zgłaszać wszelkie naruszenia przepisów prawa**” (jw.). Prawdę mówiąc, brzmi to jak groźba wobec pracowników Akademii Piotrkowskiej. Rektor Bonarek wyjaśnia, że związane to było z sytuacją po nieudanym posiedzeniu Senatu, na którym nie zgromadzono quorum (to 10 członków Senatu APT). Z innych źródeł dostałem informację o braku zgody rektora na udział zdalny w posiedzeniu jednej z pań senator. Była na urlopie, wyjaśnia J. Bonarek, i nie mieliśmy technicznych możliwości na wiarygodne połączenie. Kilko senatorów, pracowników technicznych i administracji usprawiedliwiło nieobecność innymi pilnymi obowiązkami w uczelni. Nie był obecny także prorektor W. Baran-Kozłowski. Na tym posiedzeniu Dariusz Rogut spodziewał się otrzymać opinię Senatu jako kandydat w wyborach rektorskich – to był jedyny formalny punkt posiedzenia – do czego w zaistniałej sytuacji nie doszło. Mimo to Rada Uczelni 14 lutego pozytywnie zaopiniowała jego kandydaturę jako jedyne kandydata na rektora w nadchodzących wyborach. Podobno jej przewodniczący miał świadomość wady prawnej tej decyzji. Kilko pracowników, w tym jeden senator i kilko elektorów, otrzymało wypowiedzenia umowy o pracę. Konwent Elektorów na APT nie ukonstytuował się, a wśród powodów jest także ten, że Jacek Bonarek jako rektor nie może być elektorem. Komisja Wyborcza odwołała go zatem z funkcji elektora. Konflikt w Akademii Piotrkowskiej trwa. Oficjalny terminarz wyborów jest nieaktualny. Nominacja nowego rektora przez ministra zamiast uspokoić sytuację, zaostrzyła konflikt.

Piotr Kieraciński



Debata po akcji „Nauka do naprawy”

Minister nauki, przewodnicząca Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich, dyrektor Narodowego Centrum Nauki i prezes Polskiej Akademii Nauk wzięli udział w debacie podsumowującej akcję „Nauka do naprawy”.

Wspólna inicjatywa PAN i „Forum Akademickiego” rozpoczęła się 15 grudnia i trwała miesiąc. W tym czasie otrzymaliśmy blisko 750 propozycji zmian w systemie nauki i szkolnictwa wyższego. Pomyśły dotyczyły finansowania nauki, ewaluacji, szkolnictwa wyższego, modelu kariery naukowej, kształcenia doktorantów, etyki i dobrych praktyk oraz administracji. O części z nich dyskutowaliśmy podczas debaty online z udziałem: ministra nauki **Dariusza Wiczkorka**, przewodniczącej Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich prof. **Bogumiły Kaniewskiej**, dyrektora Narodowego Centrum Nauki prof. **Krzysztofa Józwiaka** i prezesa Polskiej Akademii Nauk prof. **Marka Konarzewskiego**.

Ponieważ w przeważającej części ankiet zgłoszonych na akcję jako kluczowy pojawił się postulat radykalnego wzrostu finansowania nauki, naszych gości zapytaliśmy na początek, na co – ich zdaniem – powinny zostać przeznaczone te środki w pierwszej kolejności. – Kwestia wdrażania badań w przemyśle musi być jednym z priorytetów. Z powodu braku pieniędzy nie przekuwamy naukowych pomysłów w praktykę. Ważną kwestią jest też poprawa infrastruktury. Ale to, na jaki cel wydamy te pieniądze, w dużej mierze zależy od samego środowiska i to ono wskaże priorytety – przyznał minister.

Przewodnicząca KRUP zwróciła uwagę, że to nie nauka, ale zarządzanie nią wymaga naprawy. Jej zdaniem, najważniejszą kwestią jest w tej chwili powstrzymanie pauperyzacji środowiska akademickiego. – Potrzebujemy dopływu młodych ludzi do nauki, a ci muszą mieć zapewnione warunki do rozwoju. Poprawienie sytuacji naukowców jest podstawowym zadaniem, kiedy będziemy dzielić pieniądze.

Z kolei dyrektor NCN zauważył, że należy pomyśleć o odważniejszym niż do tej pory korzystaniu z możliwości konkurencyjnego przyznawania środków. W tym kontekście wymienił m.in. subwencje. – Uczelnie przedstawiałyby swoje plany, które zostałyby ocenione, a następnie weryfikowane w zakresie realizacji założonych celów. Byłoby to korzystne dla podniesienia poziomu nauki w naszym kraju.

Poprawa finansowania doktorantów – ten problem za najważniejszy uznał z kolei prezes PAN. Dodał, że nie miałby sumienia w dzisiejszych okolicznościach prosić doktoranta, by ten zajął się tylko pracą naukową.

Wiczkorek: Nie ma miejsca dla plagiatorów

Kwestia sytuacji doktorantów rozpoczęła także właściwą rundę pytań. Minister **D. Wiczkorek** odpowiadał m.in. na postulaty tej grupy, w tym uregulowanie statusu prawnego. – Będziemy chcieli to zrobić przy okazji najbliższej nowelizacji ustawy PSWN. Dyskusja już się rozpoczęła. Niewątpliwie to problem, który blokuje rozwój polskiej nauki, bo jeśli nie mamy dobrego systemu kształcenia doktorantów, za kilka lat nie będzie komu robić nauki.

Inną często podnoszoną w ankietach kwestią była ewaluacja. Szef resortu stwierdził, że należy znaleźć rozwiązania, które zostaną zaakceptowane przez większość środowiska, po to, by podział środków wynikający z oceny jakości działalności naukowej był sprawiedliwy. Ostatnia ewaluacja w jego opinii nie odzwierciedla faktycznie tego poziomu. Konkretnie propozycje mają się pojawić najpóźniej do końca tego roku. Minister mówił też o konieczności zmian w systemie dyscyplinarnym nauczycieli akademickich. – Uczciwość jest potrzebna szczególnie w nauce, gdzie pracują ludzie, którzy powinni świecić przykładem. Jeśli ktoś jest plagiatorem, to nie powinien mieć możliwości rozwijania dalszej kariery naukowej. Musimy zadbać nie tylko o jakość kadry, ale i jakość nauki. Mam wrażenie, że niektóre uczelnie, zwłaszcza prywatne, niespecjalnie się tym przejmują. Będziemy to egzekwować – zapowiedział.

Odnosił się także do finansowania dostępu do międzynarodowych baz danych. Docelowo chciałby powrotu do sytuacji sprzed dekady, gdy dostęp do międzynarodowej literatury naukowej był najszerszy. Podsunął do zastanowienia pomysł, czy zamiast być na łasce i niełasce zachodnich wydawców, nie stworzyć takiej bazy publikacji naukowych w Polsce. Zasygnalizował także gotowość podjęcia próby zmiany w prawie zamówień publicznych, miałyby ono być mniej restrykcyjne dla naukowców.

Kaniewska: Mobilność, ale najpierw warunki

Prof. **B. Kaniewska**, rektorka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, została zapytana o możliwość powrotu do decentralizacji władzy w uczelniach. Jej zdaniem, im większa uczelnia, tym ważniejsze to, żeby zarządzanie nią było zdecentralizowane. Ale, dodała, trzeba też zauważyć, że wzmocnienie władzy rektora pomogło w takich sytuacjach kryzysowych, jak choćby pandemia. Tym niemniej opowiedziała się za podmiotowością wydziałów, za tym, żeby społeczność akademicka ponosiła większą odpowiedzialność za swoją uczelnię. Skomentowała także zgłoszony postulat obowiązkowej mobilności. – Mobilność jako taka jest wartością niezwykle pożądaną, ale najpierw trzeba stworzyć dla niej warunki. Wprowadzenie mobilności jako obowiązku, ale bez odpowiedniego zaplecza logistycznego i finansowego dla jej realizacji, spowoduje dalszy odpływ młodych ludzi z nauki, a bez doktorantów i post-doków nie będziemy się rozwijali.

Pytana była także o etaty dydaktyczne. Ich wprowadzenie miało na celu docenienie dydaktyki i stworzenie jasnej ścieżki awansu dla pracowników dydaktycznych. – To rozwiązanie jest słuszne, ale zadziałało w niekoniernie dobry sposób. Różnice pomiędzy grupami pracowników nie powinny bowiem służyć do przesuwania ludzi jak pionki, byle tylko wynik ewaluacyjny był korzystniejszy. To nie powinno mieć miejsca. Zatem sama idea tak, ale warto się zastanowić nad sposobem jej wdrożenia na uczelniach.





Józwiak: Wynagrodzenia na razie bez zmian

Sporo propozycji zmian w naszej akcji dotyczyło systemu oceny wniosków grantowych. Przewijają się m.in. wątek braku zaufania do modelu recenzji anonimowych. Prof. **K. Józwiak** odparł, że anonimowość recenzji jest standardem we wszystkich najważniejszych agencjach grantowych na świecie. Inny często pojawiający się zarzut dotyczył lakonicznych recenzji. Dyrektor przyznał, że w NCN trwają prace nad udoskonalaniem procesu oceny wniosków. – Analizujemy nowe procedury, które pozwoliłyby nam lepiej zaadresować odpowiedzi i feedback ze strony panelu do wnioskodawców. Nasza dota-

cja podmiotowa jest niewystarczająca, by zwiększyć zasoby kadrowe do obsługi procesu oceny. Zapewniam jednak, że jest to zagadnienie, które dostrzegamy i chcemy, by uzasadnienia decyzji były bardziej dogłębne.

Wiele osób zgłaszało potrzebę zwiększenia wynagrodzeń w grantach, podobnie jak to ma miejsce w uczelniach. Czy ostatnie zwiększenie budżetu NCN o 200 milionów złotych pozwoli zrealizować ten postulat? – Już od pewnego czasu mamy przekonanie, że wynagrodzenia w grantach są za niskie. W tym roku jeszcze nie wzrosną, do tego potrzeba dalszego znaczącego zwiększenia budżetu NCN. Dzięki dodatkowym środkom uruchomimy natomiast listy rezerwowe z ubiegłorocznych konkursów, które przygotowaliśmy z nadzieją na zwiększenie dotacji celowej.

„Nauka do naprawy” w liczbach

W internetowej ankiecie przedstawiciele środowiska naukowego zgłosili w ciągu miesiąca 739 propozycji zmian. W akcję zaangażowali się naukowcy z różnych dziedzin, na różnym etapie kariery, pracujący na uczelniach, w instytutach badawczych, instytutach PAN, instytucjach otoczenia nauki. Są wśród nich laureaci grantów European Research Council, a także Nagród Fundacji na rzecz Nauki Polskiej i Narodowego Centrum Nauki.

W przeważającej większości (przy jednym kwestionariuszu można było zaznaczyć kilka opcji) pomysły dotyczą finansowania nauki (35,4%). Nie zabrakło propozycji związanych z ewaluacją (25,6%), szkolnictwem wyższym (24,8%), modelem kariery naukowej (21,4%), kształceniem doktorantów (20,9%). Pojawiły się także sprawy z zakresu etyki i dobrych praktyk (17,8%) oraz administracji (12%). Pozostałe dotyczą: współpracy nauki z otoczeniem (9,5), edukacji (9,4%), popularyzacji (7,3%), Polskiej Akademii Nauk (6,6%), otwartego dostępu w nauce (6,4%).

Nie ograniczaliśmy ani skali zmian, ani ich horyzontu czasowego. Najwięcej (39,6%) jest dużych, nieco mniej średnich (31,4%), a mniej niż co piątą (17,9%) określono jako wielką. Pozostałe to małe i drobne sugestie techniczno-prawne. Więcej niż połowa propozycji wymaga pilnego i bardzo pilnego wdrożenia. Niektóre z nich przedstawialiśmy na bieżąco na portalu forumakademickie.pl. Tam też niebawem pojawi się raport z naszej akcji.

MK

Konarzewski: Zapomnijmy o „uniwersytecie PAN”

Prof. **M. Konarzewski** odnosił się do kwestii reformy PAN. Przyznał, że w projekcie złożonym do MNiSW zawarto rozwiązania, które zmuszą dyrektorów instytutów do poddania się wewnętrznej ewaluacji. Z kolei pomysł międzynarodowego komitetu doradczego, który oceniałby działalność instytutów PAN, skwitował przykładem takich placówek, jak np. IMol, które już teraz mają zagranicznych naukowców w radach naukowych. Dodał jednak, że internacjonalizacja Akademii będzie dalej postępować. Pytany był również o pomysł włączenia PAN w dydaktykę na II stopniu kształcenia wyższego, a więc forsowaną od lat koncepcję „uniwersytetu PAN”. – Nie widzę realnego scenariusza dla tej propozycji. Wystarczająco zantagonizowała ona w pewnym momencie Polską Akademię Nauk i uniwersytety, i wołałbym o niej już zapomnieć. Natomiast bardzo mocno popieram bliską współpracę personalną uczelni i instytutów PAN. Uważam, że niesie ona wciąż niewykorzystany do końca potencjał. Bardzo bym chciał, żeby przy okazji nowelizacji Ustawy 2.0 stworzono system, który zacieśni te naukowe więzi.

Pełny zapis debaty, którą prowadzili prof. Dariusz Jemielniak, wiceprezes PAN i Piotr Kieraciński, redaktor naczelny „Forum Akademickiego”, dostępny jest na kanale YouTube Polskiej Akademii Nauk. Podczas spotkania minister Wieczorek zadeklarował chęć zapoznania się z raportem z akcji „Nauka do naprawy”.

MK

Preferencje publikacyjne: świat i Polska

Konfrontacja polskiej nauki ze światową jest diżurnym tematem w wielu analizach, dyskusjach i artykułach. Powraca on po ogłoszeniu wyników ewaluacji nauki, czy opublikowaniu kolejnych rankingów krajowych (Ranking „Perspektyw”) i zagranicznych (TOP 2%, Ranking Szanghajski). Obecnie pojawiają się głosy o konieczności przeprowadzenia audytu ostatnich kilku lat w nauce, naznaczonych ważnymi reformami, w tym wprowadzeniu w 2018 r. Konstytucji dla Nauki. Odbyły się też wybory do RDN, NCN, PAN i komitetów PAN. Powiało świeżością, pojawiły się nowe zapowiedzi i deklaracje i jak zwykle w takich sytuacjach, mnożą się propozycje zmian i podejmowania stosownych środków zaradczych. Tylko czy pomysłodawcy zdają sobie sprawę z aktualnej kondycji polskiej nauki i jej miejsca na naukowej mapie świata? A może widzą tylko własne podwórko i interesy? Czy taki proces można przeprowadzić jedną ustawą? A może z uwagi na widoczny demontaż nauki (tak sędzę na podstawie licznych analiz) powinien on mieć charakter strukturalny i długofalowy? Z pewnością nie obejdziesz się bez zdefiniowania priorytetów i przydzielenia, jak zawsze, środków finansowych, których, jak się wokół słyszy, permanentnie brakuje. Staralem się przybliżyć tę problematykę czytelnikom „Forum Akademickiego” w cyklu artykułów (FA 4/2023, FA 6/2023, FA 11/2023), bazując na miarodajnych danych, ujętych w prestiżowym zestawieniu World’s TOP 2% Stanford University i Wydawnictwa Elsevier. Niniejszy, zamykający cykl artykuł został oparty na porównaniu wyników rankingu TOP 2% w kategorii kariery za lata 2020, 2021 i 2022. Mam na celu porównanie preferencji publikacyjnych autorów w 19 różnych dziedzinach nauki. Wynik analizy danych przedstawiono w tabelach 1 i 2. Na ich podstawie sporządzono analogiczne wykresy z udziałami procentowymi – rys. 1 i 2. Autor formułuje wnioski bez żadnych uprzedzeń instytucjonalnych, ale wyłącznie na podstawie zebranych danych.

Z danych zestawionych w obu tabelach oraz graficznego przedstawienia udziałów procentowych dla ośmiu najliczniej reprezentowanych dziedzin nauki w trzech kolejnych latach 2020, 2021 i 2022 (Rys. 1 a i b) wynikają następujące wnioski:

1. Struktura 8 czołowych dziedzin nauki jest dla autorów z Polski i ogółu autorów w ujęciu globalnym zdecydowanie różna, tak co do ich preferencji, jak i udziałów procentowych oraz zaobserwowanych w wielu przypadkach trendów. W tym porównaniu przyjęto łączną liczbę autorów ze świata w kolejnych latach równą 186 178, 194 984 i 204 644, a z Polski odpowiednio 1028, 1007 i 1120.

2. Najczęściej wybieraną dziedziną jest w obydwóch przypadkach medycyna kliniczna (poz.1), ale jej udział procentowy w krajowym zestawieniu jest dwukrotnie mniejszy niż na świecie, dodatkowo z malejącym udziałem o ok. 20% w 2022 r. W przypadku całego rankingu udział jest stabilny na poziomie ponad 30%. Podobnie przedstawia się udział dziedziny badania biomedyczne (poz. 3) i to z wyraźną tendencją malejącą. Jeśli weźmie się pod uwagę zdecydowanie większą cytowalność publikacji z tych dziedzin, to oczywisty jest fakt mniejszego udziału autorów z polskich uczelni medycznych i uniwersytetów w rankingu światowym.

3. Udział pozostałych 7 dziedzin nauki jest dla całego rankingu na zbliżonym poziomie, natomiast w polskiej części widać kilka preferencji dotyczących nauk ścisłych – fizyki i astronomii (poz. 2) oraz chemii (poz. 6), a także technologii przyszłościowych i strategicznych w poz. 4 oraz inżynierii (nauk inżynieryjno-technicznych) w poz. 5. Należy zwrócić uwagę, że w zestawieniu światowym udział tych czterech dziedzin jest prawie dwukrotnie mniejszy. Konkluzja może być dwójaka: albo są to badania w mniejszym lub większym stopniu odtworzone, albo poziom nauki w tych dziedzinach jest zdecydowanie niższy i wymaga większej mobilności do osiągnięcia poziomu światowego.

Tabela 1. Zestawienie liczby/% autorów wykazanych w całym rankingu TOP2%.

Nr	Dziedzina nauki/rok	2020		2021		2022	
1	Medycyna kliniczna	58038	31,17	61781	31,68	64640	31,21
2	Fizyka i astronomia	18259	9,81	18775	9,63	19167	9,37
3	Badania biomedyczne	15894	8,54	15570	8,08	16147	7,89
4	Technologie przyszłościowe i strategiczne	14802	7,95	15733	8,07	16921	8,27
5	Inżynieria ogólna	14429	7,75	15108	7,75	15970	7,80
6	Chemia	13046	7,00	13451	6,90	14099	6,89
7	Technologie informacyjne i komunikacyjne	11403	6,12	12953	6,64	13947	7,77
8	Biologia	7482	4,02	7863	4,03	8223	3,21
9	Nauki o ziemi i środowisku	6442	3,46	6608	3,39	6936	3,04
10	Rolnictwo, rybołówstwo i leśnictwo	5787	3,11	6225	3,19	6689	3,27
11	Zdrowie publiczne i służba zdrowia	4073	2,19	3395	1,74	3617	1,77
12	Nauki społeczne	4029	2,16	4279	2,19	4636	2,26
13	Psychologia i nauki poznawcze	3764	2,02	3731	1,91	3774	1,84
14	Ekonomia i biznes	3409	1,83	3562	1,83	3807	1,86
15	Matematyka i statystyka	2354	1,26	2429	1,24	2567	1,67
16	Zabudowa i projektowanie środowiska	936	0,50	1018	0,52	1134	0,55
17	Badania historyczne	812	0,44	894	0,46	994	0,48
18	Filozofia i teologia	399	0,21	440	0,23	484	0,24
19	Sztuka wizualizacji i przedstawienia	112	0,06	107	0,06	113	0,06



Rys. 1. Udziały % dziedzin nauki dla: (a) ogółu autorów i (b) autorów z Polski w rankingu TOP2%. Numeracja dziedzin nauki: (1) Medycyna kliniczna, (2) Fizyka i astronomia, (3) Badania biomedyczne, (4) Technologie przyszłościowe i strategiczne, (5) Inżynieria ogólna, (6) Chemia, (7) Technologie informacyjne i komunikacyjne, (8) Biologia



Rys. 2. Udziały % dziedzin nauki dla autorów z Polski w rankingu TOP2%. Numeracja dziedzin nauki: (1) Medycyna kliniczna, (2) Fizyka i astronomia, (3) Badania biomedyczne, (4) Technologie przyszłościowe i strategiczne, (5) Inżynieria ogólna, (6) Chemia, (7) Technologie informacyjne i komunikacyjne, (8) Biologia

4. Ważna dla rozwoju innych nauk dziedzina *technologie informacyjne i komunikacyjne* (poz. 7) jest na poziomie 6-8% z tendencją wzrostową. Jest to w zasadzie jedna z ważnych dziedzin nauki nadążająca w ujęciu frakcyjnym z nauką światową.

5. Na porównywalnym poziomie są takie dziedziny jak: biologia (poz. 8), nauki o ziemi i środowisku (poz. 9) i rolnictwo, rybołówstwo i leśnictwo (poz. 10). Ich udział jest szacowany na poziomie ok. 3% z tendencją malejącą.

6. W rankingu światowym matematyka i statystyka (poz. 15) jest usytuowana wyraźnie za naukami o zdrowiu, naukami społecznymi, psychologią, a nawet ekonomią i biznesem. W polskim zestawieniu jest zupełnie odwrotnie, a udziały tych dziedzin są znikome.

7. Brak jest udziału polskich naukowców w takich dziedzinach jak: zabudowa i projektowanie środowiska (pojawiło się dopiero w 2022 r.), badania historyczne, filozofia i teologia, sztuka wizualizacji i przedstawiania. Z drugiej strony wiadomo, że te dziedziny są reprezentowane na licznych uniwersytetach i akademiach sztuki.

Ogólna refleksja, raczej pesymistyczna, jest taka, że nie nadążamy za trendami światowymi w nauce. Obecna struktura dziedzin nauki w Polsce może świadczyć o dużym dystansie do nauki światowej w wielu obszarach.

Jak przedstawione dane kontrastują z cytowaniami publikacji w polskich czasopismach posłużę się następującą konkluzją z raportu zespołu Index Copernicus International (*Jaka jest siła oddziaływania polskich czasopism naukowych*, FA, publikacja z dn. 08. 12.2023): „Jedynie 7% spośród ponad 200 tys. artykułów naukowych (zacytowanych zostało 14 764 publikacji spośród 206 150) opublikowanych w polskich czasopismach w latach 2017–2019 uzyskało przynajmniej jedno cytowanie w roku 2020”.

Jeśli uwzględni się dodatkowo, że z tej liczby 1/3 stanowią autocytytowania, to łączna cytawalność polskich czasopism może być porównana z osiągnięciami Uniwersytetu Gdańskiego (10 990 cytowań) lub Politechniki Łódzkiej (10 571 cytowań) w rankingu TOP2% za 2022 r. (*Nowy ranking uczelni za 2022 r.*, FA 11/2023). Może to wskazywać, że publikowanie w polskich czasopismach przynosi pokaźny dorobek punktowy do ewaluacji, ale nie jest liczącym się składnikiem światowego dorobku publikacyjnego.

*Prof. dr hab. inż. Wit Grzesik,
emerytowany nauczyciel akademicki Politechniki Opolskiej*

Tabela 2. Zestawienie liczby/% autorów z Polski wykazanych w rankingu TOP2%.

Nr	Dziedzina nauki/rok	2020		2021		2022	
1	Medycyna kliniczna	173	16,83	130	12,91	148	13,21
2	Fizyka i astronomia	182	17,70	198	19,66	205	18,30
3	Badania biomedyczne	36	3,50	27	2,68	29	2,59
4	Technologie przyszłościowe i strategiczne	115	11,19	138	13,70	165	14,73
5	Inżynieria ogólna	128	12,45	139	13,80	142	12,68
6	Chemia	165	16,05	184	18,27	203	18,12
7	Technologie informacyjne i komunikacyjne	65	6,32	77	7,65	87	7,77
8	Biologia	37	3,62	30	2,98	36	3,21
9	Nauki o ziemi i środowisku	28	2,72	24	2,39	34	3,04
10	Rolnictwo, rybołówstwo i leśnictwo	57	5,54	30	2,38	37	3,30
11	Zdrowie publiczne i służba zdrowia	-	-	-	-	1	0,09
12	Nauki społeczne	4	0,39	1	0,10	3	0,27
13	Psychologia i nauki poznawcze	11	1,07	5	0,50	4	0,36
14	Ekonomia i biznes	5	0,49	3	-	3	0,27
15	Matematyka i statystyka	17	1,65	17	1,69	18	1,67
16	Zabudowa i projektowanie środowiska	-	-	1	0,10	4	0,36
17	Badania historyczne	-	-	-	-	-	-
18	Filozofia i teologia	-	-	-	-	-	-
19	Sztuka wizualizacji i przedstawiania	-	-	-	-	-	-

Uniwersytet Opolski 30 lat

Uniwersytet Opolski został utworzony 10 marca 1994 r. w wyniku połączenia działającej w Opolu od 1954 roku Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Powstańców Śląskich z istniejącą od trzynastu lat opolską filią Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Idea uniwersytetu – nieśmiało nazywanego Piastowskim – ujawniała się wielokrotnie, zrazu na fali październikowej odwilży w 1956 roku, później w 1970 r., kiedy to ówczesny rektor WSP, prof. Jan Seredyka, w memoriale skierowanym do ówczesnych władz państwowych uzasadniał marzenia „o realizacji idei Uniwersytetu Piastowskiego”. Po zrywie „Solidarności” w 1981 roku marzenia te odżyły na nowo. W 1987 roku powołano komitet organizacyjny, który przygotował koncepcję powołania w Opolu uniwersytetu. Nie powiodły się próby utworzenia go przez połączenie WSP i WSI. Impuls decydujący o pomyślnym finale projektu uniwersyteckiego w Opolu przyszedł ze strony Kościoła katolickiego. Nową koncepcję powołania uniwersytetu z uwzględnieniem Wyższego Seminarium Duchownego Śląska Opolskiego oraz opolskiej filii KUL (utworzonej w 1981 r.) zaproponował jej ówczesny dyrektor ks. dr Helmut Sobeczko. Decydujący wpływ na realizację zamierzenia miał autorytet bp. prof. Alfonsa Nosola, ordynariusza opolskiej diecezji, który w 1990 r. został przewodniczącym Komitetu do spraw Powołania Uniwersytetu w Opolu.

Uniwersytet w Opolu był dwunastym uniwersytetem klasycznym w kraju, ale pierwszym utworzonym po 1989 roku i pierwszym, w którego strukturze znalazł się Wydział Teologiczny ze wszystkimi prawami i obowiązkami uczelni kościelnej. W ślad za Opolem takie wydziały utworzono w innych polskich uniwersytetach (UŚ, UAM, UWM, USZ). W pierwszym roku działalności Uniwersytet Opolski był uczelnią czterowydziałową, zatrudniał 116 profesorów i doktorów habilitowanych, a studia rozpoczynało blisko 9 tys. studentów, w tym 5 tys. na studiach stacjonarnych.

Aktualnie strukturę Uniwersytetu Opolskiego tworzy 12 wydziałów: Chemii, Ekonomiczny, Lekarski, Matematyki, Fizyki i Informatyki, Nauk o Polityce i Komunikacji Społecznej, Nauk o Zdrowiu,

Nauk Społecznych, Prawa i Administracji, Przyrodniczo-Techniczny, Sztuki oraz Teologiczny. Uzupełnia ją 18 instytutów pełniących funkcje naukowe oraz 12 jednostek międzyuczelnianych, w tym Międzynarodowe Centrum Badawczo-Rozwojowe na rzecz Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego, Uniwersyteckie Centrum Transferu Wiedzy i Technologii, Biblioteka Główna, Studium Języków Obcych oraz Studium Wychowania Fizycznego i Sportu. Uczelnia posiada uprawnienia do nadawania stopni naukowych w 17 dyscyplinach (ekonomia i finanse, inżynieria środowiska, górnictwo i energetyka, informatyka, historia, językoznawstwo, literaturoznawstwo, nauki biologiczne, nauki chemiczne, nauki fizyczne, nauki medyczne, nauki o polityce i administracji, nauki o zdrowiu, nauki prawne, nauki teologiczne, pedagogika, psychologia, sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki), co jest skutkiem uzyskanych w wyniku ewaluacji działalności naukowej kategorii: A+ (1), A (6) i B+ (10).

Zatrudniając 2011 pracowników, w tym 1767 na etacie i 250 na umowach cywilno-prawnych, uniwersytet jest największym pracodawcą w Opolu. W grupie nauczycieli akademickich, liczącej 1113 osób, jest 73 profesorów tytularnych, 183 doktorów habilitowanych, 290 adiunktów (doktorów), 567 asystentów, wykładowców, lektorów i instruktorów. Uczelnia zatrudnia też 651 pracowników administracji, obsługi technicznej i bibliotekarzy. W latach 2018-2023 tytuły naukowe otrzymało 25 pracowników UO, 57 uzyskało stopnie doktora habilitowanego, a 60 doktoraty. Rada Naukowa utworzonej w 2019 r. Szkoły Doktorskiej zakończyła dotychczas 24 postępowania o nadanie stopnia doktora habilitowanego i podjęła uchwały o nadaniu 191 osobom stopnia doktora.

W ubiegłym roku badacze z UO realizowali 50 projektów naukowych o łącznej wartości 34 mln zł. Aktualnie prowadzą 18 projektów, w tym 11 z NCN, 2 z NCBR, 4 z Agencji Badań Medycznych, a także 7 projektów upowszechniających naukę o łącznej wartości ponad 28 mln zł, finansowanych przez Ministerstwo Nauki. W sumie z Narodowego Centrum Nauki badacze z UO otrzymali 56 grantów o łącznej wartości 14 mln zł. Jednym z największych finansowo projektów naukowych jest CyberEva



– system oceniający i monitorujący poziom cyberbezpieczeństwa o wartości 11 mln zł, finansowany przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju.

Aktualnie na UO kształci się ponad 8800 studentów, w tym 7400 na studiach stacjonarnych, 1200 na studiach niestacjonarnych oraz 68 w szkole doktorskiej. W okresie boomu demograficznego ok. 15 lat temu, studiowało na UO blisko 18 tys. osób. W ciągu trzydziestu lat dyplomy Uniwersytetu Opolskiego otrzymało 110 tys. absolwentów.

Infrastrukturę uniwersytetu stanowi 31 obiektów o łącznej powierzchni 105 tys. m². W czterech domach studenckich jest 1800 miejsc noclegowych.

W 2023 roku zakończono budowę Międzynarodowego Centrum Badawczo-Rozwojowego na rzecz Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego. Wartość projektu to 44 mln zł. „Prószkowska Pomologia”, jak określa się potocznie to przedsięwzięcie, to łącznie 2800 m². W Opolu zlokalizowano laboratoria do badań podstawowych i komercyjnych (2500 m²), a w Prószkowie laboratorium i stację eksperymentalną o powierzchni 8 ha gruntów doświadczalnych z możliwością nawadniania. MCBR wyposażone jest w unikalną aparaturę, m.in. chromatograf gazowy sprzężony ze spektrometrem mas typu potrójny kwadrupol z jonizacją elektronową i autosamplerem, chromatograf cieczowy HPLC, zestaw spektrometru absorpcyjno-emisyjnego MP-AAS, dron wyposażony w rejestratory optyczne. Opolska część „Pomologii” to m.in. Pracownia Badań Ekotoksycologicznych, Laboratorium Badań Jakości Bezpieczeństwa Chemicznego Żywności, Laboratorium Odnawialnych Źródeł Energii.

W Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym powstały dwa centra naukowo-badawcze: Uniwersyteckie Centrum Wsparcia Badań Kli-

nicznych oraz Centrum Badań i Innowacji w Chorobach Cywilizacyjnych: Sercowo-naczyniowych i Kręgosłupa. Uniwersytet posiada także wyjątkowe na skalę światową stanowisko paleontologiczne w Krasiejowie.

Bibliotekę Uniwersytetu Opolskiego tworzy Biblioteka Główna i 11 bibliotek specjalistycznych, obsługujących prawie 10 tys. użytkowników. Zbiory liczą ponad milion egzemplarzy książek, czasopism oraz zbiorów specjalnych, w tym: 747 starodruków, 2317 tytułów wydawnictw z XIX w., 2178 silesianów oraz unikatową kolekcję Archiwum RODŁA – Zbiór Archiwalny Związku Polaków w Niemczech, ofiarowany przez spadkobierców Edmunda Osmańczyka i jego asystentkę Helenę Lehr. W lipcu 1997 r. powódź tysiąclecia zalała dwie kondygnacje budynku Biblioteki Głównej przy ul. Strzelców Bytomskich, niszcząc pomieszczenia magazynowe i ok. 24% zbiorów. Biblioteka prowadzi Bazę Wiedzy UO: repozytorium dorobku naukowego pracowników uczelni oraz Platformę Czasopism Elektronicznych UO. Placówka wdrożyła system Alma i rozpoczęła współkatalogowanie zbiorów z Biblioteką Narodową.

W Uniwersytecie działa Chór akademicki „Dramma per musica” którego założycielem (1993) i dyrygentem jest dr Elżbieta Trylnik. Sportową wizytówką UO jest żeńska drużyna siatkarek UNI Opole, której założycielem (2016) i pierwszym prezesem był rektor prof. Marek Masnyk. Aktualnie drużyna występuje w TAURON Lidze i zajmuje szóste miejsce w najwyższej grupie rozgrywkowej w kraju.

(oprac. pk)

Staroświecki przepis

Według oficjalnych regulaminów, i to całkiem świeżej daty, „recenzentem [wniosku w postępowaniu awansowym] nie może być osoba, w stosunku do której zachodzą uzasadnione wątpliwości co do jej bezstronności (w szczególności: pokrewieństwo, wspólne granty, wspólne publikacje z Kandydatem, zależność zawodowa)”. Przepis ten jest skrupulatnie przestrzegany i sam brałem udział w postępowaniach, w których już powołany recenzent był odwoływany lub sam się wycofywał, gdy okazało się, że miał wspólną publikację z kandydatem. Wspólne publikacje mogły faktycznie świadczyć o bliskich relacjach i potencjalnym konflikcie interesów pół wieku temu, kiedy publikowało się znacznie mniej (przeciętny habilitant miał mniej publikacji niż obecni doktoranci), a listy współautorów były co najmniej trzy razy krótsze niż dziś. Wydłużanie listy autorów i wzrost liczby publikacji są stałymi trendami, chociaż wiele zależy tu od dyscypliny naukowej. W naukach przyrodniczych, rolniczych, technicznych, a zwłaszcza medycznych, niedługo doktoranci będą mieli dłuższe listy publikacji niż niegdysiejsi kandydaci do tytułu, a publikacje z jednocyfrową liczbą współautorów staną się historyczną ciekawostką. Od lat już nikogo nie dziwi, że współautorzy nigdy w życiu się nie spotkali lub spotkali się po raz pierwszy już po opublikowaniu wspólnej pracy. Nota bene, przy wydłużającej się liście autorów i rosnącej produktywności naukowej wyrażonej liczbą publikacji liczba slotów publikacyjnych przypadających na naukowca na danym etapie kariery (publikacja stanowi jeden slot podzielony przez liczbę jej autorów) pozostaje stała, a może nawet maleje.

W związku z powyższym trendem, automatyczne wykluczanie autorów publikacji wspólnych z kandydatem coraz bardziej utrudnia znalezienie kompetentnych recenzentów. Ewidentny konflikt interesów występuje tylko wtedy, gdy kandydat do awansu przedstawia jako swoje osiągnięcie cykl publikacji, w skład którego wchodzi praca wspólna z potencjalnym recenzentem, i niewykluczone, że to

miał na myśli autor regulaminu. Jednak regulamin mówi o wspólnych publikacjach w ogóle, a nie o publikacjach przedstawianych jako oceniane osiągnięcie. Razi mnie stawianie współautorstwa na równi z pokrewieństwem lub zależnością zawodową, tym bardziej, że wiele innych relacji stwarza znacznie poważniejsze zagrożenie bezstronności niż współautorstwo publikacji niezwiązanej z ocenianym osiągnięciem. Na przykład regulamin nie odnosi się do zjawiska „etatów” recenzentów w radach naukowych, tzn. zlecenia wielu recenzji tej samej osobie. Tę od dawna znaną patologię można łatwo ograniczyć wyznaczając stosowne limity. Znacznie trudniej jest walczyć z nepotyzmem. Ze względu na spadającą dzietność, klany rodzinne odgrywają coraz mniejszą rolę w nauce w stosunku do nieformalnych grup interesu – osób niepowiązanych pokrewieństwem ani oficjalną zależnością zawodową. Pokażcie mi radę naukową, która odmówiła powołania recenzenta przez to, że był on kumplem promotora doktoratu lub kierownika jednostki.

Gdy wspólna publikacja nie stanowi części ocenianego osiągnięcia, sam potencjalny recenzent powinien zdecydować, czy potrafi zachować bezstronność. Ponadto recenzenta powołuje rada naukowa, która powinna być poinformowana o wspólnych publikacjach przed głosowaniem w tej sprawie. Innymi słowy: współautorstwo lub wspólny grant powinny być ujawniane, ale nie powinny automatycznie wykluczać potencjalnego recenzenta. Jest to część bardziej ogólnej zasady: każdy potencjalny konflikt interesów należy ujawniać, ale nie każdy potencjalny konflikt interesów musi automatycznie wykluczać. Oczywiście regulamin stanowi też, że w wyjątkowych przypadkach można odstąpić od stosowania cytowanego na wstępie przepisu, ale jeżeli jedyną relacją kandydata z potencjalnym recenzentem jest współautorstwo publikacji niezwiązanej z ocenianym osiągnięciem, to wykluczanie powinno być raczej wyjątkiem niż regułą.

Marek Kosmułski

Jak lepiej żyć?

Naukowcy wiedzą, jak mierzyć jakość życia, choć zazwyczaj sprowadza się to wyłącznie do pewnych wskaźników. Pytaniem otwartym pozostaje, czy naukowcy potrafią swoje wyniki badań w odpowiedni i jasny sposób przekazać społeczeństwu.

Szacuje się, że mieszkańcy Unii Europejskiej dowiadują się zaledwie o jednej trzeciej realizowanych projektów naukowych, czy to w formie skomercjalizowanych wyników, czy popularnych opracowań. Dlaczego tylko tyle? Odpowiedź nie jest jednoznaczna, a bywa bardzo skomplikowana. Bariery komunikacyjne mogą wynikać z używanego języka, niechęci naukowców do popularyzacji badań, ale także pewnych niuansów administracyjnych, związanych choćby z systemami patentowymi. W każdym razie, jeśli my – naukowcy – chcemy być widoczni w społeczeństwie i pozyskiwać publiczne środki finansowe, jesteśmy winni podatnikom przynajmniej krótkie wyjaśnienie, na co zostają wydane środki przeznaczone na naukę. To oczywiście tylko pierwszy krok, bo kolejnym jest stworzenie takiego mechanizmu, by każdy obywatel mógł dowiadywać się o celach i wynikach finansowanych badań, w szczególności ich znaczeniu dla rozwoju społeczeństwa i gospodarki, a nie wyłącznie o ich kosztach. Taki mechanizm pozwoliłby na szybki i efektywny transfer wiedzy i innowacji do społeczeństwa i stworzył dwukierunkową komunikację (społeczeństwo <-> nauka).

Transfer wiedzy i innowacji do społeczeństwa

Jest ona kluczowa dla rozwoju nauki, społeczeństwa i gospodarki. Dzięki niej naukowcy dowiadują się o potrzebach społeczeństwa i potrafią projektować badania zgodne z nimi. Społeczeństwo zaczyna lepiej rozumieć możliwości badaczy i potrafi lepiej artykułować swoje potrzeby, jednocześnie zwiększa się szacunek wobec pracy naukowców, a gospodarka rozwija się w zgodzie z potrzebami społeczeństwa z uwzględnieniem naukowych osiągnięć. Aby wdrożyć badania ze społecznym zaangażowaniem (ang. socially engaged research – SER), należy przeprowadzać badania z mieszkańcami i dla mieszkańców, mające na celu poprawę jakości ich życia poprzez partycypację, współtworzenie i współprojektowanie. W tych zmaganiach warto również otworzyć się na interdyscyplinarne podejście, które łączy naukowców z różnych dziedzin, przemysł, instytucje rządowe i społeczeństwo. Tego typu badania są już prowadzone przez niektóre ośrodki naukowe w Polsce, np. laboratorium ekonomii behawioralnej Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Kluczową grupą naukowców są młodzi, początkujący badacze otwarci na nowe wyzwania społeczne i zawodowe. To oni inten-



Rys. 1. Ilustracja przygotowana przy użyciu narzędzia DALL-E 2 by OpenAI



Rys. 2. Identyfikacja problemów w projekcie BETTER LIFE (przerobione, za: E-ZINE betterlifehorizon.eu)

sywnie poszukują nie tylko miejsca na staże podoktorskie, ale i zewnętrzne możliwości finansowania własnych pomysłów badawczych. Jak to jednak zrobić bez specjalistycznej infrastruktury, obiektów i know-how niezbędnych do szkolenia początkujących naukowców w celu zdobycia umiejętności w zakresie wdrażania badań, dotyczących wyzwań społecznych i przynoszących korzyści społeczeństwu? Czy istnieją możliwości większego zaangażowania społecznego w tworzeniu nowych programów edukacyjnych np. przez innowacyjne programy mentoringowe, a także rozpowszechniania przykładów dobrych praktyk lokalnych firm, które zostały wdrożone przez przedsiębiorczych studentów czy młodych naukowców? Zapewne tak. Przykładem są udane wdrożenia innowacji na rynek przez tworzenie spółek typu spin-off oraz jako bezpośredni transfer wiedzy z laboratoriów naukowych do firm. Jednak nie są to praktyki powszechne.

Potrzeba szerokiej współpracy świetnie wpisuje się w obecne trendy wychodzenia nauki naprzeciw społeczeństwu, biznesowi i jednostkom rządzącym. Nauka niejako powraca do swoich korzeni. O ile ekonomia klasyczna, której twórcą w XVIII w. był Adam Smith, zawierała elementy ekonomii behawioralnej, to ekonomia neoklasyczna wyewoluowała w kierunku modeli matematycznych, które bardzo upraszczały rzeczywistość. Jednakże ostatnie dekady badań z zakresu ekonomii behawioralnej pokazały, że sukces nauki jest możliwy tylko poprzez otwarcie na potrzeby społeczeństwa oraz interdyscyplinarne podejście. Zatem współpraca osób z różnych dziedzin, z różnym doświadczeniem jest po prostu niezbędna. Co najważniejsze, staje się ona coraz łatwiejsza dzięki nowym technologiom, które często dostępne są nieodpłatnie. Pozwalają one na szybką komunikację i wychodzenie poza stereotypy. W tym kontekście autorzy artykułu zastanawiali się, w jaki sposób sztuczna inteligencja przedstawiłaby transfer wiedzy i innowacji do społeczeństwa. Okazuje się, że i takie kroki z powodzeniem mogą być czynione, a przedstawia to przykładowa ilustracja przygotowana przy użyciu narzędzia DALL-E 2 by OpenAI (rys. 1).

Jak działać w praktyce?

Pytanie wcale nie jest trywialne, bowiem informacjami o sukcesach naukowcy dzielą się bardzo chętnie, a o porażkach czy choćby barierach spotkanych w trakcie realizacji badań znacznie rzadziej. Trwa przecież wielka dyskusja o tym, jak trudno publikować nieistotne statystycznie wyniki, a zwłaszcza wyniki badań, przy których badacze okropnie się namęczyli, a nie mogą pochwalić się społeczeństwu spektakularnymi wynikami. Wydaje się, że kluczem jest postawienie na prawdziwy dialog, rozmowy o charakterze warsztatów, letnich szkół, a wreszcie szczerze konsultacje przedstawicieli świata nauki z samorządami lokalnymi, przemysłem i organizacjami reprezentującymi społeczeństwo. Obecnie taki dialog toczy się w obszarze nauk przyrodniczych na międzynarodowym poziomie. Działania te mają na celu zdefiniowanie i zaprojektowanie ram dla badań ze społecznym zaangażowaniem oraz zidentyfikowanie kluczowych strategii (rys. 2).

Z instytucjonalnego punktu widzenia ten model współdziałania umożliwia instytucjom identyfikację ich zdolności, procesów i potencjalnych skutków związanych z badaniami ze społecznym zaangażowaniem. Naukowcom zaś zapewnia kompleksowy obraz wymagań, możliwości wsparcia i potencjalnych skutków związanych z ich zaangażowaniem w badania. Ponadto inne instytucje mogą łatwo ocenić i zrozumieć ramy działania badań ze społecznym zaangażowaniem.

Do realizacji takiego modelu współpracy korzystne mogłoby być powstanie cyfrowego centrum doskonałości, pomagające zwłaszcza młodym badaczom w transferze wyników ich badań do społeczeństwa. Choć brzmi to jak zadanie o charakterze biurokratycznym i niekoniecznie czysto naukowym, to naprawdę wielkie wyzwanie, zwłaszcza w obliczu wcześniejszych niepowodzeń instytucji naukowych w transferze wiedzy. Tym razem szanse na powodzenie są duże, gdyż do dialogu zaproszono nie tylko samych naukowców z nauk przyrodniczych i środowiskowych, ale także osoby zawodowo zajmujące się komunikacją, psychologią i socjologią, a także ekonomią.

Kilka słów o projekcie Better Life

Łatwo napisać, znacznie trudniej wykonać modne hasła o wielostronnym zaangażowaniu i współpracy. Jednak gdyby udało się nie tylko prowadzić badania na najwyższym poziomie, ale realizację i wyniki lepiej komunikować społeczeństwu, nasze życie naprawdę mogłoby stać się lepsze. Nie zaskakuje więc, że pomysł projektu badawczego posługuje się akronimem BETTER LIFE – nazwa pochodząca od szerszego tytułu *Bringing Excellence to Transformative Engaged Research in Life Sciences through Integrated Digital Centres* (<https://betterlifehorizon.eu/>). Jego głównym celem jest ustanowienie europejskiego cyfrowego centrum doskonałości dla badań ze społecznym zaangażowaniem, które zapewniłoby odpowiednią infrastrukturę dla transferu wiedzy i innowacji do społeczeństwa przez młodych naukowców z Europy. Projekt wpisuje się w wizję nauk przyrodniczych w 2030 r., która zakłada, że powinny one być przyjazne dla społeczeństwa, wspierać zrównoważony rozwój, w szczególności bioróżnorodność, zielone rolnictwo i eko-przyjazne praktyki. Wiąże się to również ze wzrostem publicznego zaufania do nauki i promowaniem współpracy. Projekt rozpoczął się we wrześniu 2022 r. i potrwa do sierpnia 2025 r. Składa się z sześciu zadań, których realizacja ma kosztować nieco ponad 1,8 mln euro, a wykonania podjęło się dziewięć instytucji partnerskich z Czech, Estonii, Łotwy, Niemiec, Polski, Rumunii, Serbii i Włoch. Całość koordynuje Czech University of Life Sciences, a Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu jest jego jedynym polskim partnerem i otrzymał na realizację projektu ponad 194 tysiące euro. Uczestnicy projektu liczą, że uda się zrobić krok w kierunku lepszej współpracy nauki ze społeczeństwem, po to byśmy mieli lepsze życie.

Ewelina Marek-Andrzejewska, Marta K. Nowak, Viktoria Takacs, Piotr Tryjanowski, Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu

Zacieśnić kontakty z Wyspami

O najnowszym raporcie PUSH (Polish-UK Scientific Horizons) dotyczącym polsko-brytyjskiej współpracy naukowej pisze Agnieszka Gawda, wiceprezesa Fundacji Polonium.

Pomimo wyjścia z Unii Europejskiej, Wielka Brytania stara się utrzymać ścisłą współpracę z wieloma krajami na kontynencie. Instytucje, takie jak Science & Innovation Network ze swoimi 100 biurami w 40 krajach świata, mają na celu wsparcie Wielkiej Brytanii w nawiązaniu partnerstw pod kątem badawczym i innowacyjnym. Nasza fundacja ma swoje korzenie na Wyspach i to właśnie tam polska diaspora naukowa była zawsze największa. To zmotywowało nas do przekucia

Naukowcy, którzy wzięli udział w badaniu, wskazują, że taka współpraca jest dla nich wartościowym aspektem rozwoju kariery. Najbardziej cenią sobie wysokie kompetencje współpracowników po drugiej stronie. Dla uczonych z Polski impulsem do kontaktów jest również dostęp do wysokiej jakości infrastruktury, podczas gdy dla brytyjskich dostęp do dodatkowych źródeł finansowania. Efektem podjętych przedsięwzięć są najczęściej wspólne publikacje naukowe i konferencyjne oraz nowatorskie wyniki, które stanowią podstawę do aplikowania o kolejne granty. Rządziej są to nowe technologie czy aplikacje patentowe.

Z raportu wynika, że i po jednej, i po drugiej stronie jest bardzo duża chęć współpracy (powyżej 96%). Przy odpowiednim wsparciu może ona rozwijać się jeszcze lepiej niż dotąd. Jednak potrzebne są inicjatywy, które rozwiążą największe problemy w nawiązywaniu relacji. Są to przede wszystkim ograniczenia związane z finansowaniem, brak ustanowionych kontaktów z naukowcami w drugim kraju oraz nieznanosć ścieżek, jak takich partnerów zdobyć.

Obie strony wskazują na środki unijne jako główne źródło finansując dotychczasowe partnerstwa. Po trudnych negocjacjach Wielka Brytania ponownie dołączyła jako beneficjent do programu Horyzont Europa (HE) i programu Copernicus, co z pewnością pomoże wielu zespołom ustanowić nowe czy wznowić wcześniejsze kontakty. Rolę uczestnictwa podmiotów brytyjskich w HE podkreślają wszystkie instytucje badawcze z Wysp, jest to obecnie najbardziej preferowana ścieżka finansowania projektów międzynarodowych, a zatem także okazja do rozwoju polsko-brytyjskich projektów.

Nasze działania w Fundacji Polonium skupione są na „łączeniu” polskich naukowców oraz wsparciu procesu cyrkulacji umysłów i ich wpływu na rozwój nauki w kraju. Naszym głównym planem na 2024 rok jest powrót z flagową konferencją „Science: Polish Perspectives” do Wielkiej Brytanii i tym samym połączenie środowisk badawczych i innowacyjnych obu krajów. Zamierzamy też zintensyfikować współpracę z obecnymi partnerami w świecie dyplomacji, nauki i innowacji oraz poszerzać nasze oddolne inicjatywy, takie jak program mentorin-gowy, który łączy naukowców różnych narodowości, oferując wsparcie na każdym etapie kariery.

W ostatnich latach coraz mocniej angażujemy się we współpracę z innymi organizacjami działającymi na rzecz naukowców, którzy opuścili ojczyznę, aby pracować za granicą. W tym roku rozpoczęliśmy finansowany przez HE projekt Connects-UK, dedykowany europejskim (w tym polskim!) naukowcom w Wielkiej Brytanii. Nasza aktywność w ramach konsorcjum również wesprze propagowanie informacji o dostępności finansowania dla obu stron oraz przede wszystkim łączenia potencjalnych partnerów pod kątem przyszłej współpracy.



znajomości świata naukowego w Wielkiej Brytanii i Polski w rekomendacje, które wspomogą rozwój relacji obu krajów w obszarze nauki i innowacji. Stąd też nasz udział w realizacji raportu.

Współpraca pomiędzy polskimi i brytyjskimi naukowcami na poziomie indywidualnym często odbywa się w ramach programów mobilności akademickiej na różnych etapach kariery czy przy realizacji projektów naukowych. Natężenie kontaktów szczególnie widać na przykładzie wspólnych publikacji, ich liczba w ciągu ostatnich 20 lat wzrosła ponad pięciokrotnie. W okresie 2005–2014 Polska znalazła się na 19 miejscu wśród dwudziestu krajów, z którymi Wielka Brytania prowadzi najaktywniejszą współpracę międzynarodową. W tym czasie ukazało się 13 690 publikacji z udziałem badaczy z Polski i Wielkiej Brytanii. Pokazna jest też liczba konsorcjów, w których uczestniczyły bądź uczestniczą instytucje z obu krajów w programie Horyzont 2020 (1044), a teraz Horyzont Europa (kolejnych 350). Obszary, w których ta kooperacja jest najbardziej intensywna, to nauka i technologia STEM. Z raportu wiemy też, że naukowcy wskazują właśnie na dyscypliny inżynieryjne, technologiczne oraz nauki przyrodnicze i medyczne jako najbardziej pożądane pod kątem przyszłej współpracy.

A jak to widzą polscy i brytyjscy naukowcy, którzy wzięli udział w naszym badaniu? Zaznaczę, że około połowa respondentów prowadziła w przeszłości taką współpracę. Najczęstsze jej formy to wspólne projekty naukowe, a także wydarzenia i programy mobilności akademickiej, w dużej mierze finansowane z funduszy unijnych. Obserwowany obecnie spadek trwających współprac respondentów obu stron do poziomu 25% w stosunku do tego sprzed Brexitu związany jest prawdopodobnie z ograniczeniem dostępu do tych środków.

Raport jest dostępny na stronie internetowej Fundacji Polonium.

Transfer wiedzy: konieczna zmiana systemu ewaluacji

Obowiązujący w Polsce system ewaluacji jakości działalności naukowej działa źle. W swoim obecnym kształcie prowadzi do wykształcenia i utrwalania patologii na wielu płaszczyznach. Jednym z rezultatów jest skuteczne, długofalowe blokowanie rozwoju innowacyjności w tym obszarze, w którym swój udział powinni mieć badacze zatrudnieni przez instytucje naukowe.

Jako Porozumienie Akademickich Centrów Transferu Technologii (PACTT) oraz Porozumienie Spółek Celowych (PSC) uczelni czujemy się uprawnieni do zabrania głosu w ważnej dyskusji o tym, jak nauka w Polsce mogłaby się rozwijać z korzyścią dla środowiska naukowego, gospodarki i całego naszego społeczeństwa. PACTT zrzesza obecnie 87 centrów transferu technologii działających w uczelniach i instytutach badawczych. PSC to 34 spółki celowe, które co do zasady odpowiadają m.in. za wspieranie komercjalizacji badań naukowych oraz pomaganie naukowcom w zakładaniu akademickich start-upów (spółek spin-off). Nie ma zatem w Polsce instytucji działających na styku nauki i biznesu, którym byłoby bliżej niż nam do problematyki transferu technologii z uczelni do społeczeństwa oraz do współpracy akademickiego środowiska naukowego z otoczeniem.

Nauka a jej wpływ na społeczeństwo

Jak wiemy, w obecnie obowiązującym systemie ewaluacji jednym z trzech kryteriów oceny jest wpływ działalności naukowej na funkcjonowanie społeczeństwa i gospodarki. W samym założeniu to oczywiście bardzo dobrze, że ocena działalności naukowej uwzględnia element wpływu nauki na społeczeństwo. Nie negując potrzeby prowadzenia badań podstawowych, które stanowią jedno z ważnych źródeł innowacji, ocena jakości prac badawczych powinna poddawać analizie to, w jaki sposób wysiłki naukowców przekładają się na dobrostan społeczny i jak przyczyniają się do rozwoju gospodarki lub choćby budowania siły państwa opartej na innowacyjności, rozwoju technologii czy poprawie innych czynników dających przewagę konkurencyjną nad innymi krajami.

Dzisiejszy system ewaluacji niby to bada, jednak w praktyce działa tak, że blokuje rozwój innowacyjności i powoduje, że miarzącej większości naukowców bliżej jest do badań podstawowych i generowania punktowanych publikacji niż do realizacji prac o charakterze aplikacyjnym. W każdym razie, pomijając ewentualne usługi zlecone instytucjom badawczym przez biznes, na ponad 120 tys. naszych naukowców jedynie garstka „wychodzi na zewnątrz”, próbując współpracować ze swoim otoczeniem.

Ewaluacja jakości badań naukowych – co działa źle?

O tym, co działa źle w systemie ewaluacji, można napisać książkę. Tu przytaczamy dosłownie kilka przykładów, które pokazują, że polski badacz nie ma żadnego interesu w tym, by starać się wykorzystać swój potencjał do bycia innowacyjnym.

Ocena za przyznane patenty. Odnosi się do faktycznie przyznanych patentów, a nie do komercjalizacji czy faktycznego wpływu odkrycia naukowego na społeczeństwo i gospodarkę. W obszarze ochrony własności intelektualnej proces przyznawania patentów zajmuje kilka lat. Dla badaczy to zbyt odległa perspektywa oczekiwania na punkty premiujące wysiłek. Częstokroć tak ustalona ocena jest o tyle niesprawiedliwa, że opracowane technologie mogą być skomercjalizowane tuż po złożeniu zgłoszenia do ochrony patentowej. W praktyce oznacza to, że wynalazek, który już wywiera wpływ społeczny, nie jest premiovany. To nieracjonalne.

Skąd w Polsce bierze się tak niski odsetek zgłoszeń do ochrony międzynarodowej w procedurze EPO na tle ogólnej liczby zgłoszeń?

Stąd właśnie, że ogólnie rzecz ujmując, zgłoszenia polskie są jakościowo słabe. W tym sensie, że łatwo je „obejść”, a także w tym, że nie są konkurencyjne na arenie międzynarodowej. Podkreślił jednak: nasze wynalazki nie są słabe dlatego, że kadra naukowa jest słaba. Wynalazki są słabe bądź ich nie ma, ponieważ przyjęty system ewaluacji demotywuje badaczy do przyjęcia postaw rodzących innowacyjność. Innym powodem są wysokie koszty utrzymania międzynarodowej ochrony patentowej. W konsekwencji, gdy już wypracujemy wartościowe technologie, często dochodzi do tego, że instytucje naukowe rezygnują z ochrony własności intelektualnej poza Polską.

Prawdziwa innowacyjność się nie liczy. Okres pandemii i wojny na Ukrainie dobitnie pokazał, że liczne grupy naukowców potrafią nie tylko aktywnie włączać się w przeróżne działania pomocowe, ale same wypracowują nowe, potrzebne rozwiązania. To jest prawdziwa innowacyjność, czyli taka, która rodzi się z rzeczywistych potrzeb społecznych i gospodarczych. Niestety, obecny system nie premiuje ani zaangażowania, ani wypracowanych rozwiązań, nawet jeśli wykazują one oddziaływanie społeczne i niosą realną wartość. Nawet jeśli ich źródłem jest kreatywność i wiedza badaczy. System premiuje jedynie te innowacje, które poprzedziły publikacje naukowe. To się nie mieści w głowie, ale tak jest. Nie jest zatem ważny realny wpływ na otoczenie, rzeczywista postawa badaczy czy wykazane zaangażowanie i poświęcenie. System tego nie weryfikuje i nie punktuje. A zatem również w żaden sposób – jako narzędzie – nie motywuje do przyjmowania postaw mających decydujący wpływ na rozwój innowacyjności w kraju.

Fetyszowanie publikacji naukowych. Skoro system działa tak, że w ewaluacji na piedestale stawiane są punkty za publikację, raczej zdecydowana większość naukowców nie będzie miała ochoty angażować się w „zmienianie świata” poprzez wywieranie wpływu swoją pracą badawczą na otoczenie. Za publikację w czasopiśmie z największą liczbą punktów można otrzymać ich 200. Odnosząc to do punktów przyznawanych za komercjalizację, jedna taka publikacja w czasopiśmie naukowym jest równoważna sprzedaży wypracowanej własności intelektualnej za kwotę 2 mln zł (1 punkt przyznawany jest za każde 10 tys. zł przychodu). Zestawmy te dane ze sobą i zadajmy pytanie, co bardziej się opłaca?

Mądra ewaluacja pilnie potrzebna

Potrzebujemy zmian systemowych i to pilnie. Zachęcamy, gorąco apelujemy, prosimy i oczekujemy od nowego ministra nauki, by pochylił się nad przyjętymi rozwiązaniami w zakresie ewaluacji jakości działalności naukowej w Polsce. Obecny system powoduje, że choć dysponujemy potężnym potencjałem badawczym, nie wykorzystujemy go. Nie rozwijamy się w dostatecznym stopniu, przez co ustępujemy krajom, które wcześniej przyjęły lepsze rozwiązania. Potrzebujemy takich, które pobudzą środowisko badaczy do wypracowywania innowacji i jednocześnie będą animowały współpracę z otoczeniem instytucji badawczych. System powinien też inspirować do współpracy interdyscyplinarnej w środowisku naukowym. Potrzeba, aby na poziomie rozwiązań ogólnokrajowych w ścieżkę rozwoju kariery naukowca wpisać współpracę z otoczeniem. Konieczne jest przyjęcie miarodajnych wskaźników, które będą dawały obraz faktycznego, a nie iluzorycznego wpływu pracy naukowej na społeczeństwo.

Rada Koordynacyjna PACTT, PSC

Pełna treść artykułu wraz z listą autorów na stronie internetowej www.forumakademickie.pl.

Nauka i przedsiębiorczość

Podjęta przed laty decyzja o podwyższeniu współczynnika scholaryzacji społeczeństwa spowodowała wiele obecnych problemów szkolnictwa i nauki w Polsce. W roku 1990 mieliśmy ok. 390 tys. studiujących, w 2005 już 1,95 mln, obecnie około 1,2 mln. Ten niespotykany w świecie wzrost skutkuje trudnościami finansowania uczelni (jest ich 369, w tym 131 publicznych). Rozbudowana liczba konsumentów funduszy budżetowych przeznaczonych na kształcenie i naukę powoduje rzeczywiste odczuwanie niedostatków finansowania dla zrealizowania podstawowych celów statutowych jednostek. Kolejne reformy nie poprawiły w widoczny sposób jakości nauki i poziomu absolwentów, a może nawet je pogorszyły. Wciąż plusujemy się w końcówce listy innowacyjności, pracodawcy twierdzą, że brakuje im odpowiednio przygotowanych specjalistów po studiach, zaś rynek nie jest w stanie wchłonąć tak dużej liczby absolwentów zgodnie z wybranym przez nich kierunkiem kształcenia, co rodzi zrozumiętą frustrację.

Coraz więcej studentów kończy edukację po pierwszym stopniu i wchodzi na rynek pracy zupełnie nieprzygotowani do jego wyzwań. Większość powstałych czy przemianowanych „akademii” i „uniwersytetów” pozostaje zwykłymi szkołami wyższymi, których działalność sprowadza się do przekazywania wiedzy (na różnym poziomie potrzeb rynkowych) sprawdzanej w zdefiniowanym systemie testów i w konsekwencji przyznawania dyplomów ukończenia studiów.

Istotna i zdecydowana zmiana może zostać osiągnięta jedynie po głębszej i gruntownej reformie. Kryją się pod nią: rozbudowane średnie szkolnictwo zawodowe, stopniowa redukcja liczby szkół wyższych, uruchamianie kierunków studiów potrzebnych do rozwoju gospodarczego i bezpieczeństwa kraju, zmniejszenie liczby studentów, bon edukacyjny z możliwością umorzenia, aby każdy zakwalifikowany student mógł podjąć naukę, system „płace i wymagam”, który może pobudzić konkurencję w wyborze miejsca i kierunku studiów, skuteczna polityka elastyczności zatrudnienia nauczycieli akademickich (szkodliwa etatowość).



Adam Smith

Aby studia były atrakcyjne, należy zaferować studentom program nauczania gwarantujący osiągnięcie kreatywnych postaw z możliwością łatwego dostosowania się do wymogów rynkowych. Przecież to z uniwersytetów powinny się wywodzić nowe elity i idee skutkujące rozwojem państwa. Tymczasem duża część uczniów szkół ponadpodstawowych wybiera kształcenie zawodowe, zaś władze uczelni na siłę poszukują kandydatów na studia w dodatkowych jesiennych naborach. Taka sytuacja wskazuje na konieczność reformy szkolnictwa wyższego. Mając na uwadze korzyści społeczne i gospodarcze, należy znaleźć równowagę pomiędzy kształceniem egalitarnym i elitarnym. To drugie jest istotną składową rozwoju ekonomicznego kraju.

Nowe kryteria oceny prac badawczych

W Polsce pogarszają się okoliczności podejmowania aktywności przedsiębiorczej. Brakuje systemowego nagradzania osób decydujących się na taki krok. Zgodnie z najnowszym raportem GEM (Global Entrepreneurship Monitor) założeniem firmy zainteresowanych jest tylko 3% Polaków (w roku 2011 odsetek ten wynosił 23%). Jest to najgorszy wynik wśród 47 monitorowanych państw. Należy odwrócić ten trend, abyśmy nie stali się postkolonialnym zaściankiem. Ze strony środowiska akademickiego niezbędna jest inicjatywa reformy finansowania badań przez zmianę ich struktur, profilowanie celów i wymagań oraz kryteriów w ocenie wyników. Konieczne jest rozróżnienie tych elementów w trzech podstawowych obszarach działalności naukowej: naukach inżynierskich, przyrodniczych i naukach o życiu oraz naukach humanistyczno-społecznych.

Nowy system finansowania w dziedzinie nauk technicznych powinien doprowadzić do powstania kilku elitarnych uniwersytetów technicznych. Kryterium ich finansowania ze środków budżetowych powinien być program i jakość kształcenia, a nie liczba studentów. Umożliwi się w ten sposób budowanie systemu mentoringu, szczególnie efektywnego w przekazywaniu wiedzy i budowania postaw przedsiębiorczych studentów. Elitarny uniwersytet przedsiębiorczy wykształci liderów biznesu potrafiących łączyć podstawową wiedzę inżynierską w konkretnej dyscyplinie z wykorzystaniem osiągnięć w pokrewnych dyscyplinach nauk przyrodniczych i humanistyczno-społecznych. Z takiej wiedzy powstają innowacyjne pomysły, a uniwersytet pozyskuje dodatkowe środki zewnętrzne na swoją działalność. Dla wprowadzenia tych zmian niezbędna jest strategia państwa wyznaczająca perspektywę i drogę osiągnięcia dobrobytu, w której innowacyjność, nauka i kształcenie odgrywają kluczową rolę jako immanentne składniki rozwoju nowoczesnej gospodarki.

Dla każdego z wymienionych wyżej trzech obszarów należy zdefiniować osobne kryteria. Jeden element procedury oceniania powinien być wspólny: ostateczna ocena w wyniku dyskusji panelowej, w której recenzenci są tak samo ważnym elementem jak wnioskodawcy i ponoszą pełną odpowiedzialność za ocenę.

Osiągnięcia w obszarze nauk inżynierskich weryfikuje głównie rynek poprzez komercjalizację wyników badań. W pozostałych dwóch obszarach ważnym elementem oceny są publikacje i podejmowana tematyka badawcza. Moim zdaniem należy krytycznie podchodzić do „miękkich” kryteriów oceny wyników badań podstawowych na podstawie zakumulowanej liczby publikacji. Następuje bowiem gwałtowna inflacja wartości uzyskiwanych informacji zawartych zwłaszcza w naukach eksperymentalnych („mam nowe, dobre narzędzia pomiarowe – mam publikacje”). Potrzebne jest ograniczenie liczby publikacji przez nałożenie „cugli”. Badania eksperymentalne powinny być ukierunkowane przez określenie głęboko uzasadnionej hipotezy teoretycznej. Zbieranie danych bez programu i robienie na tej pod-

stawie, na siłę, opisu ilościowego ma krótkotrwałe znaczenie. Dotarcie do prawdy jest ograniczone bowiem nie tyle przez fałsz, który jest łatwo rozpoznawalny, co przez grubą warstwę danych bez znaczenia.

W systemie edukacji w szczególności sposób należy uwzględnić ważną składową, którą jest wykształcenie akademickie, łączące nauczanie oraz badania naukowe prowadzone w warunkach konkurencji i rywalizacji. Wynikiem takich działań są elity zasilaające firmy, przyczyniając się tym samym do wzrostu możliwości rywalizacji rynkowej w warunkach dużej konkurencyjności. Przy wspomnianym sposobie działania, kiedy przekroczony zostanie pewien poziom wartości PKB, zaczynają rosnąć nakłady na badania, również te o charakterze podstawowym. Dopóki nie zostanie wytworzony podobny mechanizm, pozostaniemy w zakłętym kręgu, w którym głównym żądaniem uzasadniającym podniesienie jakości badań będzie wzrost wartości środków budżetowych przeznaczonych na naukę.

Kształtowanie postaw przedsiębiorczych

Zgodnie z danymi Eurostatu, gospodarka Polski rozwija się stabilnie i jest szóstą co do wielkości w Unii Europejskiej. Bardzo wysoko oceniany jest jej potencjał rozwojowy dzięki szczególnej aktywności przedsiębiorców. Tempo rozwoju może być jeszcze większe pod warunkiem wzrostu udziału innowacyjności, przede wszystkim w istniejących i powstających małych i średnich przedsiębiorstwach. Zarządzane są one przez dobrze wykształconych menedżerów z dużym doświadczeniem. Struktura działań przedsiębiorstw, mimo niekwestionowanych sukcesów, nie jest korzystna w perspektywnym rozwoju gospodarczym. Stanowi bowiem głównie komponent w systemie dostaw produktów dla dużych zagranicznych partnerów. Redukuje się w ten sposób istotny element niezależności gospodarczej. Niezbędna jest polityka kreowania i wzmocnienia pozycji własnych marek produkcyjnych opartych na oryginalnych rozwiązaniach. Firmy potrzebują istotnego wsparcia w tym względzie ze strony instytucji naukowych. Siłą napędową innowacyjnej gospodarki, decydującej o poziomie rozwoju ekonomicznego, są głównie nauki inżynierskie inspirowane i rozwijane dzięki osiągnięciom badawczym z obszaru nauk przyrodniczych i o życiu wspomagane wynikami badań nauk humanistyczno-społecznych.

Dlatego uważam, że wprowadzenie nowych kryteriów oceny i finansowania uczelni technicznych mogłoby być swego rodzaju punktem wyjścia. Nowy, spójny system wymusi zmiany programowe i strukturalne prowadzące do powstania uniwersytetu przedsiębiorczego (UP), a więc uczelni mieszczącej się w obecnym systemie edukacyjnym, której działanie prowadzić będzie do kształtowania postaw przedsiębiorczych studentów i absolwentów.

Uniwersytety przedsiębiorcze

Cel istnienia uniwersytetów przedsiębiorczych opierałby się na badaniach (innowacje i partnerstwo) i rozwoju (intensywne kontakty na poziomie gospodarczym z otoczeniem biznesowym). Realizacja wiodłaby przez organizację odpowiedniej struktury na poziomie dydaktycznym i badawczym oraz stworzenie kryteriów oceny jednostek i zespołów badawczych wymuszających projakościowe zmiany.

Postawy przedsiębiorcze łatwiej budować na fundamencie klasycznego kapitalizmu, którego idee stworzył Adam Smith, ilustrując tę koncepcję w podstawowych dziełach: *Teoria uczuć moralnych* i *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów*. Bogactwo bierze się bowiem z pracy i oszczędności, a nie z zasiłków zniechęcających do przedsiębiorczości, zaś etyka leży nie poza gospodarką, lecz jest jej wewnętrzną zasadą. W teorii Smitha społeczeństwo stanowi zbiór racjonalnych jednostek, które w swoim działaniu kierują się zasadą własnej korzyści (homo oeconomicus), w zbiorze dostępnych danych i informacji optymalizują swoje postępowanie. Te zasady racjonalności w działalności gospodarczej ujawniają się w stanie zupełnej wolności i przenoszone są zwykle na działalność zbiorowości.

Struktura organizacyjna

1. Kształcenie

- Struktura wydziałowa odpowiedzialna za kształcenie na poziomie przeddyplomowym (undergraduate). Program studiów powinien być nastawiony głównie na przedmioty praktyczne, przygotowujące bezpośrednio do zawodu po zakończeniu I stopnia.
- Szkoły (kolegia) organizujące kształcenie i badania na poziomie II i III stopnia, integrujące nauki inżynierskie według stosowanych metod i narzędzi: chemiczna, mechaniczna, budowlana, elektryczna, informatyczna i inne wynikające ze specyfiki gospodarki i obecnej struktury uczelni.

2. Badania

- Podstawową jednostką badawczą jest specjalistyczne Laboratorium Badawcze (LB). Kształtuje ono poziom naukowy uczelni, którego wynikiem są rozwijane metody, narzędzia i nowe osiągnięcia badawcze udokumentowane patentami i publikacjami. Na tym szczeblu powstają start-upy oraz spin-offy.
- Wyższym stopniem integracji są multi- oraz interdyscyplinarne Centra Badawcze (CB). Ich celem jest opracowywanie rozwiązań służących programom gospodarczym i socjalnym kraju. Związane są one ze strategią państwa.

Nie jestem ekonomistą, ale jako inżynier mam przekonanie, że podstawowe zasady wynikające z wolnorynkowej koncepcji ekonomicznej Adama Smitha są wciąż aktualne i fundamentalne na poziomie tworzenia programu działań przedsiębiorstwa. Oparcie się na nich daje przedsiębiorcy poczucie bezpieczeństwa i pełnej klarowności działań, a przez to budzi zaufanie współpracowników. Współcześnie w niektórych środowiskach kontestuje się tę filozofię. Reguły działania giełdy i rynków finansowych zaburzają te zasady, wprowadzając do systemu nieprzewidywalne, sterowane z zewnątrz spekulacyjne zdarzenia. Nowe nurty, uzupełniające niepewność rynkową, są przedmiotem tzw. ekonomii behawioralnej.

Tymczasem mamy zanik struktur wolnorynkowych zamienionych w neofeudalizm wynikający z pazerności korporacyjnej. Takie niekorzystne, globalne zmiany są niestety łatwiejsze przez pogłębianie próżni aksjologicznej w zagubionym społeczeństwie ponowoczesnym. Utrudnia to m.in. tworzenie wspólnot podejmujących się realizacji postawionego celu.

Trudno spodziewać się systemowego programu zmian zainicjowanego przez polityków. Możliwe to będzie przez inicjatywy środowiskowe. Wprowadzenie w programach grantowych projektów wymagających nowego podejścia do badań, których wyniki powinny być w zdefiniowanej perspektywie komercjalizowane, uzdrowi zwłaszcza nauki inżynierskie i profile badań w naukach przyrodniczych. Ukierunkowanie finansowania, kryteria i wymogi spełniające postawy przedsiębiorcze, wymuszą zmiany organizacyjne i dydaktyczne w uczelniach. Zmiany te przyciągną młodych zdolnych, którzy obecnie wybierają studia zagraniczne.

Nowe nastawienie społeczne do takich działań jest już zauważalne. Obserwuje się nowe trendy w szkolnictwie ponadpodstawowym, gdzie ok. 60% uczniów wybiera kształcenie branżowe. Wzrasta prestiż fachowości. To zdrowy odruch rodziców rozumiejących, że efektywne szkolnictwo zawodowe jest kluczowym elementem nowoczesnej gospodarki i w konsekwencji „bogactwa narodów”. Na takiej bazie rozwinię się silna klasa średnia, odporna na niezdrowy gospodarczo korporacjonizm.

Leon Gradoń
Politechnika Warszawska

Rozmowa z prof. Filipem M. Szymańskim, przewodniczącym Komisji Ewaluacji Nauki oraz prof. Dariuszem Kupiszem, przewodniczącym zespołu ds. ewaluacji szkół doktorskich KEN

Wszystko zacznie się w październiku

Zgodnie z obowiązującym prawem uczelnia będzie musiała zamknąć ocenioną negatywnie szkołę doktorską. Niestety prawo nie przewidziało dokładnie skutków ewaluacji i w praktyce ta sama uczelnia może za chwilę otworzyć kolejną szkołę, gdyż uprawnień nie traci.

Według ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce pierwsza ocena szkoły doktorskiej powinna się rozpocząć w pięć lat po jej utworzeniu. Tonajbliższe zadanie Komisji Ewaluacji Nauki.

Pierwsze szkoły doktorskie powstały w 2019 r. Obowiązujące przepisy mówią, że szkoła może zostać oceniona najwcześniej po pięciu latach od jej utworzenia. Ewaluacja rozpocznie się zgodnie z planem w październiku bieżącego roku, a więc zachowujemy ustawowy okres. Szkoła doktorska powinna być oceniana nie rzadziej niż raz na sześć lat.

Co już wiadomo o tej ocenie?

Mamy w kraju ponad 150 szkół doktorskich, które zostaną ocenione przez Komisję Ewaluacji Nauki. W tej chwili pracownicy Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Ośrodka Przetwarzania Informacji kończą przygotowanie systemu informatycznego, który będzie służył do przeprowadzenia ewaluacji zarówno samej szkole doktorskiej, jak i Komisji, a zwłaszcza powołanemu przez nią zespołowi ekspertów, oceniającemu konkretną szkołę doktorską. W składzie każdego zespołu znajdzie się ekspert zagraniczny. Odpowiedni formularz, zwłaszcza jego część A, będzie w pierwszym rzędzie pozwalał wygenerować informacje o charakterystyce danej szkoły doktorskiej. Podstawowe dane będzie zaciągał z POLonu, ale pokaże też specyfikę szkoły, np. informacje o jej współpracy z samorządem doktorantów. Ważniejsza jednak dla ewaluacji jest część B formularza, w której znajdzie się raport samooceny szkoły, który jeszcze przed wizytacją da zespołowi oceniającemu pierwszy wgląd w tę instytucję, jej sposób funkcjonowania, zasady rekrutacji i wiele innych spraw. Na tym etapie możemy jeszcze wezwać szkołę do uzupełnienia informacji. Później zespół oceniający proponuje termin wizyty w danej szkole, odwiedza jednostkę, a w konsekwencji przedstawia raport o ewaluowanej szkole doktorskiej w języku polskim i angielskim. Ważne w części B są pewne kryteria oceny, np. patrzymy, czy program kształcenia jest adekwatny do zało-

zonych efektów kształcenia, zgodnych z odpowiednim – w tym wypadku czwartym – poziomem polskiej ramy kwalifikacji. Zwracamy też uwagę na kompetencje kadry – czy odpowiadają wskazanemu profilowi kształcenia w danej szkole doktorskiej. Kolejne punkty to jakość procesu rekrutacji do szkoły doktorskiej, jakość opieki naukowej lub artystycznej i wsparcie działalności naukowej doktoranta. W końcu sprawdzimy też rzetelność przeprowadzenia oceny okresowej, która ma przecież pokazać, czy doktorant idzie dobrą drogą, po to aby miał czas na korektę. Kolejnym punktem jest umiędzynarodowienie szkoły doktorskiej, w tym umiędzynarodowienie kadry, ale i jej mobilność międzynarodowa. Podobnie w przypadku doktorantów – umiędzynarodowienie uczestników szkoły doktorskiej, ale i ich mobilności zagraniczne. No i wreszcie sprawdzamy skuteczność kształcenia doktorantów; zwracamy uwagę na to, czy doktorant będzie w stanie obronić się w terminie. Niestety widzimy, że wciąż podnoszone są postulaty przedłużania terminów obrony prac doktorskich, co dotyczy nie tylko studiów doktoranckich, ale również szkół doktorskich.

Wspominali panowie o zespołach oceniających.

Pozyskiwanie ekspertów do zespołów oceniających jest ważnym zadaniem, bo od tego w dużej mierze zależy jakość ewaluacji. Zespół oceniający będzie liczył od czterech do siedmiu ekspertów – nie zostało to jeszcze rozstrzygnięte – z których jeden musi być z zagranicy. Wiemy na pewno, kto nie może być ekspertem: rektor uczelni prowadzącej szkołę i odpowiednio dyrektor instytutu PAN czy badawczego, dyrektor Centrum Badawczego Mikołaja Kopernika, członkowie PKA, RDN, KPN, prezes i wiceprezesi PAN, przewodniczący i wiceprzewodniczący RGNiSW, sekretarz generalny Akademii Kopernikańskiej. Przyjęliśmy zasadę, że naukowcy spełniający kryteria ustawowe i wymagania, będą się zgłaszać indywidualnie. W zespołach oceniających mają też się znaleźć przedstawiciele doktorantów. Konsultowaliśmy się w tej kwestii z Krajową Reprezentacją Doktorantów, która będzie



Prof. dr hab. n. med. i n. o zdr. **Filip M. Szymański** jest przewodniczącym Komisji Ewaluacji Nauki. Jego zainteresowania naukowe dotyczą chorób cywilizacyjnych, nieklasycznych czynników ryzyka, stratyfikacji ryzyka, farmakoterapii oraz AI. Pracuje w Collegium Medicum Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, gdzie pełni funkcję dziekana Wydziału Medycznego i kieruje Katedrą Chorób Cywilizacyjnych. Jest prezesem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Chorób Cywilizacyjnych, autorem/współautorem ponad 250 artykułów naukowych, które były cytowane m.in. w wytycznych międzynarodowych towarzystw naukowych.



Fot. Piotr Kiereński

Prof. dr hab. **Dariusz Kupisz** (ur. w 1966 r.) kieruje zespołem ds. ewaluacji szkół doktorskich Komisji Ewaluacji Nauki. Pracuje w Instytucie Historii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Prowadzi badania nad historią wojskowości staropolskiej oraz parlamentaryzmem i sejmikami, a także nad dziejami rodów szlacheckich, parafii i miejscowości dawnej Małopolski, historią administracji i gospodarki XVI-XVIII w. Jest członkiem Komitetu Nauk Historycznych PAN i Rady Naukowej Polskiego Słownika Biograficznego. Przewodniczy Radzie Naukowej Wydawnictwa Sejmowego i ministerialnemu Zespołowi ds. grantów „Doskonała Nauka”.

mogła zgłosić swoich reprezentantów, a my przydzielimy ich do konkretnych zespołów. Istotnym wymogiem w stosunku do członków zespołów oceniających jest dobra znajomość języka angielskiego, po pierwsze dlatego, że zespół ma być międzynarodowy, a po drugie, będzie stykał się z kadrą i studentami międzynarodowymi; no i wreszcie raport ma być przedstawiony także w języku angielskim. Eksperti muszą mieć doktorat, ale nie tylko – powinni posiadać odpowiedni dorobek naukowy, z natury rzeczy nie dotyczy to doktorantów, to nie może być ktoś no name. Muszą też mieć nieposzlakowaną opinię, nie może to być ktoś karany dyscyplinarnie, a już nie daj Boże za plagiaty naukowe.

Kiedy zostanie skompletowany korpus ekspertów i odbędą się ich szkolenia?

Nabór kandydatów na ekspertów rozpocznie się niebawem, może jeszcze w końcu lutego lub na początku marca. Ośrodek Przetwarzania Informacji kończy już pracę nad platformą, która będzie zawierała formularz zgłoszenia kandydata. Jest ona tworzona pod nadzorem członków zespołu ds. ewaluacji oraz pracowników ministerstwa. Zawiera podstawowe dane, które osoba chcąca pracować w zespole oceniającym będzie mogła dość łatwo i szybko uzupełnić. Chociaż formularz nie jest rozbudowany, zawiera np. rubryki: miejsce zatrudnienia, reprezentowane dyscypliny, ważniejsze publikacje i osiągnięcia; to pozwoli Komisji Ewaluacji Nauki wyselekcjonować

i zaproponować odpowiednich specjalistów do zespołu oceniającego daną szkołę. Nabór pozostanie otwarty. Podobnie szkolenia. Pierwsze chcielibyśmy zorganizować najpóźniej w lipcu i sierpniu, a jeśli się uda, to może i w czerwcu. Przewidujemy, że będą odbywały się co jakiś czas on-line, w miarę zgłaszania się kolejnej, odpowiednio licznej grupy nowych kandydatów na ekspertów.

Jak będzie wyglądał nabór ekspertów zagranicznych? Wiemy, że inne agencje mają z tym problem, jest sporo odmów.

Nabór ekspertów zatrudnionych w zagranicznych uniwersytetach oraz innych zagranicznych placówkach badawczych będzie identyczny, jak polskich. Roześlemy informację o nim do zagranicznych podmiotów ze wskazaniem, gdzie szukać informacji. Wszystkie, łącznie z kartą zgłoszenia wypełnianą on-line, będą na stronie systemu ewaluacji szkół doktorskich (SEDOK). Oczywiście, każdy zainteresowany będzie ją wypełniał osobiście, przewidywane jest również szkolenie on-line, zarówno ekspertów zatrudnionych w podmiotach krajowych, jak i zagranicznych. Będzie się ono odbywało cyklicznie, w miarę gromadzenia odpowiedniej ilości zgłoszeń. Warto przy okazji wyjaśnić, co rozumiemy przez eksperta „z zagranicy”. Chodzi tu o podstawowe zatrudnienie w uczelni, bądź jednostce badawczej poza granicami Polski, a więc takim ekspertem może być również obywatel naszego kraju spełniający wspomniany wymóg.

Jaki jest harmonogram ewaluacji szkół doktorskich?

Jak już wspominaliśmy, ocena rozpocznie się w październiku 2024 roku. Ta procedura będzie prowadzona po raz pierwszy, zatem nie mamy stuprocentowej pewności, ile czasu zajmie np. wizytacja określonej szkoły. Chcielibyśmy, żeby nie trwała dłużej niż jeden do trzech dni. Szkoły doktorskie są różne, małe i duże, jednorodne i wielodyscyplinowe, a nawet wielodzielnicowe. Tu jest wiele niewiadomych. Najpierw mamy do czynienia z wprowadzaniem danych do systemu przez szkołę doktorską i wygenerowaniem raportu samooceny. Pierwsze szkoły dostaną w październiku 2024 roku wezwanie do sporządzenia raportu samooceny. Na to będą miały do dwunastu tygodni, to wynika z istniejącego prawa. Dopiero na podstawie tego raportu w ciągu trzydziestu dni zespół oceniający powołany przez KEN wybierze obszary do weryfikacji podczas wizyty w szkole i przygotowuje tę wizytę. Tym samym w praktyce pierwsze wizytacje rozpoczną się w styczniu – lutym 2025 r. Szkoła jest powiadamiana o terminie wizyty, jej harmonogramie i obszarach weryfikacji, a w zapowiedzianym terminie przyjeżdżają eksperci i oceniają szkołę. Na podstawie wizytacji zespół sporządzi raport. Potem szkoła dostanie dwa tygodnie na zgłoszenie wyjaśnień i uwag do tego dokumentu. Następnie zespół zaprezentuje ostateczną wersję raportu, który jest podstawą wydania uchwały przez Komisję Ewaluacji Nauki. Wynik oceny – pozytywny lub negatywny – będzie zawarty w uchwale KEN, która jest publikowana w Biuletynie Informacji Publicznej. Od tej decyzji można się będzie odwołać, zgłosić do niej zastrzeżenia. I dopiero po rozpatrzeniu odwołania wydajemy ostateczną uchwałę.

Jakie mogą być konsekwencje negatywnej oceny szkoły doktorskiej?

W zasadzie w tej chwili mamy sytuację, którą należy wyjaśnić. Zgodnie z obowiązującym prawem, uczelnia będzie musiała ją zamknąć. Niestety prawo nie przewidziało dokładnie skutków ewaluacji i w praktyce ta sama uczelnia może za chwilę otworzyć kolejną szkołę, gdyż uprawnień nie traci. Należałoby zmienić prawo w tym zakresie. Mamy na to jeszcze czas. Chcemy jednak uspokoić dyrektorów szkół doktorskich.

Rozumiemy, że funkcjonują od niedawna, stąd zespoły oceniające – nie przymykając oczywiście oczu na ewidentne przypadki zaniedbań – będą się starały raczej wskazywać obszary wymagające naprawy. W takim przypadku szkoła będzie miała dwa lata na eliminację niedociągnięć i ponowną weryfikację.

Kiedy ocena szkół doktorskich się zakończy? Czy to się uda zrobić do końca 2025 roku?

Nie da się w tej chwili przewidzieć i podać konkretnego terminu, bowiem w odróżnieniu od ewaluacji uczelni oraz instytutów naukowych nie jest to proces jednorazowy, w którym co kilka lat oceniamy jednocześnie wszystkie szkoły i ogłaszamy ich ranking. Szkoły nie otrzymują kategorii, tylko ocenę pozytywną bądź negatywną. Na początek ocenimy kilkanaście szkół, potem corocznie postaramy się oceniać coraz więcej, ale trudno dziś powiedzieć odpowiedzialnie ile. Będzie to proces ciągły, któremu poddawane będą sukcesywnie kolejne szkoły; tym samym te, które zostaną ocenione w 2025 r. jako pierwsze, za pięć – sześć lat ponownie zostaną wezwane do sporządzenia raportu samooceny. Po nich przyjdzie czas na ocenione w 2026 r. itd. Zasadniczo chcemy, by pierwsza ewaluacja zakończyła się do 2029 r.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Komisja Ewaluacji Nauki, której przewodniczy prof. Filip M. Szymański, pracuje w pięciu stałych zespołach. Ewaluacją zajmuje się zespół pod kierownictwem prof. Zbigniew Kąkła z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, zespołem ds. czasopism kieruje prof. Rafał Stanisławski z Politechniki Opolskiej, zespołem ds. umiędzynarodowienia prof. Piotr Pruszczyk z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, zespołem ds. ewaluacji szkół doktorskich kieruje natomiast prof. Dariusz Kupisz z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej z Lublina. Ostatnio powołany został zespół, który oceni skutki ostatniej ewaluacji. Jego pracami kieruje prof. Adam Woźniak z Politechniki Warszawskiej.

Prenumerata „Forum Akademickiego” w 2024 r.

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy „Forum Akademickiego”, Serdecznie zapraszamy do prenumeraty „Forum Akademickiego” w 2024 roku.

Roczna prenumerata dla instytucji kosztuje 250 zł; prenumerata numerów 1-6: 132 zł, a 7-12: 118 zł.

Prenumeratorom indywidualnym oferujemy specjalną bonifikatę, w związku z czym koszt prenumeraty wynosi 180 za cały rok i 90 zł za pół roku.

Redakcja



Rozmowa z prof. Markiem Masnykiem, rektorem Uniwersytetu Opolskiego

Medycyna to koło napędowe uczelni

Wyraźnie oddzieliłiśmy kompetencje dyrektorów instytutów, którzy odpowiadają za politykę naukową, od kompetencji dziekanów odpowiedzialnych za dydaktykę akademicką. Pewnym wskaźnikiem sukcesu tej zmiany była ewaluacja, w której uzyskaliśmy jedną kategorię A+, sześć kategorii A i dziesięć B+.

W latach 90. dwudziestego wieku rozpoczął się proces tworzenia nowych uniwersytetów. Jako pierwszy z tej grupy powstał uniwersytet w Opolu, a zaczęło się od nieudanej konsolidacji.

To prawda. Już w latach 70. XX wieku myślano o powołaniu w Opolu uniwersytetu w wyniku połączenia Wyższej Szkoły Inżynierskiej i Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Do tego wówczas nie doszło, ale na początku okresu transformacji znów myślano o konsolidacji. Mądrość władz ówczesnej WSP i ks. prof. Alfonsa Nossola, ówczesnego biskupa opolskiego, sprawiła, że postanowiono połączyć z Wyższą Szkołą Pedagogiczną ówczesną Filię Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w Opolu, która powstała trochę wcześniej z przekształcenia Wyższego Seminarium Duchownego. Wtedy stały się dwie rzeczy: nie tylko powstał Uniwersytet Opolski, ale także w jego strukturze pojawił się pierwszy uniwersytecki wydział teologiczny. To był klucz operacji, która zakończyła się sukcesem.

Jednak nie udało się wówczas włączyć do uniwersytetu Wyższej Szkoły Inżynierskiej.

W Komitecie organizacyjnym, który powstał w Brzegu jeszcze w latach 80. i przygotował pierwszą koncepcję utworzenia uniwersytetu na bazie WSP i Instytutu Diecezjalnego, byli przedstawiciele WSI, np. profesorowie Zdzisław Kabza, Marian Kaniewski czy Włodzimierz Kotowski, późniejszy dyrektor Instytutu Ciężkiej Syntezy Organicznej w Błachowni, ale przede wszystkim tworzyły go osoby związane ze środowiskiem uczelni pedagogicznej. Wtedy, w roku 1994, WSI wybrała własną drogę ku statusowi politechniki, który uzyskała w 1996 roku.

Co dało powołanie uniwersytetu?

Impuls rozwojowy. Zaczynaliśmy w 1994 roku jako uniwersytet czterowydziałowy. W pierwszym roku działalności uczelnia zatrudniała 116 profesorów i doktorów habilitowanych, a studia zaczynało około 9 tysięcy studentów, w tym 5 tysięcy studentów stacjonarnych i 4 tysiące niestacjonarnych. Po trzydziestu latach jesteśmy uniwersytetem dwunastowydziałowym,

mamy nadal prawie 9 tysięcy studentów, ale potencjał, jakim dysponuje uczelnia, jest nieporównywalny z dawną WSP. Bardzo wyraźnie dzielę dzieje uniwersytetu na dwie fazy: pierwsze dwie dziesiątki lat, gdy trwał proces budowania fundamentu uczelni, zarówno jej infrastruktury, jak i potencjału kadrowego, oraz kolejne dziesięć lat. Wszystkie ważniejsze obiekty uniwersytetu powstały właśnie w tym pierwszym dwudziestolecu: Collegium Maius w zrujnowanym gmachu dawnego szpitala wojewódzkiego, obecnie siedziba Wydziału Filologicznego i władz rektorskich, Collegium Minus na terenie dawnego szpitala dziecięcego, gdzie dziś mieści się uczelniana administracja, w 2000 roku otrzymaliśmy dawną siedzibę ZSL, załaną podcaś powodzi w 1997 roku – dzisiaj jest tam ważny uniwersytecki ośrodek konferencyjny. Collegium Pedagogicum powstało na bazie tak zwanej „Reinerówki”, parterowego budynku krytego eternitem – dziś to okazały gmach, gdzie mają siedzibę kierunki pedagogiczne. Potem Collegium Biotechnologicum, Collegium Civitas, wreszcie Collegium Artium w budynku po dawnej szkole podstawowej. Oddano też do użytku trzynastopiętrowy dom studenta „Niechcic” – wówczas najwyższy budynek w Opolu – i wyremontowano Wydział Chemii. Powstało też nowoczesne Studenckie Centrum Kultury. W ostatnich ośmiu latach wybudowaliśmy Collegium Medicum, a w 2023 roku otrzymaliśmy dyplomy pierwsi wykształceni u nas lekarze. Otrzymaliśmy też teren o powierzchni 10 hektarów po dawnej Królewskiej Akademii Rolniczej w Prószkowie. Powstało tam Międzynarodowe Centrum Badawczo-Rozwojowe Uniwersytetu Opolskiego na rzecz Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego. Gdy jako rektor przejmowałem uniwersytet w 2016 roku, jego pozycja była niewysoka, np. w rankingu „Perspektyw” byliśmy na 15 miejscu wśród dziewiętnastu uniwersytetów klasycznych i między 50 a 60 miejscem wśród uczelni akademickich. W ubiegłym roku zostaliśmy sklasyfikowani na 7 miejscu wśród uniwersytetów i na 24 wśród uczelni akademickich w Polsce. To pokazuje, niezależnie od tego, jak traktujemy rankingi, że dokonał się u nas ogromny skok jakościowy. To chyba dobre podsumowanie moich dwóch kadencji.

Inwestycje, o których pan wspominał, nie sprawiły, że w Opolu powstał jeden kampus uniwersytecki.

Główny kampus mieści się na terenach dawnej siedziby Wyższej Szkoły Pedagogicznej przy ul. Oleskiej 48. Tam są także wszystkie cztery akademiki. Kilka obiektów mamy przy ulicy Katowickiej, dwa ważne budynki na placu Kopernika w samym centrum Opola. Pozostałe są rozrzucone w różnych miejscach, ale Opole nie jest rozległe. Przy ul. Strzelców Bytomskich mieści się Biblioteka Uniwersytecka i Instytut Historii. Wspominam o tym, bo to ciągle nasze niespełnione marzenia o bibliotece cyfrowej – mamy plany, mamy plac po dawnych Opolskich Zakładach Naprawy Samochodów, ale nie mamy pieniędzy na jej budowę.

Chciałem zapytać o Instytut Pomologiczny, co tam właściwie jest i czemu służy?

Pierwsza koncepcja wobec tzw. Prószkowa pojawiła się w 2015 roku, gdy dzięki środkom europejskim przejęliśmy część terenów i zrujnowane obiekty po dawnej Królewskiej Akademii Rolniczej czy też Instytucie Pomologicznym. Ale dopiero w 2020 roku powstał konkretny pomysł Międzynarodowego Centrum Badawczo-Rozwojowego na rzecz Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego, którego realizację zakończyliśmy w 2023 roku. Tworzą go dwa obiekty. Jeden w Opolu o powierzchni ponad 2,5 tys. m², którego jedna kondygnacja przeznaczona jest na badania komercyjne, a dwie na badania podstawowe. Prowadzone są tam badania w zakresie ochrony roślin, gospodarki odpadami, bezpieczeństwa chemicznego żywności, odnawialnych źródeł energii. W części prószkowskiej, czyli na terenie dawnej szkoły rolniczej, są laboratoria ujęte w formę Uniwersyteckiego Centrum Transferu Wiedzy i Technologii. Jak sama nazwa wskazuje, zamierzamy tam prowadzić badania w zakresie wsparcia technologicznego dla rolnictwa. Opolszczyzna jest terenem rolniczym, stąd XIX-wieczne tradycje Prószkowa. Szkoda, że nie wystarczyło środków na przejęcie większego arealu ziemi. Powstał nawet pomysł zbudowania uniwersyteckiego ogrodu botanicznego, ale to nie była właściwa chwila. Nie musimy jednak z niego całkowicie zrezygnować.

Medycyna w Opolu ma dziwną historię. Mimo że już istniał uniwersytet, powstała nowa medyczna zawodowa uczelnia publiczna.

Państwowa Medyczna Wyższa Szkoła Zawodowa powstała w 2003 roku i działała niezależnie od uniwersytetu. Natomiast początki naszej przygody z medycyną sięgają roku 2016. Przyjechał wówczas do Opola minister Jarosław Gowin i w opolskim ratuszu podpisano deklarację o uruchomieniu kierunku lekarskiego na Uniwersytecie Opolskim. To była decyzja polityczna. Ministerstwo powiedziało: dajemy wam zgodę, pod warunkiem że Państwowa Medyczna Wyższa Szkoła Zawodowa połączy się z Uniwersytetem Opolskim. Dr Tomasz Halski, rektor naszej medycznej zawodówki, podpisał tę deklarację. Za tym poszła decyzja finansowa o przyznaniu środków na budowę Collegium Medicum, w gruncie rzeczy chodziło o przebudowę i rozbudowę istniejącego obiektu. W 2017 roku uruchomiliśmy kierunek lekarski. Włączenie PMWSZ przebiegało dłużej niż początkowo sądziliśmy i z pewnymi oporami ze strony tamtej uczelni. Zostało sfinalizowane dopiero w 2020 roku. Zatem obecnie nie tylko kształcimy lekarzy, ale kontynuujemy także wszystkie kierunki, które realizowała zawodowa uczelnia medyczna, jej dawni pracownicy sami prowadzą te studia, mają dużą autonomię w ramach modelu zarządzania uczelnią, jaki przyjęliśmy w 2019 roku. Już w 2018 roku, nim weszła w życie nowa ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, pracowaliśmy nad nowym modelem, antycypując w debatach na uczelni późniejsze zmiany prawne. Wyraźnie oddzieliśmy kompetencje dyrektorów instytutów, którzy odpo-

wiadają za politykę naukową od kompetencji dziekanów odpowiedzialnych za dydaktykę akademicką. Pewnym wskaźnikiem sukcesu tej zmiany była ewaluacja, w której uzyskaliśmy jedną kategorię A+, sześć kategorii A i dziesięć B+. To wynik, jakiego nie mieliśmy nigdy wcześniej. Zdejdują sobie sprawę z wad tej ewaluacji, ale nadal jest to sukces Uniwersytetu Opolskiego.

Czy uruchomienie kierunku lekarskiego było dużą zmianą dla uniwersytetu?

Przełomową. Medycyna to koło napędowe uczelni. Nie da się kształcić lekarzy bez szpitala klinicznego. Myśmy w 2018 roku otrzymali od władz województwa Wojewódzkie Centrum Medyczne – największy szpital w województwie opolskim o wartości blisko 200 milionów złotych i z tysiąc trzystoma pracownikami. Stworzyliśmy własny model włączenia szpitala w strukturę uniwersytetu – organem prowadzącym został Uniwersytet Opolski, a więc koncepcja zupełnie inna od tej, jaką przyjęto np. w Zielonej Górze. Zadłużenie tego szpitala wynosiło ok. 5 milionów złotych, ale paradoksalnie sprzyjał nam czas pandemii, gdy szpitale dostawały dodatkowo nieźle środki. Udało się nam zlikwidować to zadłużenie, choć nie byliśmy rozpieszczani przez ówczesne władze. Tak się dziwnie składało, że przy podziale środków byliśmy często pomijani. Przykładowo: przy ostatnim „rozdaniu” środków w programie Regionalna Inicjatywa Doskonałości zostaliśmy pominięci.

Jak sobie uniwersytet radzi w swoim otoczeniu, w bliskiej odległości od dużych ośrodków akademickich?

Jesteśmy między dwoma wielkimi centrami: Śląskiem i Wrocławiem, a i do Krakowa nie jest daleko. Na dodatek te metropolie są znakomicie skomunikowane z Opolem. Cała Opolszczyzna to milion mieszkańców, czyli niewiele więcej niż sam Wrocław. A przecież z pewnością i Wrocław, i Kraków są niezwykle atrakcyjne jako miejsca kształcenia i późniejszej pracy. Robimy badania, kim są nasi studenci i co się dzieje z maturzystami z Opola. Otóż najlepsi maturzyści wyjeżdżają właśnie do większych ośrodków, które wspominałem, ale nie tylko tych, bo przecież i do Łodzi nie jest daleko. Spora grupa wybiera studia za granicą. U nas studiuje młodzież z powiatowej Opolszczyzny, zachodnich rubieży województwa śląskiego i wschodnich powiatów województwa dolnośląskiego, mamy trochę kandydatów z północy, z okolic Wielunia i Kępna. Opole to spokojne miasto, na pewno bez takich atrakcji, jak wspomniane metropolie, ale za to jest tańsze. Mamy tysiąc osiemset miejsc w akademikach dla naszych studentów. Na pewno medycyna jest na wysokim poziomie – jesteśmy po trzech pozytywnie zakończonych akredytacjach – i jest swego rodzaju wabikiem także dla osób spoza wymienionych obszarów. W tamtym roku wypuściliśmy pierwszych 78 młodych lekarzy, dziś na kierunku lekarskim studiuje prawie 950 osób. Na początku przyjęliśmy tylko stu studentów, dzisiaj przyjmujemy już stu siedemdziesięciu. I na tym koniec, nie mamy dość dużej bazy, aby kształcić większą liczbę studentów, mimo że mamy własny szpital kliniczny, mokrą i suchą anatomię – nasi studenci nie muszą szukać anatomicum poza Opolem. Mamy dwa centra symulacji medycznej: jedno wybudowane jeszcze przez zawodową szkołę medyczną, które teraz jest na Wydziale Nauk o Zdrowiu, i drugie, wieloprofilowe, z karetką pogotowia, na Wydziale Lekarskim. Mamy w planie wybudowanie obiektu do telemedycyny, złożyliśmy odpowiedni wniosek. W obiekcie dawnej szkoły medycznej przystosowaliśmy szóste piętro dla pielęgniarstwa, aby dydaktyka akademicka odbywała się w lepszych warunkach. Jest presja, żeby otworzyć ratownictwo medyczne, ale to kwestia kolejnych inwestycji. Niewątpliwie medycyna dała też pewien impuls do rozwoju badań naukowych.



Fot. UO

Prof. dr hab. **Marek Masnyk** (ur. w 1956 r.) jest historykiem, badaczem dziejów Śląska, polskiej myśli zachodniej oraz stosunków polsko-niemieckich w XIX i XX wieku, biografem Związku Polaków w Niemczech. Jego monografia *Dzielnica I Związku Polaków w Niemczech 1923-1939* uchodzi za najważniejszą książkę dokumentującą dzieje Polaków spod Znaku Rodła. Prof. Masnyk jest autorem blisko 150 prac naukowych. Wypromował 18 doktorów. Na Uniwersytecie Opolskim był kierownikiem Katedry Historii Śląska, prodziekanem i dziekanem Wydziału Historyczno-Pedagogicznego, prorektorem ds. kształcenia i studentów, a od dwóch kadencji kieruje uczelnią jako rektor. Za badania nad tematyką śląską otrzymał Nagrodę im. Karola Miarki. Jest założycielem i pierwszym prezesem uniwersyteckiej żeńskiej drużyny siatkówki UNI Opole grającej w Tauron Lidze.

Uniwersytet Opolski zawsze kojarzył mi się z humanistyką.

Rzeczywiście, większość z naszych dziewięciu tysięcy studentów kształci się na kierunkach humanistycznych i społecznych, wciąż mamy najwięcej studentów na pedagogice. Dobrze nam się rozwija prawo, świetna jest psychologia z kategorią A. Wiele ośrodków akademickich przecierało oczy ze zdumienia, gdy ją uzyskaliśmy. To dobra szkoła prof. Wiesława Łukaszewskiego. Mówi się też o opolskiej szkole językoznawstwa prof. Stanisława Gajdy i prof. Wojciecha Hlebdy, dziś kontynuowanej przez, jak u nas mówimy, „gajdówny” – to głównie panie, już z tytułami profesorskimi, uczennice prof. Gajdy.

Oprócz tego, że działacie w regionie rolniczym, to również w regionie z mniejszością niemiecką. Czy to wpływa na uniwersytet?

Jakoś szczególnie tego nie odczuwamy. Dawniej filologia germańska cieszyła się sporym powodzeniem, ale teraz zainteresowanie znacznie spadło. Tu młodzi znają niemiecki praktycznie, a studia akademickie w tym zakresie ich nie interesują. Mamy dobre relacje z mniejszością niemiecką, współpracujemy ze sobą na różnych polach.

Czy na tym etapie rozwoju środowiska akademickiego w Opolu widzi pan potrzebę dalszej konsolidacji publicznych uczelni miasta?

Kiedyś taką myśl rzucił prof. Marek Tukiendorf, wówczas rektor Politechniki Opolskiej. Nie wiem, czym się kierował. Nie widzę teraz wyraźnej potrzeby głębszej konsolidacji, bowiem każda uczelnia ma swoje plany, misję i chyba nikt nie myśli o połączeniu. Oczywiście mówi się tu i ówdzie, że takie połączenie potencjałów dałoby niezły efekt synergii. Jednak zwy-

kle z rektorem politechniki rozmawiamy o planowanych kierunkach studiów w tym kontekście, żebyśmy nie tworzyli przeszczeni do konkurowania ze sobą w tych samych obszarach.

Kończy pan swoje dwie kadencje. Ma pan przesłanie dla potencjalnego następcy?

Amerykański pisarz i filozof Henryk Dawid Thoreau napisał kiedyś: „Nawet jeśli zbudowałeś zamek w chmurach, twoja praca nie pójdzie na marne. To idealne miejsce. Teraz tylko musisz wybudować fundamenty”. W Opolu przez trzydzieści lat budowaliśmy „gmach” uniwersytetu, jak mówili niektórzy: troszeczkę przez umiejętne połączenie megalomanii i szczypty cwaniactwa. Przez pierwsze dwadzieścia lat budowaliśmy fundamenty, a przez ostatnie dziesięć wyposażaliśmy je w niezbędne narzędzia, by móc powiedzieć, że naprawdę jesteśmy uniwersytetem, że ten projekt się sprawdził. Jesteśmy jednym z pierwszych pięciu polskich uniwersytetów, które w 2019 roku zostały członkami sojuszu europejskich. To były uniwersytety: Jagielloński, Warszawski, Gdański, im. Adama Mickiewicza i właśnie my. W naszym przypadku chodzi o uniwersytet europejski i sojusz FORTHUM, który tworzymy wraz z dziewięcioma partnerami z całej Europy. Dwa tygodnie temu dostaliśmy decyzję o przyjęciu Uniwersytetu Opolskiego w skład Europejskiego Stowarzyszenia Uniwersytetów (EUA). Działamy w małym ośrodku, ale nie czujemy kompleksów wobec dużych, metropolitalnych uczelni, zdając sobie jednak sprawę, że mamy trochę inne cele i inne, mniejsze możliwości. Jednak będziemy się starali skracać dystans, który nas dzieli od tych wielkich i najlepszych. Mam satysfakcję z miejsca, w którym jest dziś Uniwersytet Opolski.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Badania filologiczne nad cenzurą w PRL-u

Badania nad cenzurą zmniejszyły zaufanie do wydanego, uznanego za zamknięty tekstu, tak literackiego (filologia), jak naukowego (historia i inne dyscypliny), co dla wielu znawców okresu okazało się odkryciem przełomowym; w edytorstwie naukowym przyczyniły się do podważenia i tak chwiałej się koncepcji kanonicznej postaci tekstu.

Ukierunkowanymi filologicznie badaniami nad państwową cenzurą w Polsce Ludowej i PRL-u zajmuję się od lat dwudziestu. W styczniu 2024, przebywając w IBL PAN na stypendium wyjazdowym Fundacji na rzecz Nauki Polskiej i realizując zupełnie inny projekt, po raz pierwszy przestąpiłam próg Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Sądziłam, że zrobię „szybką kwerendę” i powrócę do tematu wybranego przez siebie jako podstawa przyszłej habilitacji, a związanego z edytorstwem tekstu współczesnego. „Szybka kwerenda” w zespole archiwalnym GUKPPiW (Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk), czyli dawnej cenzorskiej centrali, zajęła 6 lat; temat habilitacji oczywiście zmieniłam.

Te pierwsze lata pracy „nad cenzurą”, jednocześnie trudne i fascynujące, pozostają moim najlepszym naukowym wspomnieniem. Dużą część teczek z ogromnego zespołu GUKPPiW (obliczanego wtedy na ok. 5 tysięcy jednostek) otwierałam jako pierwsza: z niedowierzaniem czytałam o dokonanych przez cenzorów zmianach w tekstach uznawanych za kanoniczne (Herbert, Różewicz, Mrozek) i o tekstach nigdy niewydanych tylko ze względu na negatywną opinię urzędu kontroli (Lem). To było coraz rzadsze w humanistyce odkrywanie zupełnie nowego świata. Pracowałam w pojedynkę, spotykając na Hankiewicza 1 wciąż te same, „znane – nieznanne” osoby, pochłonięte „swoimi” tematami, niemające czasu na rozmowę; bo trzeba jeszcze przeczytać ileś stron (nie można było robić zdjęć), pędzić na pociąg lub na zajęcia na uczelnię... Do dziś spotykamy się na konferencjach, kłaniając sobie z uśmiechem wtajemniczonych.

Dodam, że do roku 2011 przeglądało się dokumenty pozostałe po urzędzie cenzury w ich oryginalnym uporządkowaniu (a właściwie, oryginalnym chaosie), oddającym dynamikę pracy instytucji: cenzurowanie materiałów nadsyłanych przez wydawnictwa lub redakcje czasopism, a nie przez autorów. Obecnie zespół został opracowany, a dokumenty zindeksowane: bardzo ułatwia to pracę i poszukiwanie informacji, jest więc szansą na intensyfikację badań.



Moje badania nad cenzurą nie były pierwsze ani jedyne; ich oryginalność opierała się jednak na zdecydowanym nachyleniu filologicznym oraz próbie ujęcia systemowego.

Tytuł cenzorów co literatów

Institutionalna kontrola słowa, która – obok monopartyjności oraz skupienia władzy ustawodawczej, wykonawczej i sędowniczej w jednym ręku – była jednym z fundamentów władzy autorytarnej, istniała w Polsce od lipca 1944 do czerwca roku 1990. Przez te 45 lat dokonała prawdziwego spustoszenia. Podlegały jej wszystkie przekazy: prasa codzienna, podręczniki, książki naukowe, sztuki teatralne, literatura piękna, zdjęcia, wystawy plastyczne, a nawet etykiety, mapy czy nekrologi. Zadaniem rzeszy urzędników było eliminowanie treści uznanych za zagrażające ustrojowi czy uznanych za nieobydajne, a bardzo szczegółowy ich katalog zmieniał się często w zależności od politycznych wiatrów.

Kontrolą zajmowało się w Polsce Ludowej i PRL-u wiele państwowych organów i urzędów: komitety i wydziały PZPR, urzędy wojewódzkie, ministerstwa, urzędy bezpieczeństwa, urzędy celne, redakcje wydawnictw czy czasopism. Jednakże jednostką specjalnie powołaną do tego celu i mającą największy udział w cenzurowaniu literatury był GUKPPiW (organ centralny i przedstawicielstwa wojewódzkie), dla których partia przygotowywała słynne „książki zapisów i zaleceń”, regulujące całość cenzorskiej pracy. W samym urzędzie cenzury pra-

cowało rocznie w pełnym wymiarze godzin kilkaset osób (bardzo często absolwentów polonistyki), można zatem założyć, że była to rzesza niewiele mniejsza niż szeregi czynnych literatów.

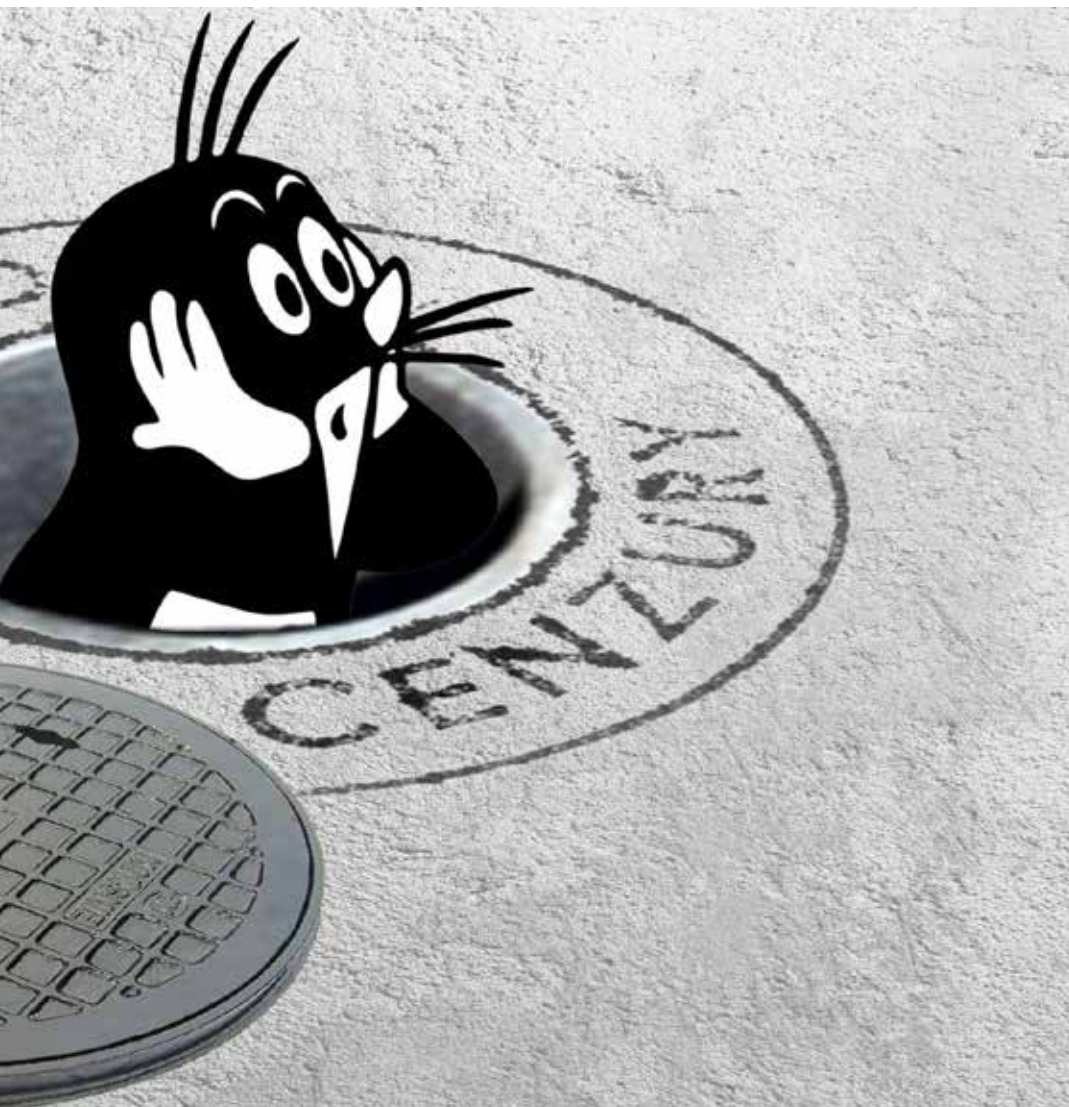
Należy podkreślić, że literatura nie miała dla władz – z politycznego punktu widzenia – takiej doniosłości, jak prasa, zwłaszcza codzienna. Trudno porównywać nakłady (choć książki wychodziły wtedy w rekordowych jak na dzisiejsze standardy liczbach egzemplarzy), aktualność opisywanych wydarzeń (reagowanie i komentowanie na bieżąco), jak i liczbę odbiorców. Czytelnictwo książek zawsze było zajęciem elitarnym i dotyczyło, pomimo oficjalnej propagandy, nielicznej grupy obywateli. W wewnętrznych (a więc: tajnych) dokumentach funkcjonariusze państwowi piszą o tym wprost.

Cenzura jako temat badawczy

Regularne prace badawcze nad tematem rozpoczęto w Polsce od razu po zmianie ustroju politycznego i otwarciu archiwów; wcześniej temat komunistycznej cenzury był „na cenzurowanym”. Pierwszeństwo należy tu historykom, którzy po 1989 r. zajęli się intensywną pracą nad opisem funkcjonowania upadłego systemu politycznego, by jak najszybciej wypełnić „białe plamy”. W latach 90. rozwinęły się w Polsce badania historyczne nad tematem cenzury, prowadzone przez: Darię Nałęczę, Andrzeja Paczkowskiego, Aleksandra Pawlickiego, Zbigniewa Romka, potem – filologiczne, których podjęli się: Marta Fik, Stanisław Adam Kondek, Alina Brodzka, Janusz Kostecki, Tadeusz

Drewnowski, John M. Bates, Joanna Hobot. Za nimi podążyli kolejni. Warto wspomnieć też o pionierskich próbach podejmowanych bez możliwości skonfrontowania ze źródłami, a najwybitniejsze to Stanisława Barańczaka *Knebel i słowo. O literaturze krajowej w latach siedemdziesiątych* z 1980 r. (drugoobiegowa NOW-a) i *(Nie)realny socjalizm* Jerzego Drygalskiego i Jacka Kwaśniewskiego z 1988 r. (w drugim obiegu, potem w PWN w 1992).

Zjawisko cenzury interesuje reprezentantów kilku dziedzin, ale przede wszystkim historyków, filologów i socjologów. Przy czym historycy skupiają się na opisie: powstania i organizowania instytucji kontrolnych, przebiegu procesów kontroli oraz cenzury rozumianej jako środek przymusu politycznego i element budowania niedemokratycznego systemu. Filolodzy, najogólniej



Rys. Sławomir Walek

rzecz ujmując, na opisie roli cenzury w powstaniu konkretnego kształtu tekstu i jego recepcji. Socjologowie podkreślają społeczny wymiar kontroli (np. jej wpływ na kształtowanie postaw społecznych). Jako temat badawczy pojawia się także cenzura w takich dziedzinach, jak: filozofia, prawo, teologia, kulturoznawstwo, historia sztuki, filmoznawstwo, muzykologia, geografia, czyli wszędzie tam, gdzie przedmiotem badań jest jakaś forma utrwalenia i reprodukcji ludzkiej myśli.

Poziom zaawansowania dociekań jest różny w poszczególnych dyscyplinach naukowych, co wiązać można z inną wagą poznawczą: dla filozofii czy prawa cenzura to jeden z przyczynków, dla historii XX wieku i filologii – temat formacyjny. Stąd większe zainteresowanie i potrzeba eksploracji. Najbardziej rozwiniętymi badaniami poszczycić się mogą zatem historia i filologia, a w obrębie tej ostatniej – literaturoznawstwo i bibliologia. Coraz lepiej rozwija się w tym kontekście edytorstwo, pojawiają się prace z przekładoznawstwa, raczkują dopiero analizy językoznawcze.

Badania nad PRL-owską cenzurą prowadzone są w oparciu o kwerendy archiwalne. Spuścizna piśmienna po GUKP-PiW została przekazana do wzmiankowanego już Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Część materiałów uprzednio jednak zniszczono, wiele, jak się przypuszcza, zniszczyli sami cenzorzy w okresie „przejściowym”: od obrad okrągłego stołu i pierwszych częściowo wolnych wyborów do faktycznej likwidacji urzędu w czerwcu 1990.

Jeśli chodzi o perspektywę filologiczną, zachowane archiwalia wykazują znaczące ubytki: materiały dotyczące licznych utworów są niepełne, brak niemal zupełny wydruków korektowych czy szrotkowych. Najczęściej natknąć się można na recenzje (wartościujące streszczenie plus decyzja odnośnie do dalszych losów tekstu), sprawozdania okresowe z działalności poszczególnych wydziałów urzędu, wypisy ingerencji dokonanych w tekstach. Wbrew rozpowszechnionym opiniom nie ma w zasobie archiwalnym pokreślonych na czwono maszynopisów/rękopisów, które mogłyby się stać – po „lekkiej” obróbce – podstawą wydań zgodnych z pierwotną intencją autora.

W tym miejscu pytamy o najważniejsze ustalenia, jakie powzięto po wieloletnich, angażujących wiele dyscyplin dociekania. Chciałabym przy tym podkreślić, że poniższe wskazanie jest subiektywne i podyktowane zainteresowaniami, wiedzą, a pewnie i przywiązaniem (być może nadmiernym) do niektórych koncepcji.

Badania nad cenzurą obowiązującą w Polsce Ludowej i PRL-u zmieniają się wraz z rytmem przemian współczesnej humanistyki, a zmianą najważniejszą jawi się charakterystyczne dla całokształtu namysłu nad latami 1944/1945–1989/1990 uspokojenie temperatury dyskursu i przynajmniej częściowa rezygnacja z wartościowania. Problematyka cenzury coraz częściej nie jest, przy tak zaawansowanym stanie badań, odrębnym zagadnieniem, ale stale obecnym (w większej lub mniejszej mierze) w pracach na temat epoki. Badania nad cenzurą zmniejszyły zaufanie do wydanego, uznanego za zamknięty tekstu, tak literackiego (filologia), jak naukowego (historia i inne dyscypliny), co dla wielu znawców okresu okazało się odkryciem przełomowym; w edytorstwie naukowym przyczyniły się do podważenia i tak chwiejącej się koncepcji kanonicznej postaci tekstu.

Zahamowano rozwój wielu ważnych tematów...

A jakie są wnioski specyficzne dla badań filologicznych? To nie konkretne ingerencje (wycinanie scen, wycinanie zdań, dopisywanie fragmentów lub całych tomów, zamiana jed-

nych fragmentów na drugie, wymuszone zmiany miejsca akcji, eliminacja niektórych słów, nakłanianie do wyboru określonych tematów i zakaz poruszania innych) zubażały polską kulturę, ale samo istnienie cenzury i wymuszona przezeń autocenzura. Zahamowano rozwój wielu ważnych tematów: zaangażowanej powieści współczesnej (w tym kobiecej), a od roku 1949 dyskursu na temat II wojny światowej i Zagłady, wyeliminowano na trwałe dużą liczbę tekstów (inedita), wiele dzieł przetrzymano przez czas tak długi, że ich ogłoszenie pozostało spóźnione i nieskorelowane z czasem historycznym.

Dodam, że reglamentowano nie tylko dostęp do literatury współczesnej, ale także i do klasyki literackiej oraz literatury obcej. Na pytanie, czy cięto dzieła Mickiewicza, odpowiem: nie, ale w niektórych okresach nie wznawiano pewnych jego utworów, opatrywano je indoktrynującymi wstępami lub zmniejszono nakłady.

Perspektywy rozwoju badań nad cenzurą w Polsce Ludowej i PRL-u są bardzo obiecujące. Wciąż powstają nowe rozprawy, do wielu prac podejmujących problematykę epoki trafiają rozdziały na temat działań instytucjonalnej kontroli słowa. Cenne wydaje się spojrzenie ogólne, wpisujące cenzurę w szerokie konteksty (tabu, regionalizm, genologię, badania nad II wojną światową, badania nad komunizmem). Z drugiej strony – bardzo szczegółowe, „użytkowe”, istotne dla jednego problemu czy tekstu. Powstają ponadto projekty edytorskie przywracające postać tekstu sprzed ingerencji cenzury, choć nie zawsze dobre, przyznajmy. Ważną perspektywą badawczą wydaje się też wprowadzenie tematu na forum międzynarodowe i zainicjowanie badań porównawczych. Stan pełnej wolności słowa jest przecież utopią, a jakaś forma cenzury i autocenzury istnieje w każdym społeczeństwie. Konkretny historyczny system kontroli słowa można zobaczyć w szeregu innych, bardziej restrykcyjnych lub bardziej liberalnych: dla cenzury istniejącej w Polsce w latach 1944-1990 najwłaściwszym punktem odniesienia wydaje się ten obowiązujący w innych byłych krajach tzw. demokracji ludowej.

Ja sama od roku 2011 mam przyjemność pracować w zespole, którego trzon budują: Elżbieta Dąbrowicz, Katarzyna Kościwicz, Wiktor Gardocki, Magdalena Budnik, Barbara Tyszkiewicz, Monika Bednarczuk. Na przestrzeni ostatnich lat pracowali też z nami: Maria Kotowska-Kachel, Kajetan Mojsak, Agnieszka Kloc, Marzena Woźniak-Łabieniec, Elżbieta Jurkowska. Razem zdobywaliśmy i zdobywamy granty, organizujemy konferencje naukowe, wydajemy monografie, tomy źródeł czy monograficzne numery czasopism. W kwerendach pomagali nam nieocenieni pracownicy AAN-u: Patrycja Krasoń, Tomasz Dzięgielewski, Włodzimierz Janowski. Wszystkim Koleżankom i Kolegom z zespołu i archiwum, tym, którzy uwierzyli w znaczenie i wagę badań filologicznych nad cenzurą, dziękuję.

Na koniec przytoczę słowa Kazimierza Wyki, powtórzone przez edytora, Pawła Kądziałę, o dwóch rodzajach pracy polonistycznej (i szerzej – filologicznej): „szybka i lekka jazda interpretacyjna” oraz „ciężkie od niezliczonych fiszek tabory dokumentacyjne”. Badania nad cenzurą, choć żmudne i czasochłonne, wydają się mieć szansę na oparcie się naukowym modom.

Prof. dr hab. Kamila Budrowska, Uniwersytet w Białymstoku. Prowadzi Pracownię Badań Filologicznych Nad Cenzurą PRL. Autorka książki „Cenzura i okolice”, IBL, Warszawa 2023.

Zbigniew Romek

Twórcy wobec cenzury w PRL

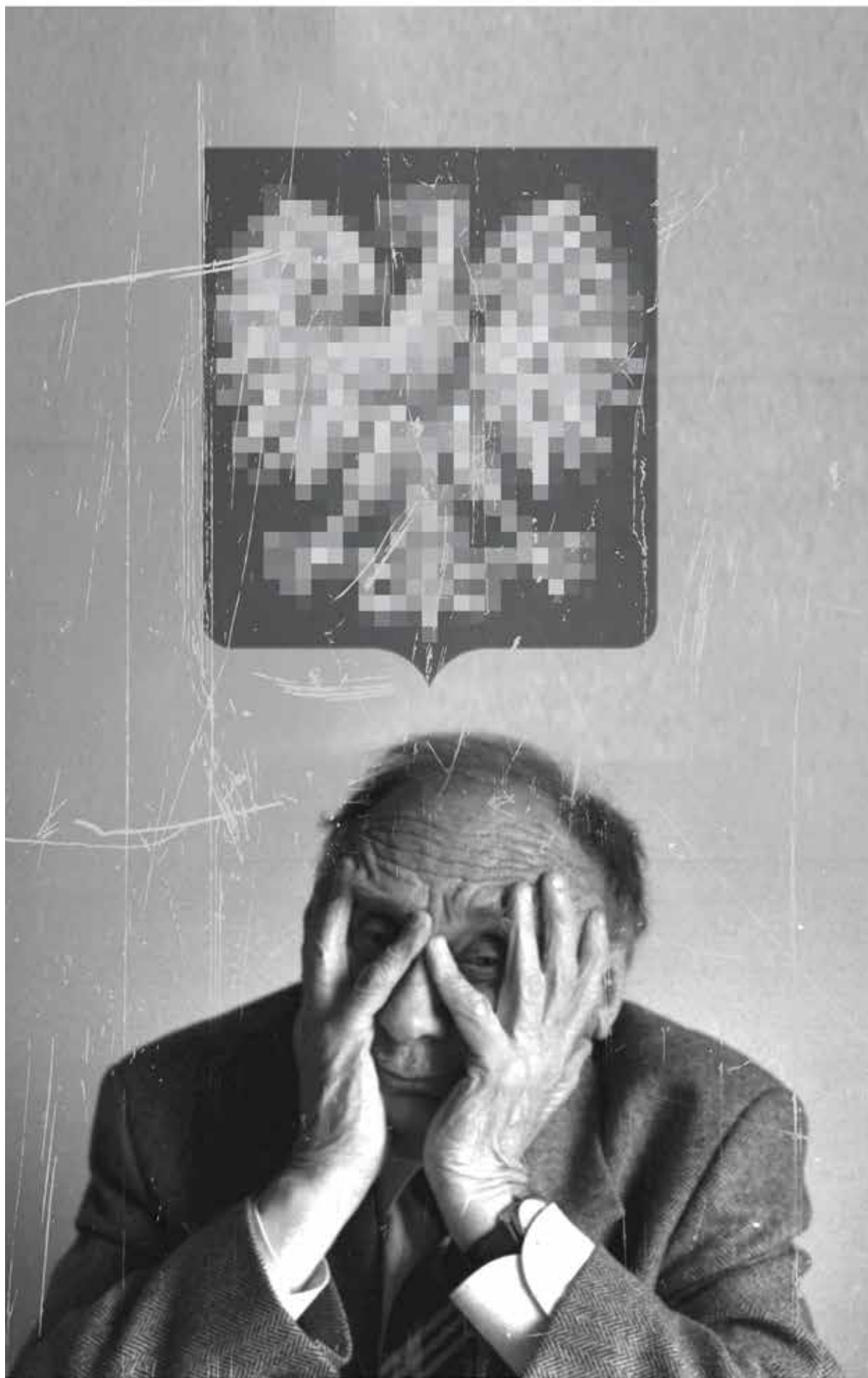
Stan bezradności wobec sprawnie działającego szczelnego systemu cenzury w okresie rządów Edwarda Gierka dobrze opisał Stefan Kisielewski. W jednym z felietonów z 1976 roku pisał o władzy, która cynicznie kusiła twórców do współpracy, a jednocześnie pozbawiała ich złudzeń, iż walka z systemem cenzury może być skuteczna.

Cenzura, czyli blokowanie wolności słowa i kreowanie oficjalnie obowiązującej wizji rzeczywistości, była w dobie PRL ważnym elementem sprawowania władzy. Zadania te realizowane były między innymi przez Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (wraz z lokalnymi delegaturami), który podporządkowany i instruowany był przez odpowiednie wydziały Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, instytucji sprawującej najwyższą władzę w kraju. Z kolei GUKPPiW bezpośrednio odpowiedzialny za skuteczne blokowanie wolności słowa pisanego, mówionego, a także za upublicznianie treści prezentowanych za pomocą obrazu (teatr, film, radio, telewizja, dzieła plastyczne itd.) stosował zasadę „delegowania uprawnień”. Polegała ona na włączaniu w proces cenzorskiej kontroli wszystkich instytucji zaangażowanych w organizację i przygotowania wszelkich wytworów nauki i kultury do publicznej prezentacji. W ten sposób GUKPPiW i jego terenowe delegatury, wsparte przez struktury PZPR (obecne na każdym poziomie struktury państwa i w każdej instytucji) nadzorowały oraz rozliczały redakcje gazet i czasopism, wydawnictw, teatry, zespoły filmowe, uczelnie i instytuty naukowe z treści powstających tam prac. Sam urząd cenzury w tak rozbudowanym i dobrze zorganizowanym systemie kontroli informacji spełniał jedynie rolę „kosmetyczną”.

W efekcie rozwiniętego monitorowania procesu twórczego cenzorzy zawodowi mieli do czynienia z produktami już wcześniej wyselekcjonowanymi pod kątem obowiązującej w PRL poprawności politycznej i ideologicznej. Gdy bierzemy do ręki akta GUKPPiW, to widzimy, że w zachowanej dokumentacji nie znajdziemy śladu po zatrzymanych informacjach o zamordowanych polskich oficerach w Katyniu, o ułokowaniu na Kubie radzieckich rakiet wymierzonych w USA, o praskiej wiośnie i inwazji wojsk układu warszawskiego w Czechosłowacji 1968

roku, o zabitych robotnikach w grudniu 1970 roku. Faktycznie zawodowi cenzorzy tropili zakamuflowane aluzje do aktualnych wydarzeń społeczno-polityczno-gospodarczych i usuwali je za pomocą drobnych korekt językowych. Tomasz Strzyżewski, człowiek, który wywiózł tajne materiały krakowskiej cenzury, najlepiej scharakteryzował istotę pracy zawodowego cenzora, który „nie myślał o tym, żeby wstrzymać cały tekst, tylko o tym, żeby zmienić słowo, zmienić lekko znaczenie zdania, coś złagodzić, poprawić wydźwięk. Wystarczyło dopisać «gdzieniegdzie», «niekiedy» albo «czasami» – i zdanie nabierało nowego smaku. Opisanie w tym zdaniu zdarzenie czy fakt, uzupełnione odpowiednim słówkiem, zyskiwały ulotność i incydentalność”.

Zadanie cenzury sprowadzało się do zatarcia niewygodnego dla władzy przesłania autora, a często jedynie do wyrugowania z dzieła wszelkich tego typu skojarzeń, które mogły nasunąć się odbiorcy. Często samym autorom trudno było się zorientować, jakie konsekwencje miały proponowane w urzędzie cenzury pozornie błahie modyfikacje. Zastępowanie jednego lub kilku słów przez wyraz, wyrazy bliskoznaczne najczęściej wydawało się nieistotne. Tym bardziej z dzisiejszej perspektywy często nie jesteśmy w stanie pojąć intencji cenzorskiego urzędu. Aby je zrozumieć, potrzebne jest poznanie funkcjonujących w danej chwili praktyki językowej, różnorodnych skojarzeń i aluzji, które były uznawane przez władze za wrogie. O tym wszystkim mówiono na zamkniętych, tajnych szkoleniach w urzędach cenzorów, na spotkaniach z przedstawicielami władz, gdzie bez propagandowej osłony opisywano aktualną sytuację społeczno-polityczną, na których podawano prawdę historyczną o zbrodniach bezpieki, o krwawych rozprawach Stalina i wszelkich nieprawościach systemu. Niestety wewnętrzne instrukcje i materiały z takich szkoleń w GUKPPiW zachowały się w stanie szczątkowym, dlatego współcze-



rys. Sławomir Makal

śnie nie sposób rozwikłać wszystkich intencji podejmowanych przez urząd decyzji.

Żadnych tarć nie ma

Jasno natomiast wynika z zachowanych materiałów, jak bardzo zawodowi cenzorzy pilnowali realizacji zasady „delegowania uprawnień”. Na organizowanych w Warszawie odprawach wojewódzkich kierowników terenowych delegatur rozliczano ich z tego zadania, wymieniano się doświadczeniami, aby skutecznie włączać do zadań cenzorskich jak największe grono instytucji kultury. Na jednej z odpraw z końca 1945 roku tak została oceniona współpraca z redakcją „Tygodnika Powszechnego”: „z początku sprawiali nam duże trudności, po odbyciu kilku konferencji doszliśmy do współpracy, że obecnie żadnych tarć nie ma. Redakcja ustosunkowuje się pozytywnie i przeprowadza wszystkie zmiany, jakie proponujemy”. W końcu czerwca 1949 roku zaprezentowano taki przykład z oddziału warszawskiego: „istnieje konieczność wiązania się z niektórymi osobami z redakcji. Do nas np. przychodzi redaktor »Problemów«. My z nim dyskutujemy, omawiamy, uzgadniamy pewne sprawy. Podobny kontakt nawiązaliśmy z pismami literackimi i tu już nie ma prób partyzantki czy wykpiwania się, ale rzetelny, roboczy kontakt”. W 1966 roku kierownik wydziału cenzury ze Szczecina chwalił się na warszawskiej odprawie: „współpraca z redakcjami układa się pomyślnie. Utrzymuje się z dziennikarzami kontakty indywidualne, wcześniej uzgadniają tematykę, toteż nie dochodzi do ingerencji”. Takie praktyki cenzorzy zawodowi stosowali nieprzerwanie przez cały okres PRL. W połowie lat 80. zagrożono miesięcznikom „Znak” i „Przeгляд Powszechny” zamknięciem, ze względu na zgłaszanie do druku przez redakcje zbyt dużej ilości materiałów zatrzymanych przez urząd cenzury.

Jednak tego typu wypadki należały do rzadkości, a zadanie „delegowania uprawnień” było skutecznie realizowane. Według szacunków badaczy dziejów PRL-owskiej cenzury około 70-80% treści blokowano przez współpracujące z cenzurą instytucje. Taka obserwacja tłumaczy wypowiedź Justyna Sobola, rzecznika prasowego GUKPPiW, który zaprzeczał, iż reprezentowany przez niego urząd w istotny sposób ogranicza wolność słowa w PRL. Sobol nie kłamał, kiedy mówił w wywiadzie wydrukowanym w miesięczniku »Prasa Polska« w 1985 roku: „na ogólną liczbę ponad 3 tys. czasopism i biuletynów jakiegokolwiek ingerencje, czy w ogóle uwagi cenzorskie, dotyczyły w ubiegłym roku 8% tych tytułów. Ta liczba nie oddaje zresztą rzeczywistego stanu rzeczy. Znakomita większość spośród nich cenzorskie ingerencje odnotowuje bowiem sporadycznie – raz, dwa razy w roku. Ponad połowa ingerencji dotyczy niespełna trzydziestu tytułów. W książkach ingerencji jest jeszcze mniej – dotyczą one 0,7% tytułów”. Dlatego, gdy próbujemy odpowiedzieć na pytanie o skuteczność PRL-owskiej cenzury warto zwrócić uwagę nie tylko na działalność GUKPPiW i jego lokalnych delegatur, ale także na cały sprawnie funkcjonujący system blokowania swobody wypowiedzi.

Pośmiertne zwycięstwa cenzury

Oceniając szkodliwość cenzury w PRL warto zdać sobie sprawę, że interesujący nas okres lat 1945-1989 nie był jednolity. Wraz ze zmianami politycznymi w naszym kraju i w nadzorującym nas Związku Radzieckim system cenzury był zaostrożony lub łagodzony. Okres stalinowski (lata 1949-1955) to najbardziej ponury czas bezwzględnej walki komunistycznych władz z wolnością słowa, okres bezwzględnej narzucenia jedyniej słusznej wizji rzeczywistości, która miała odzwierciedlać marksistowski

projekt rozwoju społeczno-gospodarczego. Na porządku dziennym były pochwały na rzecz ZSRR i generalissimusa Józefa Stalina. Jego śmierć i powoli nadszająca odwilż tylko przejściowo nadwątlily szczelność systemu cenzury. Po październiku 1956 roku pojawiły się w Polsce treści dotąd zakazane, m.in. o bohaterstwie żołnierzy września 1939 roku, Armii Krajowej czy powstania warszawskiego. Jednak cenzura starannie pozbawiała wspomnienia dotyczące tych tematów treści, z których jednoznacznie wynikałoby, o jakie ideały toczona była walka, za jaką niepodległość oddawali swe życie żołnierze AK. Pozostawiano w wydawanych dziełach opisy klęsk i porażek, tak by rozpowszechnić tezę o bezsensownej ofierze zwykłego żołnierza, „wykorzystanego” i „oszukanego” przez dowódców podporządkowanych niekorzystnym dla Polski rachubom rządu emigracyjnego w Londynie. Powstały w 1958 roku film *Popiół i diament* na podstawie powieści Jerzego Andrzejewskiego współgrał z komunistyczną interpretacją realiów powojennych Polski. Główny bohater powieści i filmu, żołnierz Armii Krajowej, walcząc przeciw władzy ludowej, ginie na śmietniku, bo służy fałszywym ideałom. Często współcześnie eksponowane tezy o bohaterstwie i bezsensownych ofiarach walk czasów II wojny światowej, o nieodpowiedzialnych decyzjach polskich dowódców, kojarzenie patriotyzmu przede wszystkim z martyrologią narodu, wydają się „pośmiertnym” zwycięstwem interpretacji przeszłości utrwalonych przez system cenzury PRL.

Postawy twórców

Po krótko trwającej „odwilży” 1956 roku osłabiony system cenzury powoli zaczął działać coraz sprawniej. Tak o niepokojących zmianach w tygodniku „Współczesność” już w roku 1957 pisał Marek Nowakowski: „poznając kulisy funkcjonowania redakcji, dochodziłem do wniosku, że niewiele ona się różni od innych instytucji, urzędów, biur znanych dotychczas. Widziałem szefów ślepo spełniających polecenia zwierzchników, redaktorów niższego szczebla oddanych wiernie naczelnemu, psio uległych, odgadujących w lot jego życzenia. Uderzała powszechnie występująca obłudność, staranne skrywanie własnych poglądów, podporządkowanie się przekonaniom narzuconym z góry”. Wszystko wróciło do normy, system cenzury znowu królował i święcił triumfy. Okres 1980-1981 to ponownie czas małej skuteczności systemu cenzury ze względu na powstanie i działalność NSZZ „Solidarność”. Cały kraj opanowały wówczas związkowe gazetki i wydawnictwa. W prasie związkowej drukowano aktualne informacje o bieżących krajowych i zagranicznych wydarzeniach, wydania związkowe na powielaczach rozpowszechniały dotąd zakazane książki emigracyjnych i krajowych autorów. Uchwalono także nową ustawę o cenzurze, w której sprecyzowano dotąd bardzo ogólnikowo sformułowane zasady cenzorskich ingerencji. Niestety wkrótce wprowadzony stan wojenny praktycznie przekreślił te zdobycze. Przywrócono dawne praktyki działania systemu cenzury.

Zastanawiając się nad funkcjonowaniem systemu PRL-owskiej cenzury, warto zadać pytanie o postawy samych twórców (publicystów, literatów, uczonych, reżyserów filmowych i teatralnych, artystów plastyków) wobec tak funkcjonującego, rozbudowanego mechanizmu blokowania wolności wypowiedzi. Warto zastanowić się, do jakiego stopnia działał mechanizm autocenzury.

Trudną sytuację każdego z twórców doby PRL można wytłumaczyć, analizując sens notatki, jaką w swoim dzienniku w 1951 roku zapisał przebywający w Londynie Jan Lechoń. Emigracyjny poeta tak scharakteryzował krajowe środowisko literackie: „Przeглядanie »Nowej Kultury«. O Dzierżyńskim więcej wierszy i artykułów niż w najpodańszych laurkach o Piłsud-

skim. Podobno Jurkowski zaraz po wojnie zabrał się za szycie butów. Dlaczego Iwaszkiewicz tego nie robi?”. Warto w tym miejscu postawić pytanie: kim był Jurkowski? Dziś niewiele osób wie, że miał na imię Zygmunt i był poetą, który czytał swe wiersze i występował w kabarecie „Cyrulik Warszawski” w okresie II Rzeczypospolitej. Jarosława Iwaszkiewicza nie trzeba przedstawiać. Wycofanie się z wykonywania zawodu to była cena, jaką twórcy tacy jak Jurkowski musieli zapłacić za niepodporządkowanie się systemowi cenzury. Na palcach jednej ręki można policzyć przeciwników komunistycznych rządów, takich jak Zbigniew Herbert.

Dzisiaj nie sposób oszacować strat, jakie poniosła nasza kultura i nauka w wyniku zablokowania możliwości rozwoju talentów dziennikarskich, literackich czy naukowych przez panujący system cenzury. Czy oznacza to jednak, że ich nie było? Dobrze scharakteryzowała ówczesną sytuację twórców Marta Fik, pisząc: „jeśli spojrzeć naprawdę uczciwie we własne sumienie, okaże się, że tylko nieliczni wśród tych, co spędzili w PRL znaczną część swego dorosłego życia, nie mieli żadnego udziału w podtrzymywaniu komunizmu, a nawet, że nie czerpali z niego żadnych korzyści”. Ilustracją tego typu postaw jest wspomnienie z 1963 roku Sławomira Mrożka: „marzyłem o neutralnym przymierzu z Komitetem Centralnym. Oni dadzą mi spokój, przeznaczą na eksport, a ja będę się zagłębiał w duszę ludzką starannie obchodząc rzeczywistość konkretną. Byłem w pewnym okresie kupiony. Doszedłem do wszystkiego, do czego w kraju można dojść, zdziwiłem się, że mi pozwolono na to, i zacząłem odczuwać coś w rodzaju wdzięczności”. Brak pokory wśród większości twórców nie był zjawiskiem powszechnym. Przeciwstawianie się władzy wiązało się bowiem z utratą wielu przywilejów, którymi obdarzani byli aprobujący PRL twórcy. Warto pamiętać, że w tamtym okresie wszystkie instytucje kultury, wydawnictwa, czasopisma, uczelnie były państwowe. Możliwość funkcjonowania poza oficjalnym obiegiem praktycznie nie było, a gdy pojawiły się od końca lat siedemdziesiątych wydawnictwa podziemne, publikowanie w nich wiązało się z dużym ryzykiem i lękiem o bezpieczeństwo własne i swych najbliższych.

Stan bezradności wobec sprawnie działającego szczelnego systemu cenzury w okresie rządów Edwarda Gierka dobrze opisał Stefan Kisielewski. W jednym z felietonów z 1976 roku pisał o władzy, która cynicznie kusiła twórców do współpracy, a jednocześnie pozbawiała ich złudzeń, iż walka z systemem cenzury może być skuteczna. Oto fragment tekstu Kisielewskiego: „czy kłamstwo rozbudowane i uporczywe ma na celu oszukanie ludzi, czy też nakłonienie ich, aby z pełną świadomością wzięli w nim udział. Konstruując kłamstwo doskonałe i wszechstronne konstruujący zdaje się mówić do swego odbiorcy i partnera: widzisz bracie, ty mojego monolitu nie ugryziesz, nie ma w ogóle gdzie włożyć palca, wszystko przewidziałem i ubezpieczyłem się na wszelkie sposoby. Wobec tego daj sobie spokój ze zwalczaniem mnie, przyjmij w całości (inaczej nie można) to, co ci mówię, a jeżeli już koniecznie upierasz się, że to jest nieprawda, przyjmij rzecz jako nasz wspólny język, jako mowę ochronną, umowną a konieczną”. Kisielewski, który na taki układ nie poszedł, wydrukował w drugim obiegu w 1977 roku tekst podsumowujący swoją walkę z blokadą wolności słowa: „Cenzura złamała i obrzydziła moje życie, uniemożliwiła mi wykonywanie zawodu publicysty politycznego, do którego czułem się powołany. Cenzura zafałszowała, spaczyła i popsuła 90% tego co wydrukowałem. Cenzura sprawiła, że cotygodniowe felietony, jakie pisuję w krakowskim »Tygodniku Powszechnym« od lat 32 pojawiają się okaleczone i okłamują często publiczność co do moich intencji, a sprostować tego ani nawet dać do zrozumienia nie można”.

Szarpanina z poszanowaniem smyczy

Sukcesem PRL-owskiego systemu cenzury było wciąganie redakcji i samych autorów w grę wzajemnych ustępstw. Prawie nikt z nich nie zastanawiał się, że bierze udział w procedurze łamania wolności słowa. W tej grze autorzy koncentrowali się przede wszystkim na tym, co uda się obronić. Przedmiotem sporu był zakres ingerencji, a nie kwestionowanie samego istnienia cenzury. Jeden z młodych uczonych, który negocjował w cenzurze w latach 60. wydanie drukiem swej pracy, podzielił się już w wolnej Polsce taką refleksją: „ciekawe, że w ogóle nie przyszło mi wówczas do głowy, żeby nie iść na żaden kompromis i zrezygnować z druku książki”. Mechanizm postawy ugodowej autorów piszących w dobie PRL bardzo dobrze scharakteryzował wybitny znawca dziejów Polski XIX wieku, prof. Stefan Kieniewicz: „Czym się kierował autor ulegający sugestiom lub presjom odgórnym albo też wychodzący im na spotkanie? W duszy jego mogły się splatać różne motywacje: względą na zawodową karierę, na perspektywę honorarium – obok namysłu, że może naprawdę nie należy Polsce ludowej przysparzać trudności w jej stosunkach z możliwym sąsiadem? I jeszcze to wewnętrzne usprawiedliwienie: że uda się wynegocjować takie sformułowanie, które zadowoli władzę, bez ujmy sumienia; że wreszcie lepiej będzie dla nauki polskiej, jeżeli dzieło ukaże się w formie nieco okaleczonej, niż by miało nie ukazać się wcale”.

W 1991 roku o postawach polskich uczonych czasów PRL tak pisał ks. prof. Józef Tischner: „powtarzamy dziś za Aleksandrem Solżenicynem, że poparcie intelektualistów dla komunizmu polegało przede wszystkim na jakimś uczestnictwie w kłamstwie. Uczeń był kanałem, przez który sphywała na świat kłamliwa mowa, zasłaniająca dzieła oprawców. Co znaczy udział w kłamstwie? Znaczy nie tylko powtarzać kłamstwa zasłyszane, ale również wspierać je zarówno swym autorytetem, jak własnymi argumentami”. I choć autor zwracał uwagę na różny stopień udziału w szerzeniu kłamstwa, wskazywał na postawy buntu przeciw istniejącemu systemowi ograniczania swobody wypowiedzi, to stwierdzał, iż intelektualiści w znacznej większości podporządkowywali się presji polityki w sprawach fundamentalnych. Tischner pisał, iż w takiej postawie: „istotną rolę odgrywały dwa słówka »mimo wszystko«. Mimo wszystko, mimo błędów i wypaczeń mimo zniewolenia, przemocy i zbrodni, jest jakaś racja po stronie komunizmu – socjalizmu. Mówiąc swoje »mimo wszystko« ludzie ci popierali »dobry komunizm«, odcinając się od wypaczeń. W ten sposób rozum naukowy stał się posłusznym sługą rozumu politycznego. Rozum naukowy zgadzał się na fundamentalny udział w kłamstwie. Radykalnego zerwania z kłamstwem nie było. Była szarpanina, ale z poszanowaniem smyczy”. Diagnozę ks. prof. Tischnera w pełni można odnieść nie tylko do uczonych, ale także w zdecydowanej większości do polskich twórców doby PRL-u.

Osobiście dziwią mnie pojawiające się od czasu do czasu współczesne głosy publicystów, a nawet historyków, pomniejszających rolę systemu PRL-owskiej cenzury w zubożeniu naszej kultury, nauki, wątpiących w jego fatalny wpływ na postrzeganie ówczesnej rzeczywistości. Brak świadomości co do skuteczności systemu cenzury doby PRL, ignorowanie metod, jakimi wtedy się posługiwano, by zwalczać krytyczne, niezależne myślenie, mogą sprzyjać wszystkim tym, którzy współcześnie starają się manipulować polskim społeczeństwem.

Dr hab. Zbigniew Romek, profesor nadzwyczajny w Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusku (2014–2019) i w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk (1991–2018). Jest autorem książki „Cenzura a nauka historyczna w Polsce 1944–1970”, Warszawa 2010 oraz współredaktorem pracy „Cenzura w PRL. Analiza zjawiska”, Warszawa 2017.

Piotr Nowak

Cenzura po polsku

Niesłusznie się uważa, że polski system był skuteczny i efektywny w równym stopniu jak cenzura istniejąca w innych państwach socjalistycznych. Rzeczywistość była inna, gdyż polska cenzura pozwalała na skuteczne wykorzystywanie istniejących w niej luk, których nie miały inne socjalistyczne systemy cenzuralne.

W ostatniej dekadzie obserwujemy pewne obniżenie zainteresowania środowisk naukowych problematyką cenzury, choć nadal istnieją duże obszary badawcze, które nie zostały zbadane w wyczerpującym stopniu. Trudno na przykład o przekonujące wyjaśnienie istniejącego od lat regresu w badaniach (w tym kontrastywnych) nad systemami cenzury istniejącymi w innych krajach totalitarnych w Europie i na świecie.

Wydaje się jednak, że nie tylko odczuwamy brak pogłębionych analiz funkcjonowania systemów cenzury w krajach socjalistycznych traktowanego en bloc, ale istnieją także pewne nie do końca zbadane obszary badań cenzury istniejącej w Polsce. Jednym z nich jest ocena poziomu efektywności działalności polskich organów cenzury. Niewiele jest publikacji traktujących to jako główne zagadnienie badawcze. Przyjrzyjmy się tym kwestiom, bowiem z wielu powodów warto. Z uwagi na eseistyczny charakter tekstu, który nasi Szanowni Czytelnicy w tej chwili czytają, pójdźmy na pewien teoretyczny skrót, traktując łącznie niezwykle długi okres liczony od pierwszego roku epoki nowożytnej do końca istnienia peerelu. Zakładamy – być może na wyrost – brak istnienia cenzury w Polsce od lat dziewięćdziesiątych obecnego wieku. Ten zabieg pozwoli na ciekawsze w znaczeniu publicystycznym wnioski i spostrzeżenia.

W okresie nowożytnym organizacja systemu cenzury w Polsce opierała się na trzech filarach: (1) cenzury królewskiej i miejskiej, (2) cenzury kościelnej, podlegającej Watykanowi i polskiemu biskupowi, wreszcie (3) cenzury państw obcych mających swe delegatury w Rzeczypospolitej. Wymienione ośrodki współpracowały z sobą zarówno na poziomie „programowym”, jak i wykonawczym. Pierwsze nasilenie działań cenzury miało miejsce w pierwszej połowie wieku XVI, gdy Zygmunt Stary wydał wojnę powielaniu i rozpowszechnianiu druków hereetycznych. Z publikacjami w duchu nauk Marcina Lutra walczyli Zygmunt August oraz Stefan Batory. Podobnie zakazy cenzorskie na wydawnictwa hereetyczne wydawali w kolejnych stuleciach Władysław II, Jan Kazimierz, Jan III Sobieski, August II oraz Stanisław August Poniatowski.

Z biegiem czasu książka stawała się coraz ważniejszym elementem łańcucha komunikacji społecznej w warstwach oświeconych. Warto zaznaczyć, iż w wieku XVIII w co trzecim domu mieszczańskim była już prywatna biblioteka, w której z każdą dekadą przybywało książek o tematyce świeckiej kosztem piśmiennictwa religijnego. Jednocześnie zmienił się język wydania gromadzonych druków – książka polska wypierała

łacińską, stając się nie tylko narzędziem oddziaływania religijnego, ale także politycznego.

Przechodząc do podstaw zapisów cenzury, jaka istniała w Polsce w okresie nowożytnym, nie sposób oczywiście pominąć najważniejszego dokumentu, jaki w 1564 swym podpisem opatrzył Pius IV, czyli *Index librorum prohibitorum*. Wiemy, że także luteranie, arianie, jak i kalwini mieli swoje wykazy publikacji zakazanych, nieco mniej wiadomo o systemie cenzuralnym stworzonym przez polskich Żydów. Również obyczaj cenzurowania przekazu publicznego przez przedstawicieli obcych placówek dyplomatycznych ma bardzo długą tradycję i – co zrozumiałe – trwa do czasów współczesnych.

Ówczesna cenzura miała charakter prewencyjno-represyjny. Istniała oczywiście instytucja imprimatur, ale niektóre oficyny nie wahały się przed drukiem wydawnictw nieposiadających imprimatur, co oczywiście narażało je na represje. Katalog kar był rozbudowany: od konfiskaty nakładu, poprzez kłutwę, do braku rozgrzeszenia, ponieważ druk i lektura wydawnictw niecenzuralnych były grzechem ciężkim, z czego musiał się spowiadać zarówno drukarz, jak i przeciętny penitent umiejący czytać bądź w inny sposób dokonujący recepcji takiej książki. Rozgrzeszenia były częste, jednak w przypadku ich braku groziło piekło. Zatem siłą rzeczy nasz katalog kar musi być o nie rozszerzony. Na domiar złego od wieku XVI watykański *Indeks* uzupełniany był o książki polskie. Hipotetycznie liczba Polaków trafiających do piekła wyraźnie wówczas wzrosła.

Wielu osobom siedemnastowieczna cenzura kojarzy się także z paleniem książek, choć z istniejących przekazów wiemy, że nie miało to charakteru bibliocydu.

Referenci prasowi i odsiadanie wyroków

Wstrzymajmy się od kompleksowej oceny efektywności funkcjonowania systemów cenzury w tym okresie. Wypadałoby uczynić to z jezuickim zacięciem i benedyktyńską pracowitością. Nie jesteśmy jednak ani jezuitami, ani benedyktyńcami. My odsyłamy naszych czytelników do źródeł, ponieważ paradoks ówczesnej polskiej cenzury polegał na tym, że najbardziej niecenzuralne wydawnictwa zachowały się w największej liczbie egzemplarzy. A jak było z paleniem książek? „Na szczęście książka z prasy drukarskiej rzadko trafiała na stos, częściej do rąk czytelników lub choćby do szaf zamykanych wprawdzie na klucz, ale jednocześnie chronionych” (Paulina Buchwald-Pelcowa).

W dwudziestoleciu międzywojennym zarówno prawo prasowe, jak i kodeks karny zakładały tzw. cenzurę podmiotową, co oznaczało, że nie tylko poddawano konfiskacie publikację, lecz również karano wydawców. Problemem ustawodawczym, z jakim borykała się wówczas Polska, było funkcjonowanie zaborczych systemów prawnych w różnych częściach kraju. Jednolite prawo prasowe, które uchwalono z dużym opóźnieniem, koncentrowało się na ściganiu wydawnictw znieważających urzędników, wojsko oraz kwestionujących wyroki sądów. Ciekawe było także ściganie druków osłabiających tzw. ducha narodu. Podobnie jak w okresie nowożytnym chroniono wizerunki państw sojuszniczych, mówiąc konkretnie przedstawicieli władz tych państw. Na podstawie tego zapisu ochronie w prasie polskiej podlegał Adolf Hitler. W konstytucji kwietniowej (1935) nie było już mowy o wolności prasy, choć rzecz jasna konstytucja deklarowała w Polsce wolność słowa. Jak wobec tego realizowano ją, biorąc pod uwagę wszystkie usankcjonowane prawnie ograniczenia swobody wyrażania myśli?

Z konfiskatą książek mieliśmy do czynienia w dwudziestoleciu międzywojennym rzadko. Z uwagi na poważne zaangażowanie prasy w spory polityczne władze głównie inwigilowały prasę opozycyjną. Prawie bezwyjątkowo penalizowano wyłącznie przypadki kolportażu treści niecenzuralnych. Słowem, nie był zabroniony druk informacji sprzecznych z interesami państwa, ścigane było rozpowszechnianie nakładu z taką informacją. W okresie rządów sanacji do połowy lat trzydziestych ubiegłego wieku policja miała sugerowany nawet redakcjom i wydawcom prasy katalog informacji, jakie mogły być publiko-

wane oraz takich, których publikowanie było zabronione. Jednocześnie od lat dwudziestych prowadzono poufny wywiad prasowy, gromadząc informacje na temat poglądów politycznych członków redakcji oraz kondycji finansowej właściciela danego tytułu. Ponadto w starostwach powiatowych funkcjonowali tzw. referenci prasowi, których zadaniem było m.in. czytanie wydawanej w powiecie prasy. Swe wątpliwości referent prasowy przekazywał staroście, ten natomiast konsultował się w tym zakresie z prezesem sądu właściwego dla miejsca wydawania tytułu. Zwykle zanim cała procedura sądowa zakończyła się konfiskatą, spora część nakładu gazety trafiała do rąk czytelników. Ciekawym przykładem takiego proceduru było wileńskie „Słowo”. Przez 18 lat funkcjonowania na rynku wydawniczym dziennik ten był 222 razy konfiskowany (sporadycznie prawdopodobnie konfiskacie ulegał cały nakład). Zatem częściowej konfiskacie podlegał jeden numer w miesiącu.

Władze sanacyjne szybko się zorientowały, że nękanie prasy konfiskatami na podstawie istniejących przepisów prawa prasowego oraz kodeksu karnego nie przynosi rezultatu, dlatego postanowiono udoskonalić systemy kontroli przez odmowy kredytu bankowego, wytaczanie w zasadzie permanentnych procesów (niektóre redakcje wyznaczały osobę, której zadaniem było wyłącznie odsiadanie wyroków), odmowy kierowania zleceń na publikowanie reklam, wręczanie łapówek właścicielom drukarni za bojkot gazet i czasopism antysanacyjnych oraz naliczanie najwyższych z możliwych kar za zwłokę w płaceniu podatków.

Biorąc pod uwagę los tytułów czasopism, które były kon-

fiskowane na mocy wyroków sądów w dwudziestoleciu międzywojennym, dochodzimy do z pozoru paradoksalnego wniosku. Można by wręcz zaryzykować tezę, że „prześladowanie” redakcji stawało się czynnikiem promującym tytuł. Cenzura, która de facto nie mieściła się w ówczesnym modelu wolności słowa, stawała się narzędziem celebryckich wyróżnień. Jest to mechanizm znany współcześnie – nic tak nie przyciąga uwagi potencjalnych czytelników jak treści zakazane. Skądinąd doskonale znali to ówcześni twórcy. Na przykład J. Łobodowski, który w Lubelskiej szopce politycznej pisał:

„Oj, w Lublinie,
w tym Lublinie,
tak powoli woda płynie –
jak się wybić, by nie chybić –
głowiłem się tam.
I orzekłem – nie ma rady –
trzeba wydać „Barykady”
od konfiskat do nazwiska
szybko dojdę sam”.

Nie wiemy nic bliższego na temat działań polskiej cenzury w okresie II wojny światowej. Z pewnością zarówno Rząd Londyński, jak jego Dele-



gatura na Kraj stosowali jednak jakieś jej formy. Pytanie jakie pozostaje otwarte.

Przypominała system radziecki

Nie mamy natomiast żadnych wątpliwości, że cenzura istniejąca od drugiej połowy lat czterdziestych do początków lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku jest systemem najlepiej rozpoznany ze wszystkich, jakie istniały na ziemiach polskich. Bibliografia opublikowanych na ten temat opracowań oraz źródeł jest niezwykle rozmiarów. Wzmianek na temat cenzury w Polsce Ludowej rozproszonych w opracowaniach niepoświęconych tematycznie systemom kontroli cenzorskiej jest prawdopodobnie tyle, że nie sposób ich wszystkich skatalogować. Co ciekawe, socjalistyczna cenzura na fali dużego zainteresowania ze strony nauki zainspirowała także jej popularyzatorów, czego skutkiem jest interesujący nurt publikacji popularnonaukowych opisujących cenzurę funkcjonującą w omawianym przez nas obecnie okresie.

Centralne Biuro Kontroli Prasy (1945), Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (1946), od lat osiemdziesiątych Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk są instytucjami, których nazwy na trwałe kojarzymy z systemem totalitarnym, który istniał w Polsce. Prewencyjna kontrola druków w naszym kraju realizowana była w ramach podsystemu władzy różniącego się od analogicznych w większości innych krajów Bloku Wschodniego. Polska cenzura pod względem swojej struktury najbardziej przypominała system radziecki. Z pewnością jej twórcy inspirowali się Gławlitem.

Niezbędnym elementem stworzenia sprawnie funkcjonującej sieci organów kontroli publikacji była nacjonalizacja polskiego ruchu wydawniczego. Udało się przeprowadzić ten proces sprawnie, a przede wszystkim szybko, choć – co nie jest tajemnicą – z brzemionami w skutkach wyjątkami. Początkowo wydawało się, że mają one charakter tymczasowy. Jak się później okazało, były trwałe; mało tego, jak można by powiedzieć, w pelzający sposób ulegały rozszerzaniu we wszystkich dekadach istnienia Polski Ludowej. Powstały wprawdzie wielkie oficyny państwowe (Książka i Wiedza, Państwowe Wydawnictwo Naukowe oraz szereg wydawców resortowych), niemniej jednak pozostały na rynku choćby Księgarnia św. Wojciecha (Albertinum), Pallottinum oraz Wydawnictwo PAX. W latach siedemdziesiątych oraz osiemdziesiątych ubiegłego wieku pojawiły się kolejne niezależne firmy wydawnicze, tym razem nielegalne, ale oddziałujące na czytelnika, w niektórych kręgach istotnie.

W dotychczasowych badaniach słusznie traktuje się system cenzury prewencyjnej, łącznie z rozbudowanymi strukturami perlustracyjnymi, jako element aparatu ucisku państwa totalitarnego. Niesłusznie jednak się uważa, że system ten był skuteczny i efektywny w równym stopniu jak cenzura istniejąca w innych państwach socjalistycznych. Rzeczywistość była inna, gdyż polska cenzura pozwalała na skuteczne wykorzystywanie istniejących w niej luk, których nie miały inne socjalistyczne systemy cenzuralne. Łatwo wymienić katalog metod stosowanych przez polskich twórców, dziennikarzy i wydawców. Działo się tak zarówno dlatego, że struktura organizacyjna systemu na to pozwalała (duży rozrzut kompetencji i co za tym idzie decyzyjności; czynniki decyzyjne nie zawsze wiedziały, co robią naczelnicy terenowych komórek cenzury) oraz umożliwiały to zatrudnione w nich kadry. „Ludzie” polskiej cenzury wcale nie byli tak oddani sprawie socjalizmu, jak się może wydawać. Pod względem ideowym, zwłaszcza w późniejszych dekadach rozbudowy nowego ustroju, w wielu przypadkach byli tzw. elementem niepewnym.

Dzięki temu doszło do niespotykanych w innych państwach socjalistycznych sytuacji, gdy twórcy, a nawet pracow-

nicy zatrudnieni w państwowych oficynach wydawniczych pozwalali sobie na bezkarną grę z organami cenzury. Rzecz absolutnie nie do pomyślenia w takich krajach jak na przykład Niemiecka Republika Demokratyczna. Tam system został zorganizowany w sposób, który nie pozwalał na jakąkolwiek grę autorów i wydawców z cenzurą z uwagi na jego centralizowanie. Decyzję o druku lub zatrzymaniu podejmowała jedna instytucja, od której stanowiska nie było odwołania w znaczeniu, w jakim działo się to w Polsce.

Gra z cenzurą owocowała niestety jednym z najbardziej dotkliwych w przestrzeni wolnego słowa zjawisk, jakim było stosowanie przez autorów autocenzury, przez co wiele niezwykle ważnych tematów odbudowy Polski po pożodze wojennej początkowo wcale, rzadko lub w wypaczonej formie pojawiało się w przestrzeni publicznej. Z czasem jednak i na to znalazły się sposoby. Z biegiem lat, między innymi dzięki luzowaniu gorsetu ustrojowego, gra z cenzurą przyjęła postać mniej chaotyczną, opartą na wyraźniejszych zasadach. Co jednak najbardziej istotne, stworzono kilka sprawdzonych strategii pozwalających na częściowe jej omijanie. Katalog najważniejszych z nich przewidywał: przeczekanie, kostium historyczny, język ezopowy, przekupywanie cenzorów (co nieraz przybierało postać bezczelnej korupcji), wykorzystywanie koneksji z władzą oraz wykorzystywanie możliwości, jakie daje forma inscenizacji (np. w postaci spektaklu teatralnego). Przy okazji warto nadmienić, że cenzurowano w Polsce także inscenizacje cyrkowe. Oczywiście do wymienionych powyżej strategii zaliczyć także z pewnością należy wspomniany drugi obieg wydawniczy.

Każda z tych metod miała swych zwolenników, choć – co oczywiste – sposób jej wykorzystania w największym stopniu zależał od sytuacji kontekstowej, w jakiej znalazł się twórca. Najczęściej zresztą stosowano jednocześnie kilka z wymienionych strategii, co dawało większą szansę na dotarcie do odbiorcy z przekazem utworu.

Skuteczna czy nieskuteczna

W aktach dokumentujących dzieje polskiej cenzury autorowi udało się odnaleźć szereg recenzji cenzorskich maszynopisów zgłoszonych przez poznańskie Albertinum (Księgarnię św. Wojciecha) do Wojewódzkiego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Poznaniu w latach 1948-1949. Organ cenzorski wydał 51 decyzji, 30 z nich zawierało decyzję odmowną. Paradoksalnie 8 i tak ukazało się w druku. A zatem jedna czwarta wszystkich zatrzymań.

Pora na podsumowanie. W tym miejscu można by zadać dwa pytania: (1) czy polska cenzura analizowana przez nas powyżej w bardzo szerokiej perspektywie była skuteczna, czy nieskuteczna oraz (2) dlaczego tak było? Na pierwsze z nich z pewnością odpowiedź nie będzie jednoznaczna, prawdopodobnie stanowisk może być w tym wypadku dużo. Jeśli jednak odpowiemy na nie negatywnie, to wkroczymy w fascynujący dla cenzurologów obszar dociekań. Jest on słabo zbadany, dlatego tak ciekawy. Piszący te słowa uważa, że polska cenzura nie była skuteczna w żadnym z okresów istnienia państwa, stąd przekonanie o konieczności kontynuacji badań nad organami kontroli.

Tekst powstał na podstawie artykułu autora *Kilka (dyskusyjnych) uwag na temat cenzury druków w Polsce od nowożytności do czasów współczesnych*, [w:] *Kto by tam czytał gazety... Księga jubileuszowa dedykowana prof. Grażynie Gzelli*, pod red. Wandy Ciszewskiej-Pawłowskiej i Barbary Centek, Toruń, Wyd. Nauk. UMK 2019.

Dr hab. Piotr Nowak, prof. UAM, Wydział Etnolingwistyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Cenzura w PRL

Ministerstwo Rolnictwa wstrzymywało informacje na temat zakaźnych chorób występujących u zwierząt i pomoru drobiu. Biuro Prasy przekazywało do GUKPPIW polecenia blokowania informacji o wypadkach drogowych, zabójstwach i samobójstwach. Prezes GUKPPIW nierzadko otrzymywał polecenia od premiera. Materiały instrukcyjne docierały do GUKPPIW również ze Sztabu Generalnego LWP oraz radzieckiej ambasady i konsulatów.

W książce poświęconej cenzurze w Polsce (w latach 1944-1960) przekonuję, opierając się na archiwach polskich i zagranicznych oraz licznej grupie dokumentów radzieckiej proveniencji, że jednym z powodów utworzenia na ziemiach polskich urzędu cenzury były nasilające się na Zachodzie informacje na temat skali sowieckich zbrodni dokonywanych na Polakach podczas II wojny światowej. Stalin chciał zablokować informacje o eksterminacji ludności zamieszkałej na Kresach Wschodnich II RP, deportacjach w głąb ZSRR, zbrodni katyńskiej oraz terrorze sowieckim, przedostające się do zachodnich mediów, zwłaszcza w przededniu konferencji jałtańskiej (luty 1945 r.). Wiadomości o zbrodniach radzieckich przedostawały się na Zachód różnymi kanałami – poprzez pocztę, rodziny zamordowanych, wojskowych, podziemną prasę i radiostacje – i były przez Stalina traktowane jako element kampanii antyradzieckiej.

Instytucja cenzury powstała na ziemiach polskich jeszcze podczas II wojny światowej. Urzędy odpowiedzialne za kontrolę środków przekazu były tworzone przez funkcjonariuszy radzieckiego aparatu kontroli Gławlitu, przy wydatnym wsparciu NKWD oraz miejscowych komunistów, we wszystkich państwach Europy Środkowo-Wschodniej, które znalazły się w radzieckiej strefie wpływów oraz na obszarach zaanektowanych przez Związek Radziecki. W procesie tworzenia aparatu cenzury polscy komuniści odegrali rolę marginalną wobec radzieckich wojskowych oraz „doradców” przybyłych z Moskwy. Najważniejsze decyzje podejmowali pracownicy Gławlitu, których polecenia były traktowane w kierownictwie Polskiej Partii Robotniczej jak rozkazy. Funkcjonariusze radzieckiej cenzury przybyli do Lublina po upadku powstania warszawskiego, w grudniu 1944 roku, aby zorganizować urząd cenzury wzorowany na modelu sowieckim. Ich zadaniem było przyspieszenie tempa prac nad urzędem kontroli, który miał być jednym z filarów zabezpieczających radzieckie interesy w Polsce. W lipcu 1946 roku utworzono w Warszawie Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, którego siedziba znajdowała się na ulicy Mysiej.

Pierwsi cenzorzy

Pierwsi cenzorzy byli wyłaniani spośród funkcjonariuszy bezpieki (Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego). W latach 40. i 50. XX w. większość cenzorów nie posiadała należytego

wykształcenia (85% kadry miało wykształcenie podstawowe lub niepełne podstawowe, a 1% wykształcenie wyższe) oraz elementarnej wiedzy z zakresu historii, literatury a nawet ortografii. Byli to ludzie pochodzący z awansu społecznego, których największą zaletę stanowiła przynależność do partii oraz pryncypializm ideologiczny. Pracowników cenzury rekrutowano spośród funkcjonariuszy aparatu represji, jednak nie nadawali się oni do tej pracy. Liczne grono funkcjonariuszy MBP niższego szczebla wywodziło się z warstw plebejskich, głównie z pogranicza wsi i miasta. Byli to w większości ludzie bardzo młodzi, bez tradycji politycznej, często bez zawodu i wykształcenia. Ich kultura prawna i wiedza policyjna były nikłe, mieli mało skrupułów, nadmiar ambicji i stanowili typowy materiał do „brudnej” roboty. Ze względu na niechęć i wrogość społeczeństwa wobec aparatu represji do MBP byli przyjmowani nawet pospolici przestępcy, ludzie o niskim poziomie moralnym i intelektualnym, a także analfabeci. Brak odpowiedniego wykształcenia był stałym problemem wśród cenzorów w latach 40. i 50. XX w.

Instrukcje dla cenzorów

Aparat cenzury był ważnym narzędziem PPR/PZPR zabezpieczającym interesy partii, a działalność cenzorów sprowadzała się do realizacji wytycznych KC PPR, następnie KC PZPR oraz Rady Ministrów. Warto pamiętać, że urząd cenzury nie stanowił samodzielnego bytu, a zadania realizowane przez pracowników kontroli były ustalane na najwyższych szczeblach władzy. Szeregowy cenzor nie kreował linii politycznej urzędu, lecz był realizatorem wytycznych otrzymywanych „z góry”.

Instrukcje i tzw. zapisy były formułowane przez poszczególnych sekretarzy KC, w szczególności odpowiedzialnych za propagandę (prasę, radio i telewizję), kulturę i naukę. Źródłem instrukcji i wytycznych były Biuro Polityczne, sekretariat KC, ministerstwa oraz instytucje państwowe, takie jak m.in. GUS, NIK oraz przedsiębiorstwa państwowe. Prezes GUKPPIW otrzymywał polecenia od I sekretarza, prezesa i wiceprezesa Rady Ministrów. Był to stały element cenzorskiego instruktażu. Część instrukcji została opublikowana dzięki Tomaszowi Strzyżewskiemu, pracownikowi krakowskiej cenzury, który skopiował ściśle tajne wytyczne cenzorskie, tzw. *Księgę zapisów i zaleceń* i nielegalnie, z narażeniem życia, wywiózł ją w 1977 r. do Szwecji. Instrukcje zostały następnie opublikowane przez emigracyjne wydawnictwo Aneks w Londynie pod postacią *Czar-*

nej księgi cenzury PRL. Po jej lekturze Stefan Kisielewski napisał w *Dziennikach*, że „włos podnosi się na głowie”, a z dokumentu „tchnie czyste szaleństwo, i to ruskie, średniowieczne, bizantyjsko-azjatyckie”.

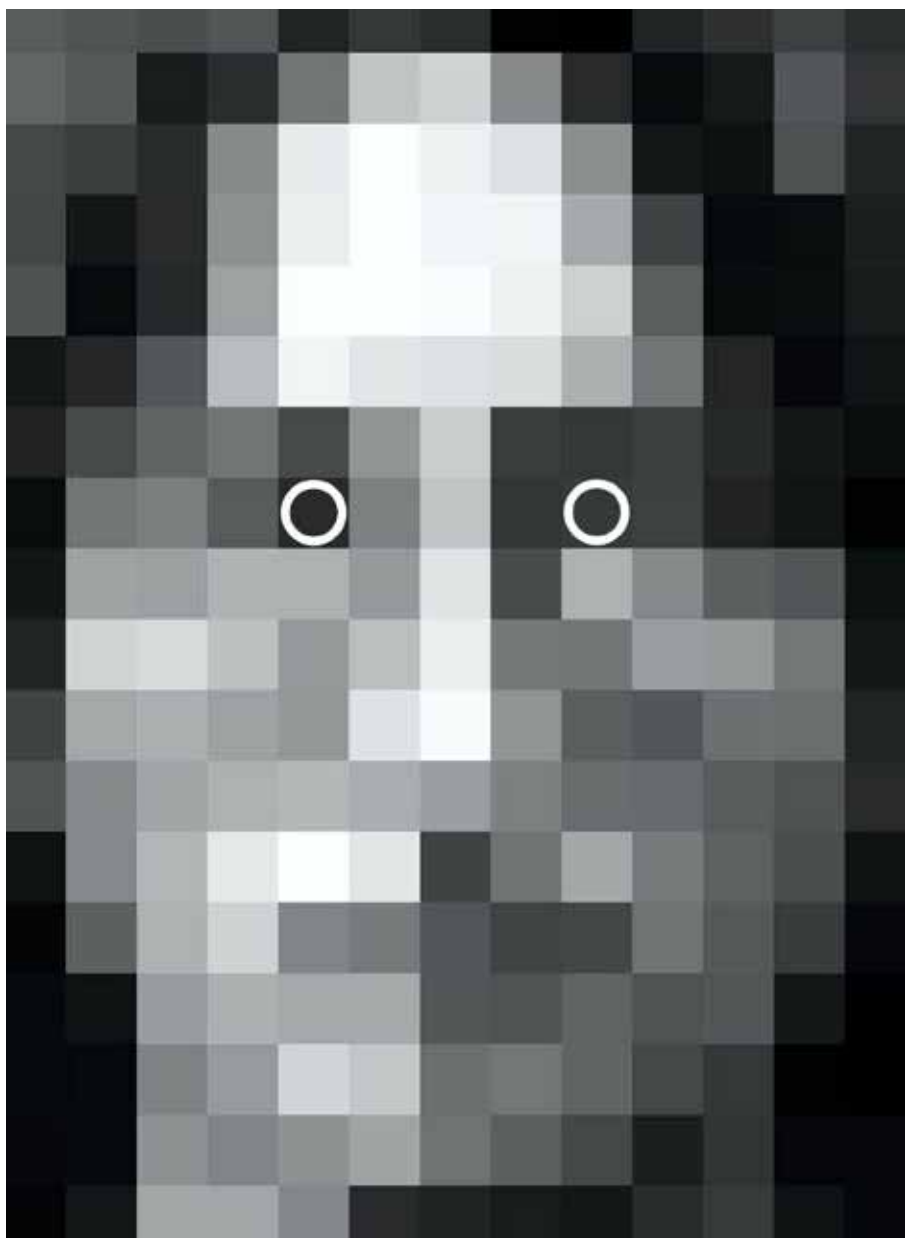
Polecenia i prośby (także telefoniczne) formułowane przez ministrów nie należały do rzadkości. Na przykład w latach 60. XX w. Ministerstwo Handlu Zagranicznego blokowało informacje na temat handlu z państwami kapitalistycznymi (w tym zakupu kawy), eksportu do ZSRR surowców i towarów po zaniżonych cenach oraz dodawania hormonów do paszy dla zwierząt hodowlanych. Ministerstwo Rolnictwa wstrzymywało informacje na temat zakaźnych chorób występujących u zwierząt i pomoru drobiu. Biuro Prasy przekazywało do GUKP-PiW polecenia blokowania informacji o wypadkach drogowych, zabójstwach i samobójstwach. Prezes GUKP-PiW nierzadko otrzymywał polecenia od premiera, np. w kwietniu 1969 r. wicepremier Jaroszewicz telefonicznie wydał polecenie blokowania informacji o kosztownym i niepotrzebnym przesunięciu Pałacu Lubomirskich, do czego doszło na początku 1970 r. Materiały instrukcyjne docierały do GUKP-PiW również ze Sztabu Generalnego LWP oraz radzieckiej ambasady i konsulatów.

Warto również pamiętać, że najbardziej kontrowersyjne artykuły, które miały ukazać się w prasie (np. w „Po prostu”, „Sztandarze Młodych” czy „Nowej Kulturze”) czytał sam I sekretarz. Szeregowy cenzor nie podejmował decyzji w sprawie druku artykułów wzbudzających obawy co do zgodności z polityką propagandową partii. Tego typu teksty były konsultowane na kilku szczeblach. Ze wspomnień Mieczysława Rakowskiego wynika, że Biuro Polityczne zapoznawało się również z filmami przeznaczonymi do dystrybucji kinowej i decydowało, czy wpisują się w aktualną politykę partii. Tak było np. z *Zezowatym szczęściem* Andrzeja Munka, które obejrzało niemal całe Biuro Polityczne.

Cenzurowanie odbywało się także poza urzędem kontroli, w drodze negocjacji między twórcami a władzami. Szczegółowo opisał ten mechanizm, na przykładzie cenzurowania nauki historycznej, Zbigniew Romek, który dał liczne przykłady świadczące, że nie miały wpływu na kształt wymogów cenzuralnych miało wielu historyków dobrze ocenianych przez elity władzy lub związanych z nimi koleżeńsko. Wytyczne centralnych organów miały charakter ogólny,

a o tym, w jaki sposób je interpretować, decydowali sami uczeni, w szczególności ci, którzy sprawowali rozmaite funkcje kierownicze w partii i rządzie, na uczelniach i Wydziale Nauk Społecznych Polskiej Akademii Nauk. Funkcje cenzorskie spełniał zatem niemały krąg osób, przekonany o wyższości metodologii marksistowskiej nad „burżuazyjną” lub po prostu z przyczyn koniunkturalnych, który decydował o poprawności politycznej i ideologicznej.

System kontroli był zawiły, a wydawnictwa i redakcje gazet niejednokrotnie prowadziły „grę” z cenzorami, próbując przeorsować jak największą liczbę ustępstw. Liczna grupa ludzi pióra (naukowców, pisarzy, dziennikarzy) szła na daleko idące ustępstwa, szukając szansy dla swojej książki czy artykułu. Jak wspominał Wiesław Władysław, redaktor „Mówią Wieki” i „Polityki”, pewnych tematów się nie podejmowało, bo z góry było wiadomo, że nie mają szans na publikację. „Ludziom trudno się przyznawać do tego, że wybierali to, co miało szansę. Dlaczego autor ma stracić osiem lat, zaprzepaścić karierę, skoro nie ma żadnej szansy, żeby coś opublikować? Szuka tematów uczciwie dobranych, ale które mają szansę. Poza tym funkcjonował cały system wydawców i redaktorów. Ja nie wierzę, że cenzor dopisuje, cenzor może wykreślać, dopisuje redak-



Rys. Sławomir Makal

tor i wydawca – to on naciska na autora, pertraktuje z nim i mówi: puścimy to panu, ale niech pan napisze, że ktoś tam to był kawał łobuza – jak pan to dopisze, to my to puścimy” – wspominał. W okresie PRL warunkiem publikowania części prac naukowych i publicystycznych był bliższy lub dalej idący kompromis między autorem a cenzorem, zawierany najczęściej poprzez pośrednika w postaci wydawcy lub redaktora (prowadzącego, naczelnego, sekretarza redakcji). Bezpośredni kontakt między cenzorem a autorem należał do rzadkości. Takich głosów jak Andrzeja Paczkowskiego, który przyznał, że dokonywał ustępstw wobec systemu i cenzury oraz wybierał tematy bezpieczne, jest więcej. Niemal wszyscy rozmówcy Błażeja Torńskiego (m.in. Andrzej Paczkowski, Kazimierz Orłoś, Krzysztof Zanussi, Jan Pietrzak, Ernest Bryll, Zbigniew Lew-Starowicz, Janusz Rolicki, Andrzej Krauze, Tomasz Strzyżewski), których wypowiedzi opublikowano w interesującej książce pt. *Knebel. Cenzura w PRL-u*, twierdzą, że warunkiem publikowania prac naukowych i publicystycznych w okresie PRL była autocenzura.

Zakres kontroli cenzorskiej

Cenzorzy kontrolowali materiały drukowane, programy radiowe i telewizyjne, kinematografię i druki ulotne (np. widokówki, plakaty). W okresie stalinizmu blokowali druk schematów świadectw chrztu, sakramentu małżeństwa, kartek do spowiedzi wielkanocnej, zaproszeń na święcenia kapłańskie oraz wizytówek dla księży. Dokonywano ingerencji w księgach chrztu, księgach zmarłych, księgach małżeństw oraz protokołach zawarcia małżeństwa. Cenzurowano nie tylko drobniejsze artykuły, notatki czy nekrologi, ale również encykliki papieskie. Cenzurowano kazania, podręczniki szkolne do religii, katechizmy, książki do nabożeństw, księgi liturgiczne. Kontrolą objęte były zakłady poligraficzne, firmy zajmujące się sprzedażą matryc, księgarnie, antykwariaty, biblioteki, kluby kultury, słupy z ogłoszeniami, gabloty z gazetkami, kioski przykościelne, festyny i inne imprezy otwarte, ogłoszenia parafialne wiszące w kościołach, obrazy kościelne. Cenzurze podlegały nawet książki eksponowane przez organizacje zagraniczne podczas Międzynarodowych Targów Poznańskich.

Cenzorzy kontrolowali spektakle teatralne, przedstawienia operowe i operetkowe, występy zespołów baletowych, rozrywkowych, cyrkowych, wystawy, obchody, kiermasze, bazy, festyny, jarmarki. Kontrolowali płyty gramofonowe, plakaty teatralne oraz afisze. Cenzorzy kontrolujący widowiska analizowali scenografię teatralną, wygląd aktorów oraz dobór strojów, pilnowano, czy podczas premiery nie dodano uprzednio niezaakceptowanych elementów. Cenzorzy, którzy kontrolowali widowiska, potrafili wdzierać się za scenę podczas prób lub premiery, aby interweniować w sprawie „zakazanych akcentów”. Byli obecni na każdym etapie oceny sztuki, począwszy od kontroli scenariusza aż po premierę spektaklu a następnie kontrolę wtórną (która była realizowana nawet poza godzinami pracy). Cenzorzy wchodzili w rolę ekspertów oceniających zarówno występy baletowe, operowe i operetkowe, np. *Orfeusza w piekle* Jacquesa Offenbacha, jak i jazzowe koncerty grupy Zygmunta Karasińskiego. Analizując sprawozdania cenzorskie z koncertów popularno-rozrywkowych, trudno określić, gdzie kończą się strictly polityczne kryteria oceny, a zaczynają prywatne opinie cenzorów, **będące wyrazem ich gustów muzycznych**.

Konfiskowanie zagranicznych publikacji

Cenzorzy brali udział w procesach jako biegli sędziwi, a ekspertyzy pisane przez nich służyły jako dowód w postępowaniach i przyczyniły się do skazania licznej grupy osób. Cenzorzy analizowali książki, czasopisma i druki ulotne dostarczane im przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa/Służby

Bezpieczeństwa oraz Milicji Obywatelskiej, uzyskane podczas rewizji prywatnych mieszkań, kościołów i redakcji, wydobyte z paczek, listów i bagaży podróżnych przekraczających granicę oraz dostarczone przez tajnych współpracowników.

Choć w okresie odwilży (1954-1955) polityka cenzury wobec krajowych środków przekazu uległa pewnej liberalizacji, to w stosunku do książek i czasopism z zagranicy pozostała restrykcyjna. Zawartość paczek była drobiazgowo analizowana, a budzące zastrzeżenia publikacje potajemnie konfiskowane, bez informowania adresata o zaistniałym fakcie. Paczki, które trafiały do urzędów celnych, były kontrolowane przez celników, a konfiskowane publikacje przekazywano funkcjonariuszom Służby Bezpieczeństwa lub bezpośrednio cenzorom, którzy decydowali, czy prasa i książki trafią do adresata, czy też „na przemiał”. Cenzorzy wycofywali zarówno pisma nieposiadające debitu komunikacyjnego w kraju, jak i te, które przynajmniej teoretycznie, miały prawo być kolportowane. Ostatecznie decydował arbitralny osąd cenzora dyktowany aktualnymi wytycznymi partii oraz własnym przekonaniem co do słuszności podejmowanych decyzji. Choć przeważająca część książek i czasopism nie miała charakteru politycznego, to według cenzorów nawet lifestyleowe pisma dla kobiet ocierały się o politykę, ze względu na popularyzację zachodniego stylu życia. Z tego też względu podlegały konfiskacji. Obok poważnych publikacji naukowych, dzieł najwybitniejszych polskich i zagranicznych pisarzy, encyklopedii, słowników oraz Biblii konfiskowano pisma dla panów z tzw. rozkładówkami (nie miały one nawet szansy trafić do adresata, gdyż cenzura pod względem obyczajowym była w tamtym czasie niemal purytańska), amerykańskie edycje „Vogue”, zachodnoniemieckie lifestyleowe pisma dla kobiet lub prasę dla dzieci i młodzieży. Wszystkie publikacje konfiskowane w Urzędach Celnym i Urzędach Pocztowych podlegały kontroli cenzorskiej. Z wycieńcenia GUKPPIW wynika, że rocznie miało trafiać do PRL 20 tysięcy książek (wliczając jedynie publikacje skonfiskowane w Urzędach Celnym i Urzędach Pocztowych). Według ustaleń Marka Rudzkiego, którego ojciec Adam Rudzki w latach 1956–1987 odpowiadał za dział polskich publikacji w finansowanej z budżetu amerykańskiego instytucji International Literary Centre, zajmującej się przesyłaniem książek za „żelazną kurtynę”, od 1956 do 1994 roku przesłano do Polski 4 miliony publikacji. Należy mieć jednak na uwadze, że znaczna część książek i czasopism, które docierały do kraju była przywożona w bagażach Polaków odwiedzających Europę Zachodnią.

Prohibita

Problemy z dotarciem do kraju w latach 50. i 60. XX w. miały liczne pisma emigracyjne. W celu przedstawienia problemów Jerzego Giedroycia z krajową cenzurą sięgnęłam do korespondencji, która znajduje się w Archiwum Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte. Problemy z dostępnością paryskiej „Kultury” były powszechne. Większość egzemplarzy wysyłanych przez Jerzego Giedroycia do Polski nie docierała do adresatów. Od wydawanych przez Instytut Literacki książek oraz „Kultury” były odcięte również biblioteki publiczne i naukowe, z których jedynie nieliczne mogły się w nie zaopatrywać.

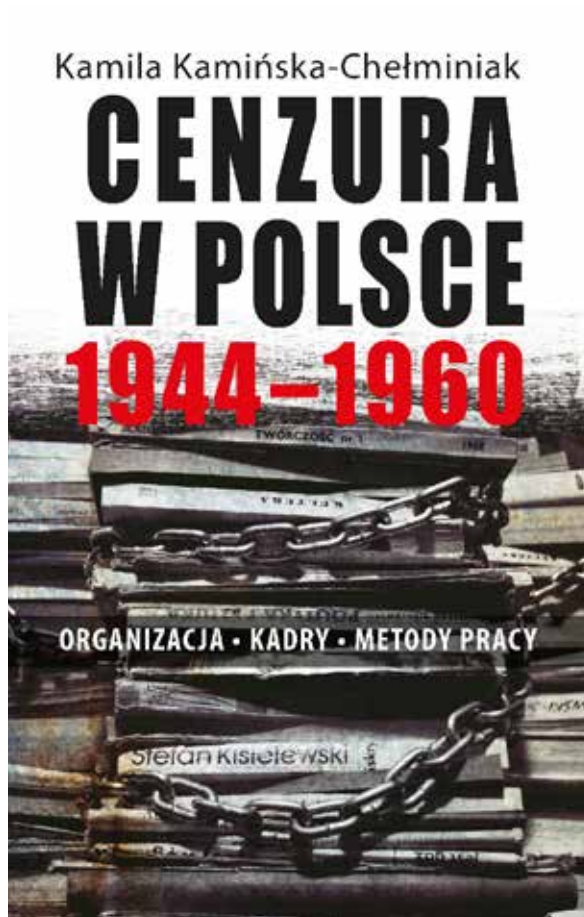
Cenzorzy przechwytywali rzeczony publikacje przeznaczone dla instytutów naukowych, bibliotek, ministerstw, wydawnictw. Problemy z dostępnością „Kultury” w kraju po 1956 r. nasiliły się, podobnie jak represje wobec osób podejrzanych o kontakty z „zagranicznymi ośrodkami wrogiej propagandy”. „Kultura” oraz książki Instytutu Literackiego były w latach 50. XX w. praktycznie niedostępne dla przeciętnego czytelnika w kraju, który nawet jeśli wiedział o istnieniu paryskiego wydawnictwa, to istniejące przeszkody instytucjonalne uniemożliwiały mu

skorzystanie z publikacji. W okresie odwilży sytuacja nie uległa poprawie, miesięcznik docierał do bardzo wąskiej grupy czytelników. Na polecenie najważniejszych osób w państwie unie-możliwiano kolportowanie „Kultury”, która była postrzegana jako zagrożenie w wymiarze wewnętrznym oraz inspiracja dla potencjalnej opozycji. Posiadanie i udostępnianie przez biblioteki paryskiego miesięcznika było przedmiotem zainteresowania Służby Bezpieczeństwa. Najważniejsze biblioteki w kraju były odwiedzane przez funkcjonariuszy SB, którzy kontrolowali księgi udostępnienia, deklaracje korzystania i rewery. W Bibliotece KUL pracownicy aparatu represji podszywali się pod czytelników i godzinami przebywali w czytelni, podsłuchując rozmowy osób korzystających ze zbiorów. Funkcjonariusze SB współpracowali w zakresie kontroli bibliotek z cenzorami, którzy przekazywali im listy zawierające zakazane publikacje, tym bardziej że takowe były stale rozbudowywane i uzupełniane.

Wydawnictwa Instytutu Literackiego znajdowały się w zamkniętych częściach wybranych bibliotek, tzw. działach prohibitów. W Bibliotece UW klucze do magazynu oraz pomieszczenia, gdzie przechowywano katalogi druków zastrzeżonych, znajdowały się w podręcznej kasie ogniotrwałej pod kontrolą dyrektora i były udostępniane wyłącznie na jego polecenie. Pisząc ten rozdział wykorzystałam nieznane materiały źródłowe pochodzące z Archiwum Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, z których wynikało, że nawet szeregowi bibliotekarze nie mieli dostępu do działów prohibitów. Jedynie sześciu pracowników biblioteki (w tym dyrektor i kustosz) posiadających, poza kwalifikacjami bibliotecznymi, odpowiednią postawę partyjną i dobrą orientację w sprawach politycznych, miało prawo wydawania czytelnikom książek z działu prohibitów. Druków znajdujących się w dziale ksiąg zastrzeżonych nie można było jednak wypożyczać, a jeśli czytelnik chciał z nich skorzystać, musiał wystąpić z wnioskiem do dyrektora. Bibliotekarze byli w okresie PRL zmuszani do działań sprzecznych z istotą ich zawodu – ukrywania informacji na temat zasobu bibliotecznego oraz blokowania dostępu do niego, pod groźbą nagany lub zwolnienia z pracy. Co więcej, bibliotekarz nie miał nawet prawa udostępnić zainteresowanemu katalogu prohibitów, zaś książkę wyszukiwał bez podawania sygnatury, po tytule. Druki zakwalifikowane do prohibitów znajdowały się w wydzielonym pomieszczeniu, zamkniętym i zabezpieczonym plombami. Kierownik magazynu miał obowiązek codziennego sprawdzania stanu zamknięcia i plomb. Każdorazowe wejście do magazynu odbywało się w obecności dwóch pracowników, zaś pojedyncza osoba nie miała prawa wstępu do pomieszczenia. Pracownicy bibliotek mieli zakaz udzielania informacji na temat książek i czasopism znajdujących się w działach ksiąg zastrzeżonych, do czego zobowiązywały ich podpisywane uprzednio „lojalki” o zachowaniu tajemnicy państwowej. Czytelnik zainteresowany paryską „Kulturą” musiał przejść drogę przez mękę, aby uzyskać dostęp do miesięcznika.

Współpraca cenzorów z UB/SB

Analiza materiałów archiwalnych (dostępnych głównie w Archiwum Akt Nowych oraz Instytucie Pamięci Narodowej) pozwala potwierdzić tezę, że zakres współpracy cenzorów i funkcjonariuszy UB/SB był względnie szeroki. Ten aspekt działalności aparatu kontroli jest stosunkowo słabo rozpoznany obszarem pracy cenzorów. Kwerenda w Instytucie Pamięci Narodowej, Archiwum Akt Nowych oraz archiwach lokalnych pozwoliła ustalić, że cenzorzy wykonywali dla UB/SB szereg tzw. prac zleconych (analiza dostarczonych książek i czasopism oraz druków ulotnych, w tym map), wspólnie brano udział w akcjach wymierzonych w rozmaite środowiska (przeszukiwanie kościołów w celu pozyskania zakazanej literatury



religijnej, bibliotek zakonnych, redakcji), dokonywano lotnych kontroli instytucji kościelnych, cenzorzy przekazywali funkcjonariuszom UB/SB wiele cennych informacji, które pomagały w rozpracowaniu operacyjnym redakcji pism kościelnych. Skonfiskowane przez cenzorów, a następnie dostarczone do UB/SB materiały prasowe przekazywano redakcjom pism partyjnych, które wykorzystywały je do ataków m.in. na prasę katolicką. Współpraca dotyczyła również kontroli widowisk. Funkcjonariusze SB, podobnie jak cenzorzy kontrolujący widowiska, mieli prawnie zagwarantowane dwa bezpłatne miejsca w państwowych teatrach, operach, filharmoniach, cyrkach i podczas innych imprez na terenie Polski.

Cenzorzy stanowili element aparatu represji PRL i nawet jeśli w latach 70. czy 80., kiedy byli zatrudniani dla niepoznaki na etatach radców czy starszych radców i określali się mianem zwyczajnych urzędników pilnujących, czy „kontrahenci” (sformułowanie używane przez cenzorów) realizują ustawę o kontroli publikacji i widowisk, to ich działalność prowadziła do niszczenia zarówno samych dzieł, jak i ich twórców. Obok prasy tamtego okresu byli głównym narzędziem sterowania kampaniami propagandowymi w PRL. Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk istniał od 1946 do 1990 roku. Choć w ciągu tego okresu zmieniała się struktura organizacyjna, kierownictwo, kadry a w 1981 roku nazwa urzędu, to mechanizm działania pozostał niezmienny.

Artykuł popularyzuje wyniki badań autorki opublikowane w książce *Cenzura w PRL. Organizacja, kadry, metody pracy*, Warszawa 2019.

Dr hab. Kamila Kamińska-Chełminiak, Katedra Książki i Historii Mediów, Wydział Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Ewaluacja do resetu

Koncepcja ewaluacji dyscyplin jest oderwana od rzeczywistości i daje wyniki nieprzystające do społecznych oczekiwań. To wydziały dają ramy organizacyjne działalności naukowej, nie abstrakcyjne dyscypliny. To na wydziałach pracują uczeni, nie w dyscyplinach. Kandydaci na studia nie wybierają dyscypliny, lecz wydział.

Dyskusje nad zmianami w „Konstytucji dla nauki” oraz zasadach ewaluacji mają jedną wspólną cechę: sprowadzają się do proponowania mniejszych lub większych poprawek, w gruncie rzeczy akceptując status quo. Ustawa z dnia 20 lipca 2018 roku „Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce” jest tworem niekoniecznie zupełnie nieudanym i podejrzewam, że nikt w środowisku nie jest nastawiony entuzjastycznie do pomysłu pisania nowego aktu prawnego od początku. Zupełnie inaczej jednak, moim zdaniem, ma się sprawa z zasadami ewaluacji nauki. Te powinny zostać skasowane i zastąpione nowymi: klarownymi, niepodatnymi na kombinowanie i różnorakie mniej lub bardziej cwaniackie sposoby i sposobiki, a przede wszystkim zasadami efektywnymi. Przez efektywność rozumiem tu efektywność informacyjną: zdolność podania takiej sumarycznej oceny, która w ramach pewnej przestrzeni strategicznej jest miarodajna i sprawiedliwa.

Strategia ewaluacji

Jest oczywiście truizmem stwierdzenie, że ewaluacja działalności naukowej powinna być przyporządkowana pewnej strategii. Co właściwie chcemy osiągnąć? Jakie wymierne korzyści miałyby w jej wyniku uzyskać społeczeństwo oraz Państwo? Może się to wydawać zaskakujące, ale na żadne z tych pytań nie daje odpowiedzi ustawa w obecnym kształcie. Ewaluacja ma być prowadzona i tyle; Słowacki wielkim poetą był. Tymczasem od właściwie sformułowanych odpowiedzi zależy konstrukcja całego procesu ewaluacyjnego. Ośmielam się twierdzić, że prawie całe aktualne zasady ewaluacji zostały opracowane nieracjonalnie i bez brania pod uwagę jakiegokolwiek strategii. To tylko anegdota, ale mam wielką ochotę ją tutaj przytoczyć. Około roku 2017, w czasie ogólnopolskiej dyskusji nad „konstytucją dla nauki” jako prorektor pojechałem z moim ówczesnym szefem rektorem na spotkanie z ministrem do Lublina. Tam przedstawiono nam – przedstawicielom uczelni z regionu południowo-wschodniego – wstępne zasady ewaluacji. Widząc wagi poszczególnych kryteriów, zadałem pytanie, skąd wynikają ich konkretne wartości w odniesieniu do różnych typów uczelni. Odpowiedź ministra wbiła mnie w fotel: „wymyśliliśmy je w samochodzie w drodze na to spotkanie”. Gdzie by nie zostały wymyślone, z niewielkimi zmianami weszły później do rozporządzenia i wszyscy posłusznie i pilnie zaczęliśmy się do nich stosować.

Po co więc ewaluować naukę? Powody można podać dwa zasadnicze, z nich wynikają liczne powody pochodne. Powód pierwszy: z troski o szeroko rozumiany prestiż i dobrobyt Pol-

ski. Nazwijmy to celem strategicznym nr 1. Ewaluujemy naukę dla tych samych mniej więcej powodów, dla których cieszylibyśmy się, że Polak dostał nagrodę Nobla z fizyki lub chemii. Bylibyśmy dumni tylko trochę mniej, gdyby się okazało, że najlepsze polskie uczelnie przestały wegetować gdzieś w piątej setce i znalazły się na miejscach dwucyfrowych. Ponadto wiadomo, że wysoki poziom nauki przekłada się w jakimś stopniu na stopę życiową społeczeństwa, poprzez promowanie innowacyjności i postępu, a także ze względu na znany fakt, iż zakup know how słono kosztuje. Socjologia, ekonomia i psychologia stymulują te procesy poprzez dostarczanie odpowiednich analiz i wskazując istnienie uwarunkowań społecznych. Wreszcie, jako naród, czujemy się w jakimś sensie bezpieczniejsi, gdy jego dzieje, język, rozwój duchowy, kulturę wyższą i sztukę analizują nauki humanistyczne. Cel strategiczny nr 2 ma charakter lokalny. Społeczeństwo potrzebuje godnych zaufania danych o jakości prowadzonych badań oraz kształcenia na uczelniach i wydziałach. Takich informacji oczekują kandydaci na studia, przedsiębiorcy i władze samorządowe. Wreszcie – takich informacji o sobie nawzajem potrzebują same jednostki naukowe. Nie jest natomiast i nie powinno być celem strategicznym ewaluacji tworzenie miejsc pracy dla rzesz ekspertów, recenzentów, kierowników departamentów, organizatorów drogich szkoleń, członków komisji itp., a także absorbowanie samych pracowników uczelni, którzy zamiast ewaluacją powinni się zajmować tym, do czego zostali powołani: nauką i dydaktyką.

Zanim przejdę do meritum, czyli propozycji „nowej ewaluacji”, przedstawię konieczne moim zdaniem zmiany w samej ustawie, mniej lub bardziej bezpośrednio powiązane z indukowaniem zmian projakościowych. Mają one na celu zwiększenie prestiżu zawodu naukowca i zwiększenie presji ustawowej na jakość działalności naukowej. Zdając sobie sprawę, że pomysły te mogą przez niektórych czytelników tego artykułu zostać uznane za bulwersujące, pozwolę sobie zwrócić uwagę na fakt, że prawie wszystko to już było i bynajmniej nigdy się nie skompromitowało.

Precyzyjne kryteria awansów

Przywrócenie bardziej precyzyjnych kryteriów przyznawania stopnia doktora habilitowanego i tytułu profesora jest niezbędne. W obecnym kształcie kryteria te są rozmyte i mało konkretne, co otwiera potencjalne i praktyczne możliwości awansowania osobom, które w ocenie większości środowiska

akademickiego na to nie zasługują. W szczególności kwestią bardzo istotną jest powrót do zasady „profesor to naukowiec promujący doktorantów” oraz „profesor co do zasady publikuje książki – monografie specjalistyczne lub popularyzujące i propagujące naukę”. Popularyzacja nauki i, szerzej, naukowego światopoglądu, nabiera wyjątkowego znaczenia w świecie internetowych szarlatanów i pseudonaukowców, oferujących proste rozwiązania skomplikowanych problemów. Jak groźne mogą być tego rodzaju oddziaływania społeczne, obserwowaliśmy ostatnio w okresie pandemii.

Kryteria awansowania do stopnia doktora habilitowanego powinny być precyzyjne i uniemożliwiające stosowanie coraz bardziej popularnych „rozwiązań”, w szczególności dotyczących współpracy międzynarodowej i międzyuczelnianej. Wzajemne „pobyty” młodych naukowców stanowią kpinę z postulatu rzeczywistości, efektywnej współpracy między ośrodkami badawczymi.

Zarówno w przypadku stopnia doktora habilitowanego jak i tytułu profesorskiego zasadnie wydaje się wprowadzenie konkretnych, minimalnych wymogów dotyczących wybranych wskaźników naukometrycznych. Powszechna w Polsce fobia cytawalności jest dla mnie zupełnie niezrozumiała, tym bardziej że w światowych rankingach nauka polska nie sytuuje się pod tym względem jakoś beznadziejnie. Natomiast recenzenci powinni zostać zobowiązani do rezygnacji z „punktoty”, odnoszącej się tu do „punktów za publikacje”. W dobie trwających latami ingerencji w system punktowy, ten ostatni został ostatecznie skompromitowany i może stanowić co najwyżej pomocnicze kryterium oceny indywidualnego dorobku naukowego. Istnieje wiele lepszych i bardziej obiektywnych wskaźników wagi periodyku naukowego, w tym oczywiście indeks cytowań (impact factor IF). Podnoszący często argument, że tego rodzaju podejście dyskryminuje krajowe periodyki pozbawione IF, nie powinien mieć racji bytu. Strategią ustawy o nauce powinna być poprawa jakości polskiej nauki na tle nauki światowej. Marne pozycje polskich uczelni w światowych rankingach nie zmieniają się, póki będzie egzystowała „lista B” jako pełnoprawny z „listą A” wykaz periodyków. Pełnoprawny, tylko niżej punktowany, co oznacza w domyśle istnienie równania typu: n publikacji na liście B = jedna publikacja na liście A. Należy zdać sobie sprawę z faktu, że równanie powyższe nie ma rozwiązań dla żadnego n rzeczywistego (pomińmy jakże powszechne rozwiązania urojone).

Profesor tyko z tytułem

Istniejąca obecnie sytuacja w oczywisty sposób deprecjonuje tytuł profesora. Jeżeli zdecydowano się na jego zachowanie w polskim systemie szkolnictwa wyższego, należy dbać o jego prestiż i szeroko rozumianą atrakcyjność. Nie można zjeść ciastka i mieć ciastka; w tym przypadku – wprowadzić paraamerykański system stanowiska profesora kontraktowego (który nigdy i nigdzie nie będzie jednak rozliczany z postępów i swój tytuł zawodowy otrzymuje w zasadzie dożywotnio) i utrzymywać tytuł naukowy ciesząc się wciąż, mimo wszystko, znaczącym prestiżem społecznym. Usunięcie tytułu docenta nastąpiło oczywiście ze względu na jego zdeprecjonowanie w latach po 1968, kiedy to otrzymywali go „wierni, ale mierni” pracownicy bez habilitacji. Tymczasem prostą drogą zmierzamy w tym kierunku, tym razem na celownik biorąc tytuł profesora (rozmyto wymogi wobec habilitacji i umożliwiono zatrudnienie na stanowisku profesora natychmiast po jej otrzymaniu).

Obligatoryjna rotacja

Koncepcja zagwarantowania bezpiecznego zatrudnienia na czas nieokreślony pracownikom ze swego wyboru wyłącznie dydaktycznym jest ewidentnie szkodliwa dla nauki. Postu-

luje likwidację podziału na grupy pracowników dydaktycznych i badawczo-dydaktycznych i powrót do określonego precyzyjnie maksymalnego czasu na obronę doktoratu i uzyskanie habilitacji. Taki system działał przez lata i nigdy nie był kontestowany jako niesprawiedliwy. Dla osób, które nie podołały trudom kariery naukowej, a równocześnie wykazały ponadprzeciętne predyspozycje do prowadzenia dydaktyki, istniały „furtki” w postaci stanowisk wykładowcy i starszego wykładowcy.

Sytuacja, w której w „radzie doskonałości” mogą zasiadać i zasiadają osoby, których dorobek naukowy od rzeczowej doskonałości jest daleki, należy uznać za absurdalną. Tymczasem ustawa wymaga, aby kandydat na członka RDN posiadał w dorobku „jedną monografię naukową” i „trzy artykuły naukowe”! No comments.

Cytawalność po pierwsze, po drugie i po trzecie

Jest trudne do wytłumaczenia, dlaczego ustawa deklaracyjnie dbająca o stan polskiej nauki zupełnie pomija wskaźniki cytowań jako kryteria oceny indywidualnej lub zbiorowej. O liczbie cytowań i/lub wskaźniku Hirscha nie ma mowy ani przy kryteriach branych pod uwagę przy wnioskach habilitacyjnych i profesorskich, ani przy zarysowanych ogólnie podstawach ewaluacji jednostek, ani przy wspomnianych wymaganiach wobec członków RDN. Tymczasem światowe rankingi uczonych i uczelni opierają się głównie lub wyłącznie na cytowaniach. Prawdopodobnie ta jaskrawa rozbieżność stanowi największą wadę ustawy jako ewentualnego narzędzia poprawy stanu polskiej nauki. Oczywiście wiem, co mówią przeciwnicy cytowań: „te straszne spółdzielnie!”. Gdy usłyszałem to ostatnio od dziekana zaprzyjaźnionego wydziału, odparłem: „Słuchaj, zgłasza się do ciebie naukowiec z zagranicy z $h=50$. Co sobie myślisz w pierwszej chwili? Że wybitny, czy że należy do spółdzielni?”. Czy naprawdę akurat Polacy i tylko oni wymyślili cwaniactwo? A czy „spółdzielnie” nie mają jeszcze szerszego pola do popisu przy obecnych zasadach ewaluacji dotyczących systemu uwzględniania współautorstwa, na który na dodatek nałożono dziwaczny i niepotrzebny system „punktów” przyznawanych czasopismom? Natomiast istnieje jeden szczegół, o którym koniecznie należałoby zawczasu pomyśleć: liczą się tylko cytowania bez autocytowań i cytowań ze strony byłych współautorów. Również tylko tak powinien być określany i podawany indeks Hirscha. Nie ma cudów: bez nacisku na cytowania prestiż polskiej nauki pozostanie tam, gdzie jest (to znaczy nie na jakimś szarym końcu, ale jednak daleko poza czołówką). Zmarnowano 5 lat.

Ewaluujmy wydziały, nie dyscypliny

Biorąc pod uwagę powyższe, postuluję całkowitą zmianę zakresu i sposobu prowadzenia ewaluacji jednostek naukowych. Koncepcja ewaluacji dyscyplin jest oderwana od rzeczywistości i daje wyniki nieprzystające do społecznych oczekiwań. Po pierwsze, zasada oceny dyscyplin zamiast wydziałów prowadzi do chaosu w sytuacji, gdy naukowcy z danej dyscypliny zatrudnieni są na różnych wydziałach lub gdy prowadzą badania interdyscyplinarne. Po drugie, tworzenie listy dyscyplin było procesem w dużej mierze arbitralnym (inżynieria środowiska z górnictwem!). Po trzecie, podstawową jednostką strukturalną uczelni powinien pozostać wydział. Ewaluacja w obecnym kształcie idzie niejako „pod prąd” oczekiwanom społecznym, nastawionym na klarowne wskaźniki jakości wydziałów, a nie dyscyplin. Gwarantem rozwoju naukowego dyscypliny byłyby jednoznaczne kryteria oceny i wynagradzania naukowców je reprezentujących, przedstawione w skrócie powyżej. Ewaluacja wydziałów stanowiłaby wyartykułowanie faktycznego stanu rzeczy, bo ewaluowane są tak naprawdę wydziały, a nazywa-

nie tego ewaluacją dyscyplin niczego nie upraszcza, wręcz przeciwnie. To wydziały finalnie ogłaszają, ile mają A, a ile B+. To wydziały dają ramy organizacyjne działalności naukowej, nie abstrakcyjne dyscypliny. To na wydziałach pracują uczeni, nie

w dyscyplinach. Kandydaci na studia nie wybierają dyscypliny, lecz wydział. Podobnie firmy z zewnątrz nie szukają partnerów pośród dyscyplin, lecz wydziałów.



rys. Sławomir Makiel

Zrezygnujmy z liczby N

Naturalną konsekwencją rezygnacji z wyodrębniania grupy pracowników czysto dydaktycznych byłaby rezygnacja z „enki”. Korzyści wydają się oczywiste: koniec z nonsensowną „polityką” kadrową, z corocznymi transferami z grupy do grupy – to po pierwsze. Po drugie, mobilizacja grup pracowniczych, które od pięciu lat nie prowadzą żadnej działalności naukowej lub prowadzą ją w stopniu szczątkowym. Czy da się ewaluować bez liczby n? Oczywiście! Gdy ewaluacji podlega wydział, bierze się pod uwagę dorobek wszystkich jego pracowników biorących udział w procesie dydaktycznym i/lub badawczym. Im większy procent dydaktyków nie uprawia nauki, tym gorzej dla wydziału, tym jest on słabszy z naukowego punktu widzenia. Taki system ewaluacji mobilizowałby władze uczelni, wydziałów i samych pracowników do pracy badawczej. Tymczasem dostajemy kategorie dotyczące starannie wyselekcjonowanej części pracowników. Stanowi to narzędzie zaciemniania rzeczywistego stanu rzeczy w kwestii realnego poziomu naukowego wydziału.

Uprośćmy kryteria

Proponuję rezygnację ze sztucznie układanej listy punktacji czasopism. W jej miejsce wprowadźmy listę punktów automatycznie zależnych od aktualnego IF. Wprowadźmy całkowity zakaz manipulacji listą przez wszelkiej maści polityków i „organizatorów nauki”. Usuńmy skomplikowane kryteria dotyczące uwzględniania współautorstwa, niech rządzi prosta zasada: wartość udziału równa się [wartość punktowa publikacji] / [liczba współautorów]. Nieważne, skąd kto przychodzi: wydział dostaje swój udział od współautorów na nim zatrudnionych lub studiujących; reszta udziałów idzie do innych jednostek lub jest tracona. Dołóżmy punkty za wzrost liczby cytowań bez autocytoowań w okresie ewaluacyjnym. Przedmiotem dyskusji mogłaby być kwestia, czy zrobić to indywidualnie dla wszystkich pracowników, a potem normalizować dla nowego n,

czy może wprowadzić wskaźniki typu „ogólny wskaźnik Hirscha wydziału bez autocytoowań” oraz [całkowita liczba cytowań bez autocytoowań] / [liczba dydaktyków na wydziale].

Kryterium B jest silnie uzależnione od uwarunkowań regionalnych i szczególnie krzywdzi uczelnie w mniejszych ośrodkach akademickich, gdzie siłą rzeczy istnieje mniejsza liczba podmiotów gospodarczych potencjalnie oferujących współpracę. Sytuacja, w której karze się uczelnię z 200-tysięcznego miasta X za to, że nie wykazała „aktywności w pozyskiwaniu środków” na poziomie uczelni z milionowego miasta Y, jest kuriozalna. Ponadto wiadomo, że propozycje projektów badawczych, składane przez naukowców z mniejszych ośrodków, już na starcie mają mniejsze szanse uzyskania dofinansowania, co potwierdzają statystyki. Kryterium B powinno, w miejsce szczegółowo rozliczanych kwot pozyskanych na wydziale (no właśnie, nikt nie podpisuje umowy z dyscypliną, ani prezes firmy, ani NCN lub NCBR), wprowadzić kryterium liczbowe pokazujące aktywność w obszarze umów komercyjnych z podmiotami gospodarczymi. W tym ujęciu wiele umów o małej wartości złotowej jest więcej warte niż jedna umowa milionowa. Ta ostatnia może być bowiem efektem układów lub zbiegu okoliczności. Ponadto naprawdę nie bardzo wiadomo jak uzasadnić tezę, że naukowo lepszy jest ten, kto zarobił więcej pieniędzy (może więc tytuł naukowca roku powinien przyznawać „Forbes”?).

Zamiast kryterium C, z jego nielicznymi, wybranymi osiągnięciami bardzo szczegółowo charakteryzowanymi, a następnie arbitralnie i zupełnie niejasno ocenianymi przez anonimowych recenzentów, miałby sens powrót do praktykowanej kiedyś listy 10 najważniejszych osiągnięć wydziału. Każda pozycja z listy byłaby oceniana w pewnej skali punktowej przez trzech niezależnych recenzentów – bez podawania skomplikowanych uzasadnień. Oceny recenzenta najbardziej odbiegające od średniej (in plus lub in minus) byłyby odrzucane. Tego rodzaju system byłby zarówno bardziej miarodajny (wobec 10, a nie 1-3 przedstawianych do oceny osiągnięć), jak i bardziej sprawiedliwy (ze względu na wykluczenie ocen recenzenta potencjalnie najmniej obiektywnego).

Pozbądźmy się kategorii

Kategorie są kolejnym czynnikiem wprowadzającym chaos do procesu ewaluacji. Progi, przewyższenia, porównania, manipulacje itd. Efektem ewaluacji może być po prostu liczba uzyskanych punktów (odpowiednio standaryzowana z uwzględnieniem trzech kryteriów). Ta liczba działałaby zarówno jako „wizytówka” wydziału, jak i służyłaby do obliczania dotacji/subwencji w odpowiednim algorytmie. Nie mogłaby natomiast stanowić podstawy do nadawania uprawnień akademickich, podobnie jak nie powinny być w tym celu używane obecne kategorie. Jak wiadomo, kategoryzacja spowodowała w wielu przypadkach stan „nieskonsumowania uprawnień” ze względu na niedostateczny stan kadrowy. Uprawnienia do nadawania stopni powinny zależeć wyłącznie od minimalnych liczb pracowników w grupach profesorów, doktorów habilitowanych itd. W prawidłowym systemie kryteriów awansowych stan kadrowy sam przez się powinien stanowić dostateczną gwarancję potencjału awansowego jednostki. Natomiast spodziewane znaczące różnice punktowe między na przykład wydziałami humanistycznymi a technicznymi nie miałyby znaczenia; nikt nie dokonuje tego typu porównań. Byłoby natomiast istotne, ile punktów zdobył wydział humanistyczny X w stosunku do wydziału humanistycznego Y.

Prof. dr hab. inż. Tomasz Kozłowski, dziekan Wydziału Inżynierii Środowiska, Geodezji i Energetyki Odnawialnej Politechniki Świętokrzyskiej w Kielcach

Profesorski plagiat na plecach magistranta-plagiatora

Historia ta powinna ostudzić zapęły promotorów prac magisterskich i doktorskich do ich wykorzystania w celu zwiększenia własnego dorobku naukowego na drodze do habilitacji czy profesury.

Większość naukowców co jakiś czas sprawdza, co się dzieje na ich polu badawczym i jakie nowe publikacje pojawiły się w druku. Google Scholar oraz inne bazy danych bardzo to ułatwiają. I nagle ktoś dostrzega artykuł naukowy obcych mu autorów, zapełniony treścią z jego wcześniejszej pracy, nieopatrzoną cudzysłowem czy choćby przypisem. Tak odkrywa plagiat.

Taka właśnie historia przydarzyła się dr hab. inż. Joannie Ferdyn-Grygierek, profesor z Katedry Ogrzewnictwa, Wentylacji i Techniki Odpylania Politechniki Śląskiej. W połowie kwietnia 2020 r. pisała kolejny artykuł, dlatego przeglądała bazy artykułów naukowych pod kątem pojawienia się nowych publikacji dotyczących budynków i ich systemów ogrzewania, wentylacji i klimatyzacji w odniesieniu do zużycia energii oraz jakości środowiska wewnętrznego. Znalazła pracę z Polski opublikowaną rok wcześniej (26 lipca 2019 r.) w języku angielskim w czasopiśmie „Energies” wydawanym przez MDPI w systemie Open Access (140 pkt., 2.7 Impact Factor, Article Processing Charge – 2600 franków szwajcarskich). Publikacja *Simulation and Analysis of Various Ventilation Systems Given in an Example in the Same School of Indoor Air Quality* opublikowana była w „Energies” 2019, 12, 2845. Jako autorzy artykułu widnieli: dr hab. inż. Katarzyna Gładyszewska-Fiedoruk z Katedry Ciepłownictwa, Ogrzewnictwa i Wentylacji (kierownik: prof. Mirosław Żukowski) Wydziału Budownictwa i Nauk Środowiska Politechniki Białostockiej – była ona zarówno pierwszym autorem pracy, jak i autorem-korespondentem; prof. Vasyl Zhelykh, kierownik Katedry Ciepłownictwa, Ogrzewania Gazowego i Wentylacji Narodowej Politechniki Lwowskiej oraz jednocześnie od 2017 r. profesor na Wydziale Budownictwa Politechniki Częstochowskiej oraz mgr inż. Andrii Pushchinskyi, absolwent Politechnik Lwowskiej i Białostockiej.

Podczas lektury artykułu dr Ferdyn-Grygierek zorientowała się, że umieszczono w nim przetłumaczony z polskiego obszerny fragment badawczy z jej wcześniejszej pracy *Jakość powietrza i wentylacja w budynkach edukacyjnych*, która ukazała się w 2008 r. w periodyku „Zeszyty Naukowe: Architektura/ Politechnika Śląska”. Autorka była wtedy adiunktem. Z tej pracy przejęto całą treść, w tym trzy identyczne rysunki, tabelę oraz wyniki analizy. Oburzyło to prof. J. Ferdyn-Grygierek, która po sześciu tygodniach zastanawiania się, co z tym faktem zrobić, 17 czerwca 2020 r. napisała email do redakcji „Energies”, zarzucając autorom plagiat. Redakcja zażądała wyjaśnień od głównej autorki z Politechniki Białostockiej. Fakt popełnienia plagiatu podobno był dla niej jak „uderzenie pioruna”. Skonfundowana prof. Gładyszewska-Fiedoruk napisała 27 czerwca do prof. Ferdyn-Grygierek, że „nie potrafi wyjaśnić zaistniałej sytuacji i gdyby wiedziała, że jest to plagiat, to by nie publikowała w otwartym dostępie”. Poprowadzone przez redakcję dochodzenie potwierdziło niewątpliwy plagiat, o czym 26 sierpnia 2020 r. poinformowano autorkę skargi. Retrakcja ukazała się w „Energies” 2021, 14, 4932 i była datowana na 12 sierpnia 2021 roku. Prof. Ferdyn-Grygierek została poinformowana o tym 1 grudnia 2021 r.

Przy okazji okazało się także, że ci sami autorzy opublikowali inną, znacznie mniejszą, bo raptem czterostronicową pracę pt. *Analysis of various ventilation systems due to the quality of indoor air in educational buildings* (ukazała się 3 lipca 2019 r. w „Proceedings” 2019, 16, 19, czasopiśmie wydawanym przez MDPI, podobnie jak „Energies”). W tym tekście przejęto rysunek nr 2 oraz analizę wyników z tej samej starej pracy J. Ferdyn-Grygierek. Podano, że badania do tej plagiatowej publikacji były finansowane z grantu S/WBiŚ/4/14 Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego RP oraz przez Ministerstwo Nauki i Edukacji Ukrainy. Retrakcja tej minipracę ukazała się w „Proceedings” 2021, 16, 60.

Kroki formalne uczelni

Informacja o popełnionych plagiatach i retrakcji artykułów dotarła 13 listopada 2020 r. do rektorki Politechniki Białostockiej, dr hab. inż. Marty Kosior-Kazberuk, prof. PB, w postaci pisma od prorektora ds. współpracy międzynarodowej dr hab. inż. Doroty Krawczyk, prof. PB. Ta została powiadomiona przez redakcję „Energies”, gdyż była jednym z redaktorów „Proceedings” MDPI. Tego samego dnia pani rektor poleciła rzecznikowi dyscyplinarnemu ds. nauczycieli akademickich, dr hab. inż. Karolowi Aniserowiczowi, prof. PB z Wydziału Elektrycznego, wszczęcie postępowania wyjaśniającego. Już po tygodniu pani rektor w towarzystwie prorektora ds. nauki, prof. Marka Krętowskiego, spotkała się z rzecznikiem i przekazała mu obie anglojęzyczne prace wraz ze źródłowym artykułem z 2008 r.

Muszę stwierdzić, iż sprawa została przez panią rektor potraktowana poważnie, co nabiera szczególnego znaczenia wobec faktu, iż obwiniona jest jej znajomą z Wydziału Budownictwa i Ochrony Środowiska, na którym obie pracują. Co więcej, prorektor ds. współpracy międzynarodowej Dorota Krawczyk też jest koleżanką profesorem z tego samego wydziału, a z obwinioną nawet współpracowała naukowo. Wszyscy dobrze wiemy, że w grupie znajomych trudno podejmować stanowcze decyzje, tym chętniej przekazują wyrazy uznania za bezkompromisową postawę kierownictwa Politechniki Białostockiej.

Z kolei rzecznik dyscyplinarny, dr hab. Karol Aniserowicz, pełniący tę funkcję kolejną kadencję, poważnie podszedł do sprawy i już po miesiącu 16 grudnia 2020 r. wszczął postępowanie wyjaśniające. Po okresie świątecznym i noworocznym szybko przeanalizował posiadane dokumenty, przesłuchał dr hab. Katarzynę Gładyszewską-Fiedoruk i 16 lutego 2021 r. (po dwóch miesiącach) zakończył postępowanie, wzywając obwinioną do zapoznania się z aktami sprawy. Pani profesor 23 lutego złożyła rzecznikowi swoje pisemne uwagi, podkreślając, iż nie zgadza się ze sformułowaniem, iż to ona „popełniła plagiat”. To jej ukraiński magistrant, Andrii Pushchinskyi, świadomie popełnił plagiat w pracy magisterskiej i wprowadził ją w błąd oraz oszukał. Nie przywłaszczyła sobie autorstwa, bo kwestionowany tekst był napisany przez magistranta, a jej do głowy nie przyszło, że tak można oszukiwać. Jej winą jest tylko brak właściwego nadzoru nad pracą magistranta, a Jednolity System Antyplagiatowy, którym sprawdzane są prace magisterskie, jakoby nie wykrył plagiatu (jednak raport pokazał współczynnik podobieństwa na poziomie 47% – MW). Rzecznik nie uwzględnił tych argumentów i już następnego dnia, 24 lutego 2021 r., złożył do Komisji Dyscyplinarnej przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego w Warszawie wniosek dyscyplinarny o ukaranie obwinionej. Zarzucił jej popełnienie plagiatu w dwóch powyżej wskazanych publikacjach angielskojęzycznych, „jednocześnie dopuszczając do udziału w plagiacie dwóch różnych osób: Andrija Pushchinskyiego, obywatela Ukrainy, absolwenta studiów drugiego stopnia WBiNS PB, oraz Wasyla Zhelykha, obywatela Ukrainy, profesora Politechniki Lwowskiej, poprzez przywłaszczenie wyników badań i treści artykułu prof. Joanny Ferdyn-Grygierek – bez podania źródła w dwóch publikacjach”. Równocześnie „jako promotor pracy dyplomowej dopuściła do popełnienia plagiatu wymienionego wyżej artykułu prof. Joanny Ferdyn-Grygierek w pracy magisterskiej Andrija Pushchinskyiego pt. «Analiza instalacji wentylacyjnej w salach dydaktycznych» (praca złożona 6.02.2019, obroniona 11.02.2019 na WBiNS PB)”. Za te czyny, które „stanowią uchybienie obowiązkom nauczyciela akademickiego i godności zawodu nauczyciela

akademickiego”, rzecznik zażądał „kary pozbawienia prawa do wykonywania zadań promotora, recenzenta oraz członka komisji w postępowaniach w sprawie nadania stopnia doktora, stopnia doktora habilitowanego oraz tytułu profesora na okres 5 lat”.

Postępowanie dyscyplinarne

Już 9 marca 2022 r. przewodnicząca warszawskiej Komisji Dyscyplinarnej, prof. Hanna Paluszkiewicz, otworzyła postępowanie dyscyplinarne i wyznaczyła skład orzekający. Ona sama została przewodniczącą, a pozostałymi członkami składu byli: dr hab. Michał Zieliński z Akademii Muzycznej w Bydgoszczy oraz doktorant mgr Paweł Sobotko z UWM w Olsztynie. Po trzech miesiącach, 13 czerwca 2022 r., skład orzekający zebrał się na posiedzeniu niejawnym i wyznaczono termin pierwszej rozprawy na 6 września 2022 r. Wtedy obwiniona złożyła obszernie wyjaśnienia i odpowiedziała na pytania. Zeznawał też magistrant, współautor artykułu. Druga, finalna rozprawa miała miejsce 25 listopada 2022 r. Wydano orzeczenie dyscyplinarne, w którym uznano dr hab. Katarzynę Gładyszewską-Fiedoruk za winną zarzucanych jej czynów, obniżając jednak zakres działania kary z pięciu do trzech lat. W uzasadnieniu zawarto intrygujące szczegóły.

Z zeznań magistranta wynika, że tekst artykułu został „wykrojony” z jego pracy magisterskiej przez promotorkę. Został on również poproszony o przetłumaczenie przygotowanego artykułu na angielski, co też zrobił. Prof. Gładyszewska-Fiedoruk zeznała, iż jej wkład w artykule polegał na wykonaniu przeglądu literatury, obliczeń energetycznych i końcowym podsumowaniu. Trzeci autor artykułu, prof. Wasyl Zhelykh, jedynie przeczytał i zatwierdził całość tekstu, wprowadzając kilka nieznaczących poprawek. Ponieważ nie brał żadnego udziału w powstaniu pracy magisterskiej, uważam, że został dopisany bez powodu jako honorary author. Był on promotorem lwowskiej pracy licencjackiej Andrija Pushchinskyiego i zachodzi pytanie, czy ta praca napisana po ukraińsku, nie została po prostu przetłumaczona na polski i po niewielkich uzupełnieniach przedstawiona na Politechnice Białostockiej jako dyplomowa praca magisterska. Tego nigdy nie sprawdzono.

Jest dla mnie niezrozumiałe, iż prof. Gładyszewska-Fiedoruk utrzymywała, że sama nie odnalazła artykułu J. Ferdyn-Grygierek, pomimo tego, że jest on łatwo dostępny w Internecie i powoływał się na niego wielokrotnie Andrii Pushchinskyi w pracy dyplomowej, której była promotorem. Wyjaśniała ponadto, że niezakwestionowanie przez nią wielokrotnych, odnoszących się do każdego zdania (a przez to nieprawidłowych – MW) odniesień do artykułu J. Ferdyn-Grygierek wynikało z pośpiechu w sprawdzaniu pracy przez nią jako promotora – miała na to dwa dni. Było to skutkiem upływającego terminu ważności wizy dyplomanta. Na rozprawie ustalono, że nie prowadzono seminariów z magistrantem, który przyjeżdżał na konsultacje i przedkładał gotowe fragmenty pracy. Sama praca dyplomowa „była językowo nierówna – były fragmenty lepsze i gorsze, ale nie budziło wątpliwości obwinionej, że pracę pisał obcokrajowiec, więc są w niej błędy językowe”. Obwiniona wyjaśniła, że „nie pamięta, kiedy to w pracy pojawiła się ta główna część badawcza, która – jak się później okazało – pochodzi z pracy J. Ferdyn-Grygierek. Nie potrafiła wyjaśnić, na jakim etapie pracy nad angielską publikacją doszło do usunięcia odesłań do tego artykułu z 2008 r. Przyznała, że przygotowując tekst do wydawnictwa, nie sprawdzała każdej pozycji literaturowej przywołanej w pracy dyplomanta – w tym zakresie zaufała [je]mu”.

Z kolei zeznająca w charakterze świadka pokrzywdzona, dr hab. J. Ferdyn-Grygierek, opowiedziała, że po odkryciu zapożyczeń z jej artykułu zgłosiła ten fakt do wydawnictwa MDPI, przesyłając skan swojej publikacji w języku polskim z 2008 r. W dalszej korespondencji w sierpniu 2020 r. MDPI powiadomiło ją, że uznaje publikację obwinionej i współautorów za plagiat i unieważnia ją przez retrakcję. Wtedy prof. Gładyszewska-Fiedoruk zwróciła się do J. Ferdyn-Grygierek z mailowymi przeprosinami. Tekst obwinionej jest dosłownym tłumaczeniem jej artykułu z 2008 r. Pokrzywdzona uważa, że nie da się uzyskać identycznych wyników symulacji dla dwóch różnych budynków z dokładnością do jednego miejsca po przecinku. Również rysunki z jej artykułu zostały zeskanowane, zmieniono kolory linii, a opisy z polskich na angielskie.

W podsumowaniu końcowym zespół orzekający komisji dyscyplinarnej uznał, że „nie ma wątpliwości co do tego, że obwiniona popełniła zarzucone jej przewinienia dyscyplinarne, polegające na świadomym wprowadzeniu w błąd co do autorstwa dwóch opracowań wskazanych we wniosku o wszczęcie postępowania dyscyplinarnego, co stanowi czyn uchybiający godności zawodu nauczyciela akademickiego”.

Magisterski wątek dyscyplinarny

Podczas rozprawy dyscyplinarnej obrona podnosiła, że rzecznik dyscyplinarnej ds. studentów i doktorantów PB, dr inż. Andrzej Smolarczyk, nie stwierdził plagiatu w dyplomowej pracy magisterskiej i dyscyplinarne postępowanie wyjaśniające 4 maja 2021 r. umorzył. Ku mojemu zdziwieniu to postanowienie zatwierdziła po sześciu dniach pani rektor Marta Kosior-Kazberuk. Przecież student z Ukrainy przejął metodą „copy and paste” zarówno tekst artykułu, jak i dane badawcze, które były „sercem” jego pracy magisterskiej. To był jej rozdział III. Rzecznik Smolarczyk „nie zauważył”, że dane liczbowe, które stanowią „badania własne” magistranta, zostały sfabrykowane przez niego, gdyż dosłownie je przepisano i przejęto (3

wykresy oraz tabelę) z artykułu prof. Joanny Ferdyn-Grygierek. Nie mogły zatem powstać jako badania budynku szkoły wrocławskiej, jakoby przeprowadzone przez magistranta osobiście 12 lat później. Fabrykacja danych badawczych jest podstawą do unieważnienia pracy magisterskiej według kpa.

W postanowieniu umarzającym rzecznik motywował, że praca magisterska Andriia Pushchinskyiego pt. *Analiza instalacji wentylacyjnej w salach dydaktycznych*, obroniona 11 lutego 2019 r., składa się z trzech rozdziałów i właśnie trzeci został przepisany w całości ze wspomnianego artykułu. „Jednakże każdy akapit tego rozdziału pracy jest zakończony odnośnikiem bibliograficznym (31), którym to numerem w wykazie literatury oznaczono cytowany artykuł. Wprawdzie można mieć wątpliwość co do sensu istnienia rozdziału trzeciego pracy dyplomowej w takiej postaci, jednakże jednoznacznie należy stwierdzić, że praca nie wyczerpuje znamion plagiatu, rozumianego jako kradzież intelektualna. W pracy zastosowano rozszerzone cytowanie, co należy rozpatrywać jako błąd merytoryczny, a nie plagiat. Biorąc powyższe pod uwagę, postępowanie wyjaśniające należy umorzyć”. Tak oto nikt z kierownictwa Politechniki Białostockiej nie zareagował na ten magistrancki „przekręt”. Rzecznik zaniedbał przesłuchanie promotorki pracy i nie zawiadomił jej o wynikach przeprowadzonego postępowania wyjaśniającego.

Minęło już 5 lat od obrony tej pracy magisterskiej. Uważam, że władze Politechniki Białostockiej powinny próbować naprawić swój błąd i starać się unieważnić skrajnie nierzetelną pracę dyplomową. I tak zadeklarowała pani rektor w liście do mnie z 26 stycznia 2024 r.

Co było dalej...

Jak mi opowiedziała prof. Gładyszewska-Fiedoruk, która współpracowała ze mną, udostępniając posiadane materiały (podobnie jak władze Politechniki Białostockiej), ta sprawa spowodowała u niej olbrzymią traumę. Wszyscy się od niej odwrócili, a władze uczelni zachowywały się „wrogo” pomimo

Rys. Sławomir Makal



jej wieloletniej ofiarnej pracy w uczelni. Czuli się niesprawiedliwie potraktowana, szczególnie tym, że musiała „oddać” komu innemu prawie ukończone dwa przewody doktorskie, które przez kilka lat prowadziła z dużym nakładem sił i czasu. Dlatego zdecydowała się odejść z białostockiej uczelni i od lutego 2022 r. podjąć pracę na etacie adiunkta w Instytucie Inżynierii Środowiska SGGW w Warszawie. Z pracy jest zadowolona i wdzięczna, że w nowym miejscu „podano jej dłoń”.

Warto zauważyć, że gdyby pierwszym autorem plagiatowego artykułu był magistrant – a tak w tym wypadku być powinno – to dr hab. Katarzyna Gładyszewska-Fiedoruk zapewne odpowiadałaby tylko za niedbałość promotorską. Wciąż zbyt często spotykamy się z próbami budowania własnego dorobku promotorów „na grzbietach” swoich magistrantów i doktorantów. Drodzy Czytelnicy, uczcie się na błędach innych. Magistrant czy doktorant, którego praca jest kanwą waszego artykułu, jest zawsze jego pierwszym autorem.

Ciąg dalszy sprawy prof. Regini-Zacharskiego

Ponad rok temu opisałem (*Kolejny plagiat na UŁ*, FA 12/2022) sprawę obszernego plagiatu popełnionego na pracy magisterskiej Marty Kozakiewicz przez jej promotora, dr hab. Jacka Reginię-Zacharskiego, profesora nauk politycznych z Uniwersytetu Łódzkiego. Został on przez rzecznika dyscyplinarnego UŁ, dr hab. Józefa Jagiełę, profesora II Katedry Postępowania Cywilnego, ukarany „klapsem po rączce” za obszerne przejęcia „copy and paste” ponad 50 stron pracy magisterskiej, przeniesione do rozdziału książki *Rwanda. Wojna i ludobójstwo*, wydanej w 2012 r. przez Wydawnictwo Naukowe PWN. Rzecznik zażądał kary nagany oraz odwołania o 25% przez okres 2 lat. Tak niską karę „przyklepał” – mam wrażenie, że bez refleksji – zespół orzekający Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej pod przewodnictwem prof. Dariusza Strzelca z Katedry Prawa Podatkowego UŁ.

Od tej, w istocie błahej, kary prof. J. Reginia-Zacharski w grudniu 2022 r. odwołał się do Komisji Dyscyplinarnej przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, której przewodniczy prof. Hanna Paluszkiwicz. Tym razem rozprawę wyznaczono dopiero po ponad roku. Taka przewlekłość jest sama w sobie skandalem. Po usunięciu z Ustawy 2.0 przez ministra Jarosława Gowina wcześniej istniejących określonych wymogów czasowych (tzw. terminów instrukcyjnych) w poszczególnych etapach postępowania całe sądownictwo dyscyplinarne jest w swoistym rozpadzie i paraliżu decyzyjnym. Nieakceptowalne jest wydłużenie – nawet do kilku lat – czasu trwania postępowań wyjaśniających oraz dyscyplinarnych. Brakuje woli politycznej (MNiSW, Rada Główna, KRASP) do zmiany tych patologicznych rozwiązań prawnych. Cały system dyscyplinarny należy znacząco poprawić.

W tej konkretnej sprawie zespół orzekający pod przewodnictwem prof. Lidii Zacharko z Wydziału Prawa Uniwersytetu Śląskiego, z udziałem prof. Marka Rockiego, wieloletniego rektora SGH i dr Beaty Kowalczyk, adiunkta Katedry Prawa Rzymskiego UG, na zamkniętej rozprawie 18 stycznia 2024 r. uchylił postanowienie uczelniane i skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia w Uniwersytecie Łódzkim. Nie znam jeszcze uzasadnienia, zatem odniosę się do tego w następnym artykule.

Z przykrością muszę dodać, że przez ponad dwa tygodnie nie mogłem się dowiedzieć, jaki był wynik dyscyplinarnej rozprawy odwoławczej, aczkolwiek sentencje orzeczeń stają się publiczne po zamknięciu rozprawy. Obecny system chroni sprawców nieuczciwości akademickich wszelkiego rodzaju i wbrew wszelkim zasadom praktycznie prawie utajniono zarówno uczelniane,

jak i centralne postępowania dyscyplinarne, które odbywają się w Warszawie.

Przy okazji warto zauważyć, że prof. Reginia-Zacharski od połowy grudnia 2023 r. przestał pełnić funkcję dyrektora Departamentu Strategii Polityki Zagranicznej MSZ. Jednak zdążył wcześniej założyć czasopismo naukowe, rocznik pt. „Sprawy Zagraniczne” (wydawca MSZ). Został w nim redaktorem naczelnym, zaś na sekretarza powołał swego kolegę z Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politologicznych UŁ, dr. hab. Radosława Banię, który jest wiceprezesem Polskiego Towarzystwa Studiów Międzynarodowych. Pierwszy numer wyszedł w połowie grudnia 2023 r. Okazało się, że czasopismo otrzymało – na starcie i na kredyt – 100 pkt od ministra Przemysława Czarnka, mimo że nie miało nawet rady redakcyjnej, a informacja o nadsyłaniu maszynopisów nigdzie się publicznie nie ukazała i zapewne poszła tylko do zaprzyjaźnionych autorów.

Mimo publicznych apeli o odwołanie prof. Regini-Zacharskiego z Rady NAWA, do której rekomendował go ówczesny minister spraw zagranicznych, prof. Zbigniew Rau (nawiasem mówiąc – starszy kolega uniwersytecki), minister Przemysław Czarnek przez rok nie podjął decyzji o usunięciu plagiatora z tego grona, tłumacząc przez rzecznika prasowego, że pozostaje to w gestii ówczesnego ministra spraw zagranicznych prof. Zbigniewa Raua. Teraz sprawa jest w rękach nowego ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego. Ostatnie zmiany w składzie Rady NAWA dokonane na początku lutego „nie ruszyły” naszego „bohatera”. Nazwisko prof. Jacka Regini-Zacharskiego długo „ozdabiało” też Radę Naukową Instytutu Strat Wojennych, który jest obecnie w likwidacji.

Koniec kariery dyplomatycznej

Kolejna „naukowa nadzieja” UŁ, dr Jędrzej Kotarski (*Ambadorski plagiat*, FA 09/2023) z tej samej Rady NAWA został odwołany przez ministra właściwego ds. gospodarki już 15 lutego 2023 r. Jednak do końca grudnia 2023 r. zachował on posadę wicedyrektora Departamentu Spraw Zagranicznych Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

Po moim wrześniowym artykule w FA władze dziekańskie Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Łódzkiego (prodziekan dr Andrzej Kompa wraz z dziekanem, prof. Maciejem Kokoszko) jesienią 2023 r. przeprowadziły dokładne dochodzenie dotyczące istnienia prac naukowych dr. Jędrzeja Kotarskiego. Przejrzano i sprawdzono raportowane osiągnięcia naukowe i jego wnioski stypendialne. Okazało się, że 12 artykułów, na podstawie których ten „wybitny znawca Ameryki Łacińskiej” otrzymywał stypendia i nagrody, po prostu nigdy nie zostało opublikowanych. Wielu prac zgłoszonych przez niego jako „wydrukowane” nie można znaleźć w czasopiśmie, bo po prostu ich tam nie ma. Inne zostały wydrukowane dopiero rok, dwa po otrzymaniu stypendium. Jednak jako „wydrukowane” były podstawą przyznania stypendiów za osiągnięcia naukowe. Nikt zgłaszanych „osiągnięć” nie kontrolował – nauka przecież opiera się na zaufaniu.

Powyższa sprawa, zgłoszona władzom uczelni w połowie października 2023 r., doczekała się ich reakcji w ostatnich dniach. Rektor Elżbieta Żądzińska skierowała ją do prokuratury, wskazując na podejrzenia wyłudzeń stypendiów przez dr. J. Kotarskiego na podstawie nierzetelnych wniosków oraz wykazania w toku rekrutacji na drugie studia doktoranckie nieistniejących publikacji w dorobku naukowym.

Marekwro@gmail.com

Dr hab. n. med. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem Uniwersytetu Kaliskiego. Zajmuje się patologią nauki od 26 lat.

Nowi profesorowie

15 lutego 2024 Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

NAUKI HUMANISTYCZNE: **Tomasz Bigaj** (UW), **Maciej Kaczmarek** (UAM), **Elżbieta Kaszuba** (UWr), **Krzysztof Marian Narecki** (KUL), **Piotr Nowak** (UwB), **Barbara Anna Obtulowicz** (UPKr), **Ryszard Zdzisław Zajączkowski** (KUL)

NAUKI INŻYNIERYJNO-TECHNICZNE: **Aleksandra Borsukiewicz** (ZUT), **Kazimierz Grabas** (em. PWr), **Adam Andrzej Kasperski** (PWr), **Halina Małgorzata Krawiec** (AGH)

NAUKI MEDYCZNE I O ZDROWIU: **Mirosław Dziuk** (WIM Warszawa), **Janusz Piotr Heitzman** (IPiN Warszawa), **Dagmara Anna Hering** (GUMed), **Katarzyna Janda** (PUM), **Jan Kochanowicz** (UMB), **Jacek Kołcz** (UJ), **Maciej Kostrubiec** (WUM), **Jan Łukasz Mazela** (UMP), **Elżbieta Miller** (UMŁ), **Jarosław Jan Pinkas** (CMKP Warszawa), **Irena Maria Walecka-Herniczek** (CSK MSWiA)

NAUKI ROLNICZE: **Grażyna Bortnowska** (ZUT), **Andrzej Herman** (IFIŻZ PAN Jabłonna), **Artur Kowalczyk** (UPWr), **Urszula Pankiewicz** (UPL), **Ewa Sikorska** (UEP), **Dorota Żyżelewicz** (PŁ)

NAUKI SPOŁECZNE: **ks. Krzysztof Burczak** (KUL), **Konrad Kohutek** (KAAFM), **Wojciech Nyszk** (ASW), **Konrad Osajda** (UW), **Andrzej Panasiuk** (UwB), **Tadeusz Wallas** (UAM), **Aleksandra Feliksa Wiktorowska** (UW)

NAUKI ŚCISŁE I PRZYRODNICZE: **Jarosław Byrka** (UWr), **Roman Piotr Cieśliński** (UG), **Elżbieta Gumienna-Kontecka** (UWr), **Mariusz Adam Krawiec** (UMCS), **Arkadiusz Andrzej Mandowski** (UHPJD), **Gracjan Patryk Michlewski** (University of Edinburgh, W. Brytania), **Katarzyna Dominika Pietruska-Pałuba** (UW), **Marek Jan Potemski** (UW), **Paweł Sachadyn** (PG), **Aleksandra Teresa Weselucha-Birczyńska** (UJ), **Hubert Wierzbowski** (PIG – PIB), **Paweł Piotr Zieliński** (PWr), **Mirosław Stanisław Żelazny** (UJ)

NAUKI TEOLOGICZNE: **ks. Henryk Drawnel** (KUL), **ks. Andrzej Jacek Najda** (UKSW), **ks. Piotr Roszak** (UMK)

SZTUKI: **Andrzej Józef Biegun** (AMuz Kraków), **Jacek Greszta** (AMuz Bydgoszcz), **Artur Krajewski** (ASP Warszawa), **Barbara Łuczowskiak** (ASP Warszawa), **Jolanta Skorek-Münch** (URz), **Marcin Zygmunt Zdunik** (AMuz Gdańsk), **Natasza Violetta Ziółkowska-Kurczuk** (UMCS)

Książki nadesłane

Stanisław PRZYBYSZEWSKI, *Dzieła literackie. Edycja krytyczna*, red. Gabriela Matuszek-Stec: t. 1, *Proza poetycka. Pentalogia*, red. Gabriela Matuszek-Stec, 2022; t. 3, *Homo sapiens. Trylogia*, red. Ewa Skorupa, 2022; t. 6, *Dzieci nędzy. Adam Drzazga*, red. Katarzyna Badowska, 2023; t. 8, *Dla szczęścia, Złote runo, Goście, Matka, Śnieg*, red. Hanna Ratuszna, 2023, Kraków, Wyd. UJ.

Andrzej NOWAK, *Powrót „Imperium Zła”. Ideologie współczesnej Rosji, ich twórcy i krytycy*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023.

Anna Sylwia CZYŻ, *Pałace Wilna XVII-XVIII wieku*, Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą POLONIKA, Warszawa 2021.

Krzysztof POLECHOŃSKI, *Kronikarz „czasów niepewnych”. O Ferdynandzie Goetlu i jego twórczości*, Instytut Literatury, Kraków 2023, seria: Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”.

Ryszard MARKIEWICZ, *Zabawy z prawem autorskim dawne i nowe*, Wolters Kluwer, Warszawa 2022.

Reforma prawa własności intelektualnej, część III, red. Alicja ADAMCZAK, Wyd. PŚ, Kielce 2023, seria: Monografie. Studia. Rozprawy.

Maciej PIETRZAK, *Podstawy i zastosowania ekologii krajobrazu. Część druga i trzecia: Struktura i praktyka, tom 2*, ANS im. J.A. Komenskigo w Lesznie, Leszno 2023.

Konrad SKOTNICKI, *Doktor z TikToka. 111 faktów, które zniszczą twoje wyobrażenie o świecie*, Znak Literanova, Kraków 2023.

Bibliografia kopernikowska IV 2002-2022, oprac. Adam BIEDRZYCKI, Jolanta MILZ-KŁACZKOW, Wojciech SZRAMOWSKI, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2023.

Dava SOBEL, *Doskonalsze niebo. Jak Kopernik zrewolucjonizował wszechświat*, tłum. Anna Mądry, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2023, seria: Nicolaus Copernicus.

Magdalena CHULEK, *Jak wytwarzany jest slums? Studium przypadku mieszkańców Kibery i Korogocho w Nairobi*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2023, seria: Monografie FNP.

Kobiety-Polki w nauce, red. nauk. Krystyna LESZCZYŃSKA-WICHMANOWSKA, Wyd. UMCS, Lublin 2023, seria: Kobiety w sferze publicznej.

Kamil AKSIUTO, Michał WALLNER, Marcin POMARAŃSKI, *Poprawność polityczna. Źródła – przejawy – kontrowersje*, Wyd. UMCS, Lublin 2023.

Azeem ASHAR, *Szybko, coraz szybciej. Jak postęp technologiczny zostawia nas w tyle i co możemy z tym zrobić*, tłum. Agnieszka Sobolewska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023.

Nowa szkoła – szkoła wyższa. Refleksje, wyzwania, postulaty, red. nauk. Marta GRZEŠKO-NYCZKA i Monika KOŚCIELNIAK, ANS im. J.A. Komenskigo w Lesznie, Leszno 2023.

Wojciech ORLIŃSKI, *Kopernik. Rewolucje*, Wyd. Agora, Warszawa 2022.

Jolanta DUDEK, *„Jeśli mi słowo bić przestanie, co mi po sercu”. O twórczości Kazimierza Wierzyńskiego*, Instytut Literatury, Kraków 2023, seria: Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”.

Małgorzata STRZELECKA, *Dyszel w głowie Jerzego Turowicza*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2023.

Katarzyna GRZYBCZYK, *Słynne alkohole a prawo własności intelektualnej*, Wolters Kluwer, Warszawa 2022.

Tadeusz PABJAŃ, *Odczytywanie sensu. Wstęp do filozofii nauki*, Copernicus Center Press, Kraków 2023.

Przyszłość jest dziś. Trendy kształtujące biznes, społeczeństwo i przywództwo, red. nauk. Mariola CISZEWSKA-MLINARIĆ, Akademia Leona Koźmińskiego, Warszawa 2023.

Miroslawa Nowak-Dziemianowicz

Wspólnota sensu, przedsiębiorstwo czy fabryka?

Pytanie o przyszłość uniwersytetu

W społeczeństwie dyscyplinarnym ludzie byli przede wszystkim posłuszni, podatni na bezpośrednią manipulację i podporządkowanie. W społeczeństwie osiągnięć są nadal posłuszni, lecz źródła swego posłuszeństwa sami lokują gdzie indziej. Ulegają bowiem złudzeniu, iż jako autorzy własnego życia w pełni sami decydują o własnych wyborach, decyzjach i działaniach.

Dla wszelkich naszych wyborów i decyzji kluczowe znaczenie ma koncepcja udanego, dobrego życia. Jest ona zakorzeniona w kulturze, jej sensy i znaczenia są konstruowane społecznie. We współczesnym świecie panuje niepodzielnie koncepcja społeczeństwa i państwa osiągnięć. Społeczeństwo i państwo osiągnięć zastąpiło poprzedzające je państwo dyscyplinarne. Michel Foucault pokazywał, jak funkcjonuje państwo dyscyplinarne. Oparte na nakazach i zakazach, na sankcjach za ich łamanie społeczeństwo, które można pokazać na modelu/schemacie więzienia, koszar, fabryki, szpitala, odeszło w przeszłość. Jego miejsce zajęło społeczeństwo osiągnięć, społeczeństwo sukcesu. Oparte na modelu klubów, centrów handlowych, lotnisk, banków i innych instytucji finansowych lansuje hasło: możesz to zrobić, dasz radę, możesz być każdym, kim tylko zechcesz. Możesz być wiecznie młody, możesz być wiecznie zdrowy, możesz być dowolnie bogaty – twoje życie jest w twoich rękach. Potrzebna jest ci tylko odpowiednia motywacja i wiara w to, że jesteś absolutnym panem własnego losu. No i oczywiście jedyną drogą, jaka prowadzi cię do sukcesu, którym jest dostatnie życie zapewnione przez atrakcyjną pracę, jest EDUKACJA. My, edukatorzy różnej maści, obiecaliśmy całemu pokoleniu życiowy sukces. W społeczeństwie osiągnięć oznacza on oparcie własnego życia na „pozytywnym schemacie możliwości” (Byung Chul-Han, *Społeczeństwo zmęczenia*, „Krytyka Polityczna” nr 45/2017, *Znudzeni, zmęczeni, wściekli*, s. 41). Zastąpienie społeczeństwa dyscyplinarnego społeczeństwem osiągnięć miało na celu zwiększenie efektywności i produktywności jego członków. Badania nad rynkiem i wydajnością

pracy pokazały, iż nakazy i zakazy zamykają jednostkę w fazie odtwórczego posłuszeństwa. Skierowanie uwagi ludzi na nieograniczone możliwości własnego rozwoju mierzone rynkowymi wskaźnikami wzrostu okazują się znacznie skuteczniejsze. W społeczeństwie dyscyplinarnym ludzie byli przede wszystkim posłuszni, podatni na bezpośrednią manipulację i podporządkowanie. W społeczeństwie osiągnięć są nadal posłuszni, lecz źródła swego posłuszeństwa sami lokują gdzie indziej. Ulegają bowiem złudzeniu, iż jako autorzy własnego życia w pełni sami decydują o własnych wyborach, decyzjach i działaniach. Zewnętrzny wobec nich mechanizm nacisku w postaci mechanizmów rynkowych, opartych na narzuconych, ekonomicznych wymiarach sukcesu, jest dobrze ukryty. Tym, co go ukrywa, jest właśnie narracja osiągnięć, wizja życiowego sukcesu.

Neoliberalna doktryna jedności pozycji ekonomicznej, dobrobytu i dobrostanu (w postaci przekonania o spełnieniu się w koncepcji osiągnięć) wydaje się tak atrakcyjna, tak oczywista, że ludzie traktują ją jak własną koncepcję życia. Mają iluzję dokonywania podmiotowych, wolnych wyborów i nie zdają sobie sprawy, że posłusznie, pod innego rodzaju przymusem realizują nie swoje cele. Neoliberalizm z jego mitem ciągłego wzrostu potrzebuje (potrzebował) ludzi bardzo zaangażowanych w produkcję, wytwarzanie PKB, pomnażanie dochodu narodowego. Potrzebował więc również jakiejś wizji sposobu dochodzenia do tego wzrostu. Wizją taką stała się edukacja na poziomie wyższym. Wszelkie regulacje prawne pozwalające bez warunków niemal (lub z warunkami niezwykle łatwymi do spełnienia) na studiowanie, które pojawiały

się po transformacji 1989 roku, umożliwiły niezwykle wprost i nigdy dotąd nieznaną rozwój szkolnictwa wyższego. Powstawały nowe niepubliczne uczelnie, wśród kadry akademickiej pojawiło się zjawisko dwuetatowości. Wskaźnik scholaryzacji na poziomie wyższym wzrósł do 50%. Nigdy wcześniej studia nie były w Polsce tak dostępne, jak w latach 1990-2020. Zjawisko to wzmacniało także zaprzestanie jakiegokolwiek selekcji do szkół wyższych, studiować mógł praktycznie każdy. I prawie każdy chciał. Ten kilkakrotny (z 10% w 1990 do 50% w 2019) wzrost liczby studiujących nie był związany z żadnym wzrostem nakładów na szkolnictwo wyższe ani ze zwiększeniem się liczby nauczycieli akademickich proporcjonalnym do zwiększonej liczby studentów.

Pełni gniewu i rozczarowania

Edukacja w szkole wyższej to przykład maksymalizacji osiągnięć. Maksymalizacja osiągnięć, której ulegli zarówno aspirujący do uzyskania wyższego wykształcenia ludzie młodzi, jak i my, nauczyciele akademicy, polega właśnie na tym, iż przymus stapia się z wolnością. Nie działają już w społeczeństwie nakazy bezpośrednie. Nie one wyznaczają kierunek ludzkich działań. To my sami, ulegając koncepcji życia opartego na dążeniu do sukcesu (wymiernego, zdefiniowanego przez neoliberalną ideologię) ulegamy iluzji wolności wyboru. Wolność w koncepcji społeczeństwa osiągnięć stapia się z przymusem. „Muszę mieć wyższe wykształcenie”, zdawała się mówić połowa młodych Polaków, a my – nauczyciele akademicy, pozostając w tych samych co przedtem wiejskich warunkach, im to zapewnił. „Nadmiar pracy i osiągnięć przeradza się w samowyzysk. Jest on bardziej wydajny niż wyzysk zewnętrzny, gdyż łączy się z poczuciem wolności. Wyzyskujący jest jednocześnie wyzyskiwanym, więc sprawca i ofiara nie dają się już od siebie odróżnić. Ta autoreferencyjność generuje paradoksalną wolność, która na gruncie immanentnych jej struktur przymusu zmienia się w przemoc” (Byung-Chul-Han, s. 45)

Absolwenci polskich uczelni są pełni gniewu i rozczarowania. Ulegli bowiem neoliberalnemu mitowi opartemu na przekonaniu, iż wyższe wykształcenie to jedyna i najlepsza, najbardziej skuteczna droga do życiowego sukcesu.

Stało się tak, gdyż sensotwórczą, opartą na etosie uniwersytetu narrację zastąpiono narracją rynkową, będącą istotą neoliberalnej wizji społecznego świata. Potrzebujemy dzisiaj nowej, odmiennej narracji naszej wspólnoty. MacIntyre w książce *Dziedzictwo cnoty* wskazuje na wspólnotową genezę naszych przekonań etycznych. Wspólnoty, w których żyjemy, nie składają się z pojedynczych, obdarzonych autonomią jednostek. To jednostki, które są w pewnym stopniu autonomiczne, są wytworem tych wspólnot. Każdy z nas jest wytworem wspólnoty, w której przyszedł na świat, w której się socjalizował, uczył się reguł mówienia o sobie, innych, o swoich relacjach z innymi. We wspólnotach

podjęmy działania skierowane na przetrwanie nas samych jako członków wspólnoty oraz na nią jako całość, której ciągłości i trwania zarówno chcemy, jak i potrzebujemy. Opanowanie języka danej wspólnoty oraz charakterystycznych dla niej sposobów narracji, zawierających obok opowieści o przeszłości, także te o dopuszczalnych i niedopuszczalnych sposobach zachowania jednostek, jest warunkiem bycia jej członkiem. Praktyki narracyjne, polegające na opowiadaniu własnej historii umiejscowionej w trzech porządkach czasu: przeszłości, teraźniejszości oraz przyszłości, stają się konstytutywne dla ludzkiej egzystencji.

„Przyszłość Uniwersytetu oparta być musi na narracji naszej wspólnoty, która wprost nawiązuje do tradycji, do etosu tej instytucji. Pojęcie etosu stosowane zarówno w socjologii, antropologii kultury, jak i etyce zakłada, że przynależność do grupy etosowej jest dobrowolna i związana ze świadomością wyznaczników odrębności określonej grupy. Realizując zatem etos uniwersytetu, mamy do czynienia z postępowaniem identyfikującym się z daną grupą, wartościami i stylem życia związanymi z uniwersyteckością. Mamy do czynienia raczej z kierowaniem się zaleceniami a nie nakazami – charakterystyczna będzie tu



Możesz to zrobić, dasz radę, możesz

rys. Sławomir Makal

postawa akceptacji przynależności do grupy służącej rozwojowi wiedzy, a nie posłuszeństwo wobec jakichś układów odniesień” (J. Dudek, *Etos uniwersytetu a globalny kłopot z jego tożsamością*, „Studies in Global Ethics and Global Education”, nr 7/2017, s. 26).

Edukacja prowadząca do uznania

Nauka jest systemem społecznym. Dzięki Robertowi Mer-tonowi właśnie tak, jako rezultat umowy społecznej, traktujemy ten rodzaj naszej aktywności. Umowy społecznej rozumianej jako teoria prawno-polityczna występująca w doktrynach prawa natury, zgodnie z którą powstanie społeczeństwa i państwa nastąpiło w wyniku łączenia się jednostek żyjących uprzednio w „naturalnej” wolności, w drodze porozumienia się, czyli poprzez umowę. Ponadto zapewnia ona autorytet władzy państwowej niezależnie od formy rządów. Teoria umowy społecznej stanowi racjonalne uzasadnienie historycznie ważnego poglądu, że legalna władza państwowa musi wywodzić się od zgody społeczeństwa. Takie podejście, takie rozumienie nauki implikuje określone konsekwencje. Po pierwsze, w ramach zawartej umowy społecznej ludzie nauki akceptują ten sam, wynegocjowany wcześniej system norm, reguł i wartości. Po

drugie, ludzie nauki akceptują ten sam, wynegocjowany wcześniej cel działalności instytucji naukowej, jaką jest uniwersytet. Po trzecie, ludzie nauki nie tylko akceptują wspólne, uznane za ważne wartości, normy, reguły służące określonym celom – oni tych reguł, norm, wartości przestrzegają, a ustanowione przez instytucje cele z powodzeniem realizują.

Wizja uniwersytetu jako rynkowego przedsiębiorstwa czy fabryki to wizja, w której najważniejszym, pierwszoplanowym źródłem celów edukacji są potrzeby rynku pracy oraz oczekiwania pracodawców. W tym podejściu do uniwersytetu dominować zaczyna rozum instrumentalny (Kwaśnica R., *Dyskurs edukacyjny po inwazji rozumu instrumentalnego. O potrzebie refleksyjności*, Wrocław, 2014). Zarówno cele edukacji, jak społeczne oczekiwania od tej praktyki społecznej sformułowane są najczęściej językiem charakterystycznym dla racjonalności instrumentalnej, językiem skutecznego działania, pragmatyzmu, prostej użyteczności. Użyteczna edukacja to taka, która odpowiada na potrzeby rynku, te zaś kształtowane są przez politykę rządzących. Użyteczne są więc dzisiaj, w dobie rozwoju zależnego (w oficjalnych dokumentach jest to zrównoważona wizja rozwoju kraju, określana także jako kontynuacja), przede wszystkim kompetencje techniczne pozwalające Polakom stawać się, zgodnie z przyjętą i realizowaną wizją rozwoju, tanią, wykwalifikowaną siłą roboczą. Siłą roboczą, która może dawać podwaliny pod nowego rodzaju proletariatu (czy jak chcą niektórzy – prekariatu), nową klasę robotniczą – świetnie wykształconą w zakresie wąsko rozumianej specjalności i technicznej wiedzy.

Narracja, do której odwołuje się dzisiaj uniwersytet, staje się synonimem rynku. Wszystko staje się zasobem, kapitałem, kompetencją. Edukacja dokonała swego przemieszczenia – ze sfery wartości do sfery narzędzi i instrumentów. Ma coś dać, coś przynieść, coś zapewnić. Jej rezultaty to jednak nie enigmatyczne, nieco deprecjonowane dzisiaj pojęcie sensu, celu życia, jakiś egzystencjalny wymiar naszego istnienia. To konkret: dobra praca (dobra, czyli gwarantująca finansowy sukces, a nie zaspokojenie potrzeb poznawczych czy indywidualnych pasji), oparta na przypisanej ważności pozycja społeczna (niektóre zawody uznaliśmy za ważne, inne za zbędne), dobra materialne, które jest nam ona w stanie zapewnić. Zapomnieliśmy zupełnie o autotelicznej wartości edukacji, o edukacji prowadzącej do poczucia sensu, nadającej sens naszemu życiu. Zapomnieliśmy o edukacji prowadzącej do uznania.

Przedstawione przeze mnie w książce *Szkola jako przestrzeń uznania* (Warszawa 2020) wyniki badań pokazują, iż wszyscy członkowie akademickiej wspólnoty: studenci, doktoranci, nauczyciele akademicy, badacze, chcieliby powrotu do etosu Uniwersytetu. Powrót albo jakiś rodzaj renegotjacji umowy społecznej, w świetle której etos uniwersytetu (wspólne, oparte na podzielanych wartościach i zasadach dążenie do prawdy, autonomia oraz jedność badań naukowych i nauczania) to podstawa jego funkcjonowania. Pozwoli on nie tylko odrodzić się tej ważnej instytucji społecznego rozwoju, pozwoli jej na nowo stać się wspólnotą sensów i znaczeń, ale także uchroni ją przed przekształceniem się w przedsiębiorstwo czy fabrykę. Oczywiście nie oznacza to rezygnacji ze związków tej instytucji ze światem zewnętrznym, z jego potrzebami i oczekiwaniami ani z rachunkiem ekonomicznym. Wszakże one też mają swoje sensotwórcze znaczenie. Jednak słowo „też” wydaje się tutaj kluczowe.

Prof. dr hab. Mirosława Nowak-Dziemianowicz, Akademia WSB w Dąbrowie Górniczej, Komitet Nauk Pedagogicznych PAN



być każdym, kim tylko chcesz !

Studencka samorządność

Przedstawiciele samorządu studenckiego w senacie mojej uczelni toczyli batalię o to, aby wszystkie wykłady były nieobowiązkowe i wywalczyli to, że uchwałą senatu obowiązkowe są jedynie wykłady na pierwszym roku studiów.

Jeśli samorządność oznacza branie spraw we własne ręce, to takie zachowanie może być godne pochwały. Jednak pod warunkiem, że przynosi ono więcej pożytku niż szkody, nie tylko samym samorządowcom, ale także ich bliższemu i dalszemu otoczeniu. W praktyce różnie z tym bywa. Pokazuje to m.in. konflikt związany z jednym z akademików Uniwersytetu A. Mickiewicza w Poznaniu. To nagłaśniane w mediach wydarzenie skłania mnie do postawienia raz jeszcze pytania o kondycję studenckiej samorządności.

Nieco historii

Tradycje studenckiej samorządności sięgają czasów powstania w średniowieczu pierwszych uniwersytetów. Nie tylko zresztą samorządność tej grupy społecznej ma takie długie tradycje. Wszędzie bowiem tam, gdzie do głosu dochodził zawodowy korporacjonizm, pojawiły się formy samorządności, które miały stanowić obronę potrzeb i możliwości ich zaspokajania przez członków tych grup. Rzecz jasna, nie tylko potrzeb materialnych, ale także szeroko pojmowanych potrzeb kulturalnych, o czym można się przekonać, oglądając na ilustracjach uroczyste pochody miejskich korporacji zawodowych, w których kolejność uzależniona była od prestiżu danego zawodu. Do dzisiaj zresztą przy różnego rodzaju uroczystościach miejskich pojawiają się ubrani w korporacyjne stroje reprezentanci co bardziej prestiżowych grup zawodowych. Studenci wprawdzie nie stanowili i nie stanowią grupy zawodowej, jednak również dla nich znajdowano miejsce w ówczesnej społeczności, które jednym z nich odpowiadało, natomiast innym skłaniało do protestów, a nawet buntu. W Oksfordzie obchodzi się tradycję studenckiego buntu z 1355 roku, który zakończył się – jak pisze autor *Historii społecznej Anglii* G.M. Trevelyan – „prawdziwą rzezią kleryków i studentów; niedobitki uciekły w panice z Oksfordu, a uniwersytet pozostał zamknięty aż do czasu interwencji królewskiej, która zapewniła ochronę uczonym i uczącym się oraz ich pomściła. Podczas zamieszek w Cambridge w roku 1381 ludzie z miasta zniszczyli przywileje i rejestry uniwersyteckie”.

Problem nie tylko w tym, że „ludzie z miasta” czuli się zagrożeni w swoim dobrostanie studenckimi roszczeniami i sposobami ich wyrażania, ale także w tym, że ani władze uczelniane, ani też władze królewskie nie podejmowały żadnych kroków, aby studencka młodzież „trzymała się z dala od gospód i zamtuzów (domów publicznych); niektórzy ze studentów włączyli się po okolicy z bandami rozbójniczymi”. Takiego studenckiego życia nie usprawiedliwiała ani to, że w zdecydowanej większości studenci „klepali” przysłowiową biedę, ani też to, że nie

czuli się trwale przywiązani do miejsca studiowania i niejednokrotnie przemieszczali się w poszukiwaniu lepszych warunków do życia z jednej uczelni na inną. W średniowiecznej Francji ten żyjący w biedzie i przemieszczający się „ludce” nazywano „goliardami”. Jacques Le Goff w rozprawie *Inteligencja w wiekach średnich* oponuje przeciwko nazywaniu ich „włóczęgami, rozpustnikami, żonglerami, błaznami” i stawia pytanie: „czyż ci mąciciele i burzyciele są ludźmi niebezpiecznymi?”. Jednoznacznej odpowiedzi jednak nie udziela i być może nawet nie można jej udzielić. Można jednak wskazać sytuacje, w których różne grupy studenckie miały swój udział we „wzburzeniu” przestarzałych i niewydolnych struktur życia akademickiego. Tak się rzecz miała m.in. w przypadku wystąpień studenckich we Francji w 1968 roku. Doprowadziły one nie tylko do zmiany wizerunku „pomnika” akademickiej Francji, za jaki uchodziła i w jakiejś mierze uchodzi nadal Sorbona. Następstwem wystąpień było bowiem przekształcenie tego wielkiego uniwersytetu w trzynaście mniejszych uczelni, ale także przyjęcie tzw. ustawy Edgara Faure’a, która w istotnym stopniu zmieniła system funkcjonowania wyższego szkolnictwa w tym kraju.

W 1968 roku miały miejsce wystąpienia studenckie również w naszym kraju. Wprawdzie nie wyprzebrały one takiej skali jak we Francji, jednak formułowane w nich postulaty, jak wolność słowa czy zniesienie cenzury, ówczesne władze potraktowały jako jeśli nawet nie zagrożenie, to przynajmniej zakwestionowanie tego, że reprezentują one jedynie słuszne myślenie o tym, co jest dobre dla naszego kraju. W swojej pozycji poczuły się zagrożone również władze tych uczelni, które otwarcie potępiły studenckie wystąpienia. Do tego potępienia dołączyły uczelniane organizacje młodzieżowe, które – tak jak Związek Młodzieży Socjalistycznej – stanowiły partyjną przybudówkę „jedynie słusznej partii (PZPR)”, a nawet aktywny partyjny różnorodnych zakładów produkcyjnych. Można powiedzieć: „siła złego” nie tyle nawet na jednego, co na tych stosunkowo niewielu, którzy śmieli się upominać o prawa obywatelskie, w tym prawo do wykładnia na uczelniach dla osób z profesorskimi kwalifikacjami.

Tak czy inaczej, te wystąpienia zostały spacyfikowane przez ówczesne władze polityczne, a ich inspiratorzy i przywódcy ukarani usunięciem z uczelni. Jeśli jednak prawdą jest, że „kropla draży kamień”, a za taką „kroplę” uznać wystąpienia studenckie z 1968 roku, to za efekt tego „drażenia” można uznać wystąpienia robotnicze najpierw w 1976 roku, a później w 1980 roku. Na uczelniach odbyły się swoistym rykoszetem szczególnie te drugie. Przewodzący im Niezależny Samorządny Zwią-

zek Zawodowy Solidarność miał na nich swoje przedstawicielstwa i uzyskały one w pewnym momencie taką pozycję, że bez ich przyzwolenia nie można było powierzyć nikomu funkcji kierowniczych. Miały one również istotny wpływ na pojawienie się nowych form samorządności studenckiej.

Samorządność studencka w wolnej Polsce

„Wiatr” zmian, który w latach 1980–1981 „zdmuchnął” z uczelnianego stołka niejedną rektorską, dziekańską i dyrektorską władzę oraz wyniósł na nie tych, którzy nie byli zaangażowani we wspieranie „jedyniej słusznej partii”, został spacyfikowany wprowadzeniem stanu wojennego. Ten, który pojawił się w 1989 roku, przynajmniej na początku nie zapowiadał „trzęsienia” w życiu społecznym, w tym akademickim, jakie miało miejsce w Polsce w latach późniejszych. „Wstrząsy wtórne” trwają zresztą do dzisiaj. Za taki „wstrząs” skłonny jestem uznać m.in. zmiany wprowadzone w 2018 roku do funkcjonowania w naszym kraju nauki i wyższych uczelni Ustawą 2.0. Uważam, że generalnie przyniosły one więcej złego niż dobrego, żeby tylko tytułem przykładu wymienić mało komu służące wzmocnienie pozycji władz rektorskich czy wyraźne osłabienie pozycji w badaniach naukowych najbardziej aktywnej i produktywnej części uczonych poprzez wprowadzenie tzw. slotów. Jednak nie tylko w tych kwestiach oczekuję istotnych zmian. Wymaga ich również funkcjonowanie samorządu studenckiego.

Zgodnie z obowiązującymi ustawowymi regulacjami prawnymi „samorząd studencki jest wyłącznym reprezentantem ogółu studentów” uczelni publicznej w zakresie „spraw studenc-

kich, w tym socjalno-bytowych i kulturalnych”, oraz ma swoich przedstawicieli w uczelnianych organach, takich jak senaty czy uczelniane rady, a także w kolegiach elektorskich w wyborach rektorów i kandydatów na dziekanów. W każdym przypadku organem zwierzchnim jest rektor. Sposoby realizowania studenckich uprawnień i rektorskiej zwierzchności dookreślone są w statutach uczelni. Można powiedzieć wiele zarówno o sposobach korzystania z tych uprawnień przez samorządy studenckie, jak i sprawowania zwierzchności przez władze rektorskie. Podzielę się tutaj jedynie kilkoma uwagami na temat funkcjonowania samorządu studenckiego. Bazują one na moich spostrzeżeniach jako dwukadencyjnego dziekana i trzykadencyjnego członka senatu mojej uczelni (UAM). Pierwsza z nich dotyczy jego reprezentatywności. Mam poważne wątpliwości, czy można uznać za reprezentację wszystkich studentów tych, którzy zostali wybrani do samorządu swoimi głosami i czasem jeszcze głosami kilku zaprzyjaźnionych osób. Na kolegiach rektorsko—dziekańskich podawane były przykłady takich studenckich zebrań wyborczych, w których brało udział mniej osób niż miejsc w samorządach wydziałowych. Większym zainteresowaniem cieszyły się wybory do samorządu uczelnianego. Wiazały się one bowiem z możliwością uzyskania miejsca w senacie, a ono z kolei oznaczało m.in. udział w różnego rodzaju uczelnianych uroczystościach, z inauguracją roku akademickiego włącznie. Rzecz jasna, tacy senatorzy mieli nie tylko możliwość zaprezentowania się koleżankom i kolegom w todzie, ale także prezentowania ich potrzeb władzom uczelni i pozostałym senatorom.



Rys. Sławomir Makal

Nie mogę powiedzieć, że nie korzystali z tych możliwości. Mogę natomiast z pełnym przekonaniem powiedzieć, że nie były to te potrzeby, które wyrażali studenci uczestnicy wystąpień z 1968 roku, ani nawet te, które wyrażali oni na początku lat 80. minionego stulecia. W jakimś mierze były one zbieżne z tymi, które ujawniły się już w średniowiecznych buntach studentek. Krótko mówiąc, związane były one ze studentckim biedowaniem. Jednak tylko w jakimś mierze. W art. 70 Konstytucji RP stwierdza się, że „Nauka w szkołach publicznych jest bezpłatna. Ustawa może dopuścić świadczenie niektórych usług edukacyjnych przez publiczne szkoły wyższe za odpłatnością”. W dzisiejszych akademickich realiach okazuje się, że trzeba zapłacić nie tylko za niejedną usługę edukacyjną, ale także posiadać odpowiednio duże środki na zaspokojenie takich życiowych potrzeb, jak wyżywienie i mieszkanie. W czasach PRL-u nawet studenci z ubogich rodzin mogli studiować. Związane to było z tym, że na ich studiowanie składało się całe społeczeństwo. Nie mówię, że wówczas było lepiej. Mówię natomiast, że wówczas było nieco łatwiej podjąć studia i je ukończyć tym, których wpierało państwo, niż tym, którym dzisiaj to państwo odmawia tak znaczącego wsparcia m.in. w zakresie mieszkania i wyżywienia.

Rzecz jasna, studenci buntują się przeciwko takiej odmowie i chcieliby, aby finansowanie ich studiowania pozostało „po starym”, ale samo studiowanie było już „po nowemu”. Oznacza to dla nich nie tylko tani akademik i tanie wyżywienie, ale także to, że np. udział w wykładach nie jest już obowiązkiem. Wspominam o tym, bowiem przedstawiciele samorządu studentkiego w senacie mojej uczelni toczyli batalię o to, aby wszystkie wykłady były nieobowiązkowe i wywalczyli to, że uchwała senatu obowiązkiem są jedynie wykłady na pierwszym roku studiów. Nie można nawet powiedzieć, że za tym swoistym sukcesem nie stały żadne poważne argumenty, takie chociażby, że część studentów, aby dzisiaj studiować, musi jednocześnie pracować i to zwolnienie z obowiązku udziału w wykładach ułatwia im uzupełnienie studentckiego portfela. Problem w tym, że część być może nawet gdzieś poważnie pracuje, ale już tylko „na niby” studiuje i chciałaby możliwie jak najdłużej trwać w tym stanie, bowiem nie tylko pozwala to im zachować „twarz” na spotkaniach rodzinnych, ale także daje całkiem wymierne korzyści materialne. Pełniąc funkcję dziekana, miałem do czynienia z takim studentem „na niby”, który kolejno podejmował studia na kilku różnych kierunkach, jednak na żadnym z nich faktycz-

nie nie studiował, natomiast na każdym otrzymywał świadectwa socjalne dla ubogich studentów.

Wygrani i przegrani w batalii o akademik

Zakończenie okupacji pomieszczeń w jednym z akademików UAM skłania do próby odpowiedzi na pytanie: kto okazał się w tej batalii wygranym, a kto przegranym? Być może wygranymi czują się przynajmniej niektórzy jej inicjatorzy i uczestnicy. Jeśli mierzyć ich wygraną tym, że nie zostali wyprowadzeni siłą z zajmowanych pomieszczeń i „sponiewierani” przez agentów ochrony, to trzeba byłoby im przyznać rację. Jeśli jednak mierzyć ją taką miarą, jaką były złożone deklaracje, zarówno przez ministra nauki i szkolnictwa wyższego, jak i przez władze rektorskie UAM, to jest ona co najmniej dyskusyjna. Wprawdzie otrzymali obietnicę, że ministerstwo będzie analizowało możliwość modernizacji tego akademika i jego przystosowania do dzisiejszych potrzeb i przepisów, a nawet przekazało fundusze na przygotowanie projektu takich zmian, a władze rektorskie zobowiązały się, że do końca ich kadencji nie zostanie on sprzedany, to przecież nie jest to równoznaczne z gwarancją, że akademik nadal będzie funkcjonował i będzie on „na kieszeń” ubogich studentów; a o to m.in. chodziło okupującym. Obiecane przez ministra fundusze (w kwocie 500 tys. zł) znalazły się w ostatnich dniach grudnia na koncie UAM. Wydają się one jednak za małe, aby pokryć chociażby koszty przygotowania architektonicznego projektu tych zmian. Subwencja ta stawia natomiast w kłopotliwej sytuacji władze rektorskie uczelni. Wygląda bowiem na to, że brakujące środki muszą znaleźć same. Tylko gdzie ich szukać? Ani uczelnia ich nie posiada, ani też nie bardzo widać na horyzoncie hojnego darczyńcę, który bez oglądania się na własne korzyści skłonny będzie je wyłożyć. Może się zatem okazać, że dzisiejsi wygrani okażą się w dłuższej perspektywie największymi przegranymi.

O miano wygranych konkurują z nimi członkowie samorządu studentkiego UAM, przede wszystkim dlatego, że nie solidaryzowali się z „okupantami”. Jakby jednak ich postępowania nie oceniać, to okazało się, że nie stanowią oni jedynej reprezentacji interesów studentów. Trudne do zmierzenia są straty wizerunkowe władz rektorskich UAM. W każdym razie „sprawa akademika” pokazała, że pomysł na relokację akademików na obrzeża Poznania ma nie tylko swoje zalety, ale także wady.



Minister nauki Dariusz Więzorek podczas spotkania ze studentami okupującymi dom studentki „Jowita”, Poznań, grudzień 2023.

Marek Misiak

Mów do mnie

Szczególną pułapką są dla Polaków inne języki słowiańskie, gdyż pozorne podobieństwa sprawiają, że odruchowo wymawiamy nazwy i nazwiska tak, jakby pochodziły one z polszczyzny. Tymczasem różnice mogą być drobne, lecz kluczowe.

Redakcja – przynajmniej publikacji naukowych – jest pracą na tekście. Redaktor opracowujący utwory w języku, który nie jest dla niego ojczysty, może nie mówić w nim płynnie ani poprawnie. Znane są przykłady znakomitych tłumaczy czy opracowań dokonanych przez osoby, które dany język znają jedynie w piśmie (Adam Mickiewicz tłumaczył z angielskiego, ale – według jego biografów – porozumiewać się w mowie po angielsku nie potrafił). Sam czasem padam ofiarą cudzych wyobrażeń. Znam angielski biegle, ale gdy mówię, słysząc, że to dla mnie obcy język, podczas gdy wielu słuchaczy sądzi, że usłyszą wzorcowy BBC English (jeśli już, to byłby to Standard American English, bo w tej odmianie głównie pracuję). Przestałem mieć na tym punkcie kompleksy, nie pracuję jako tłumacz ustny (ani symultaniczny, ani konsekutywny), gdyż nie mam takich predyspozycji. Zauważyłem jednak, że opory przed mówieniem po angielsku ma też wielu pracowników nauki, których spotykam na mojej drodze. Nierzadko są to osoby za równo utytułowane, jak i władające angielszczyzną w stopniu, który zawstydziłby niejedną osobę znacznie pewniejszą swoich umiejętności w tym zakresie. Kompleksy w odniesieniu do innych języków są mniejsze, zwłaszcza jeśli ktoś ma świadomość, że część obecnych danego języka nie zna i nie będzie w stanie ocenić poprawności wymowy czy lekcyki (ale taka sytuacja jest mało prawdopodobna, gdyż na ogół spotkanie odbywa się w języku, który znają wszyscy uczestnicy – do tego właśnie służy lingua franca, czyli współcześnie angielski).

Chciałbym podkreślić tu jedną rzecz: wzorcowa angielska wymowa, czy to brytyjska, czy amerykańska, nie jest prosta i nie każdy jest w stanie w pełni ją opanować (ja nie jestem). Jest wielu aktorów francuskich, niemieckich, hiszpańskich czy włoskich, którzy w anglojęzycznych filmach mogą grywać tylko obcokrajowców, gdyż nie są w stanie pozbyć się silnego akcentu, a głos to przecież dla aktora narzędzie pracy i mają oni nad nim znacznie większą kontrolę niż zwykły śmiertelnik. Brzmienie głośno przeczytanego tekstu istotne jest przy przekładach literackich, jeśli mówimy o przekładaniu z języka ojczystego na ten dla nas obcy (taka sytuacja jest rzadsza, ale nie niespotykana, np. przekłady polskiej poezji romantycznej na angielski dokonane przez Jerzego Pietrkiewicza). Natomiast dla naukowca szczególnie ważne jest to, by poprawnie wymawiać nazwiska, nazwy i terminy wzięte z innych języków, gdy mówi w tym ojczystym lub po angielsku.

Pretensjonalna hiperpoprawność

Podstawą jest świadomość, do jakiego języka przależy wymawiana przez nas nazwa czy wyrażenie. Fonetyka różnych języków może się znacząco różnić od systemu fonetycznego tych, które znamy, nawet jeśli jest ich kilka. Szczególnie dotyczy to języków dalekowschodnich, w których występują dźwięki i inne elementy fonetyczne w ogóle niemające odpowiedników w językach europejskich – np. obu odmian chińskiego (mandaryńskiej i kantońskiej) oraz języków używanych na subkontynencie indyjskim – ale skupię się tu na językach europejskich. Podając prawidłową wymowę, będę stosował jej uproszczony fonetyczny zapis za pomocą polskiego alfabetu zamiast Międzynarodowego Alfabetu Fonetycznego (IPA), którego znajomość w dobie elektronicznych translatorów jest coraz rzadsza, a oczekiwanie jego znajomości od czytelników, którym nie jest on do niczego potrzebny, byłaby nieporozumieniem. Zastosowany przeze mnie zapis oddaje wymowę w sposób mniej dokładny, ale zrozumiały dla wszystkich i wystarczający na potrzeby tego tekstu.

Gdy wymawiamy obcojęzyczną nazwę, nazwisko czy termin, mówiąc po polsku, często nie obowiązuje nas wymowa dokładnie taka, jak w języku wyjściowym – taka hiperpoprawność także jest błędem, a przynajmniej w uszach wielu słuchaczy zabrzmieć dość pretensjonalnie. Dlatego największe miasto w stanie Illinois, mimo zachowania oryginalnej pisowni (Chicago), należy po polsku wymawiać jako [szikago], a nie [czikago], a drugie co do wielkości miasto we Francji (Lyon) to po polsku [ljon], a nie [liją]. Dotyczy to również akcentu, jeśli wymowa głosek pozostaje niezmienną: Berlin jest po niemiecku akcentowany na drugą sylabę, a po polsku na pierwszą. Są też jednak nazwy, które należy oddać dokładnie tak, jak brzmią w oryginalnej, i np. Glasgow to [głazgo], a nie [glezgo], choć tę drugą wersję podsuwałyby ogólne zasady wymowy w British English. W przypadku nazwisk na ogół konieczna jest większa zgodność z oryginałem, ale i tu warto nie posuwać się do hiperpoprawności i wymawiać np. niemieckich nazwisk zawierających „r” z miękkim, gardłowym [r] (ale już po francusku taką głoskę można zastosować), a nazw angielskich z gulgoczącym angielskim [r] (np. Portland, Denver), choć już przy nazwach mniej znanych można zastosować oryginalną wymowę (np. Shreveport).

Częstym błędem jest traktowanie wszystkich obcojęzycznych nazw i nazwisk tak, jakby pochodziły one z angielszczy-

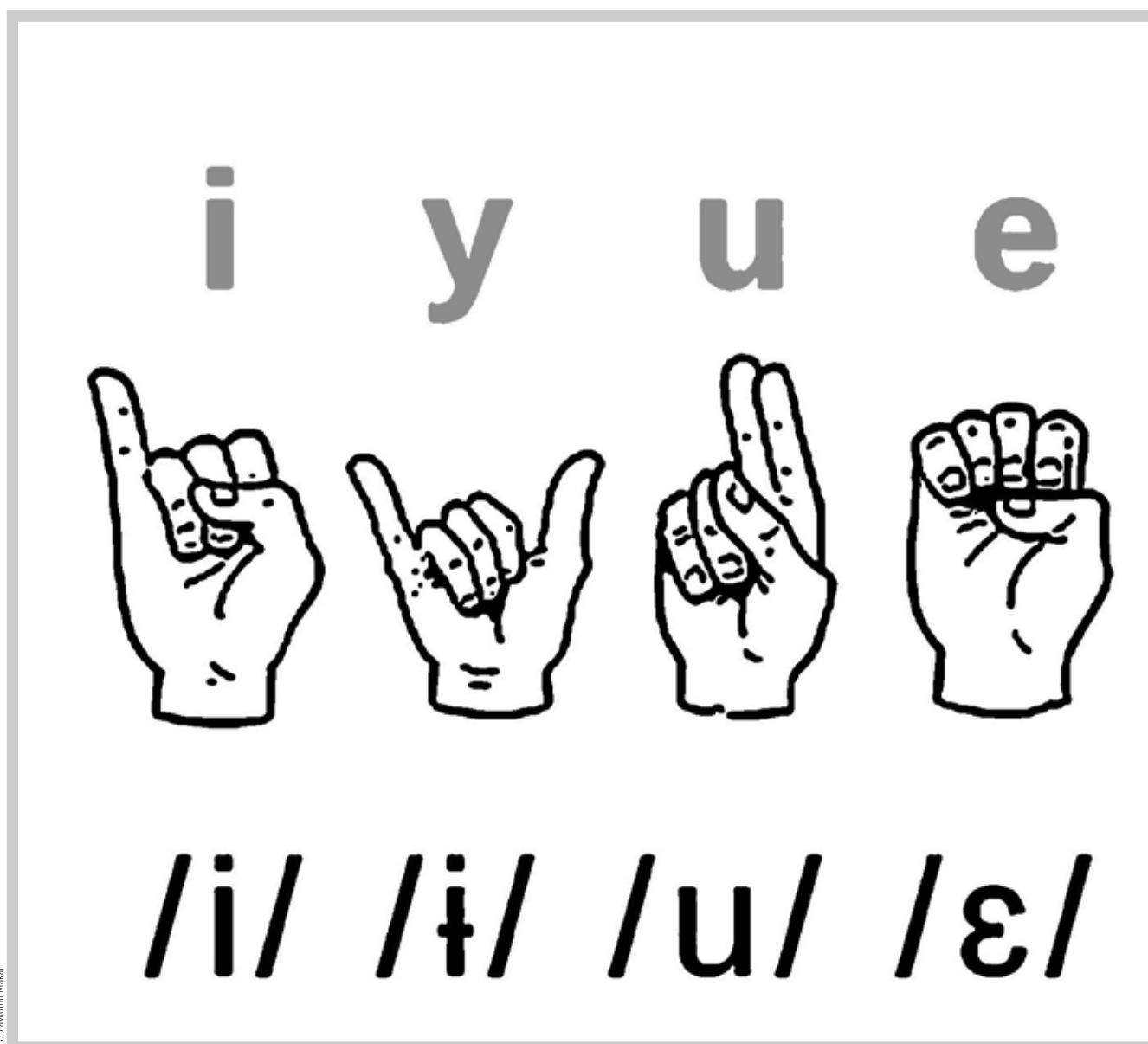
zny. Stąd zapewne bierze się wymowa [karl dżaspers] (myśliciel i psychiatra Karl Jaspers był Niemcem) czy wymawianie niemieckiego „von” jako [won]. Litera „v” jest po niemiecku – z wyjątkiem zapożyczeń z innych języków (łaciny, francuskiego, angielskiego) – wymawiana jako [f] i stąd choroba von Willebranda to po polsku [fon wilebranda], podczas gdy w USA poprawna jest wymowa [won wilebrend]. Natomiast po niderlandzku „van” jest już wymawiane przez [w] i adwersarz Drakuli to Abraham van [wan] Helsing. Podobne błędy mogą też dotyczyć języka włoskiego. Kilka razy słyszałem, jak sycylijski pisarz Leonardo Sciascia był wymawiany [skaskja] lub nawet [skejskja], podczas gdy poprawna wymowa jego nazwiska to [sza-sza]. Zdarzają się też jednak utrwalone u wielu Polaków błędy polegające na oddawaniu nazw i nazwisk w innych językach tak, jakby pochodziły one z niemieckiego. Jednostka dawki równoważnej promieniowania jonizującego to po polsku siwert, a nie „ziwert”, gdyż Rolf Maximilian Sievert był Szwedem, a po szwedzku „s” jest w takiej pozycji wymawiane jako [s]. Francuski antropolog Claude Lévi-Strauss to zaś [klod lewi stros], a nie [sztraus]. To ostatnie nazwisko jest zresztą dobrym przykładem tego, jak ważna jest świadomość, z jakiego języka pochodzi dane słowo. Ta sama osoba zapisująca swoje imię i nazwisko jako Peter Strauss może być czytana [pejter sztraus], jeśli jest niemieckoję-

zyczna, i [piter stroś], jeśli mówi po angielsku (jak amerykański aktor Peter Strauss, notabene niemieckiego pochodzenia).

Pułapki nietypowych liter

Szczególną pułapką są dla Polaków inne języki słowiańskie, gdyż pozorne podobieństwa sprawiają, że odruchowo wymawiamy nazwy i nazwiska tak, jakby pochodziły one z polszczyzny. Tymczasem różnice mogą być drobne, lecz kluczowe. Rosyjski, ukraiński i białoruski także zawierają głoski miękkie, ale funkcjonują one inaczej niż po polsku i np. rosyjska wersja imienia Szymon, tzn. Семён, to [sjemjon], a nie [šemion, tak jak aktor Wojciech Siemion], a imię Aleksiej (Алексеј) to [alekszej], a nie [aleksej]. Nie warto też przenosić na języki słowiańskie przyzwyczajęń z języków z innych grup, np. po czesku połączenie „ou” jest czytane jako [o], a nie jak w wielu innych językach [u], stąd czeski reżyser filmowy Jaroslav Papoušek to [papośzek], a nie [papuszek].

W większości języków europejskich zapisywanych alfabetem łacińskim występują też litery lub sposoby zapisu głosek za pomocą znaków interpunkcyjnych nieznanne ani w polszczyźnie, ani w angielszczyźnie. Tylko ortografia angielska, niderlandzka i włoska (a przynajmniej wzorcowych ich odmian) obywają się bez takich uzupełnień. Nawet jeśli nie znamy w danym języku



ani słowa, warto umieć prawidłowo odczytać takie znaki, rośnie wtedy szansa, że wymówimy dobrze całą nazwę, nazwisko lub termin. Wielu Polaków wie, jak odczytywać litery typowe dla niemieckiego, ale na wszelki wypadek przypomnijmy, że „ü” to samogłoska między [u] a [i], „ö” – między [o] a [y], „ä” to współcześnie po prostu [e], zaś „ß” (scharfes S) to „ss”, odczytywane jako [s]. Dla ułatwienia można przyjąć, że w kilku innych językach, do zapisu których stosowana jest litera „ö”, odczytywana jest ona podobnie, jak po niemiecku (np. po węgiersku i turecku); po szwedzku natomiast jej wymowa przypomina raczej [e] (np. Malmö). Turecki zapisywany jest alfabetem łacińskim dopiero od około stu lat i opracowując na jego potrzeby adaptację alfabetu łacińskiego, starano się nie wymyślać zbyt wielu nowych znaków, lecz przypisać te istniejące już w innych językach do podobnie brzmiących głosek, stąd nie tylko „ö”, ale także „ü” czytane jak po niemiecku. Natomiast „ç” to [cz], „ş” – [sz], „ğ” – [j], a „ı” („i” bez kropki) – [y]. Po węgiersku inne samogłoski z diakrytami oznaczają długą wersję danej głoski; długą wersję ma też „ö”, zamiast dwóch kreski są dwie kreski, tj. „ȫ”.

Po czesku „š” to [sz], „č” – [cz], „ž” – [ż], „ň” – [ń], ď – [dź], zaś ě – [ć]. Poprawna wymowa litery „ř” powstaje przez połączenie [r] i [ž] w jedną drżącą głoskę (niemającą odpowiednika

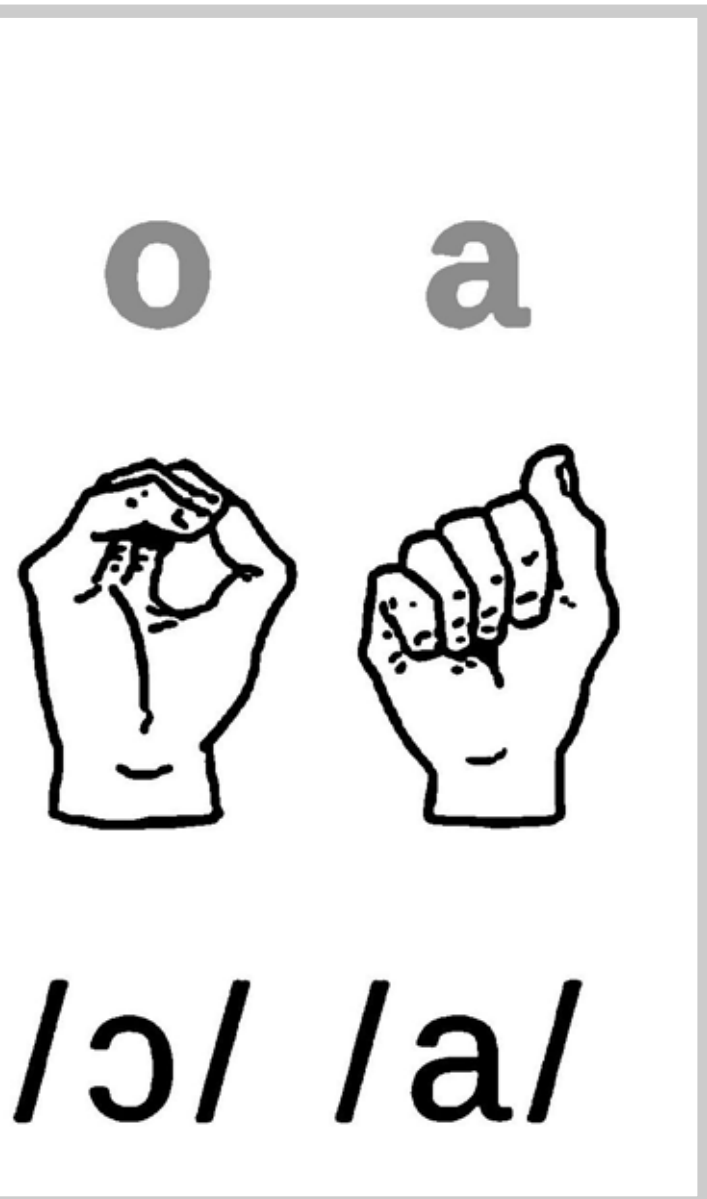
po polsku), ale polskie [ž] powinno w takiej sytuacji wystarczyć, byśmy zostali zrozumiani. Litera „ë” ma różne znaczenie w zależności od otaczających ją liter w wyrazie. Kreski lub kółka nad samogłoskami oznaczają długie samogłoski (polszczyzna nie rozróżnia długich i krótkich samogłosek). Charakterystyczna tylko dla słowackiego litera Ľ/ĺ to [lj], popularne w tym kraju imię Ludovít można po polsku odczytać [ljudo-wit]. Użycie apostrofu do oznaczenia głoski można też napotkać po niderlandzku, ale taki zapis oznacza tam coś innego – apostrof poprzedzony spacją to tam bardzo krótkie [e], najczęściej spotykane w częstotce „van t” [wanet] stanowiącej element nazwiska (np. reguła van t Hoffa).

W niektórych językach dodatkowych liter jest niewiele. Hiszpańskie n z tyldą, czyli „ñ”, można wymówić jak polskie „ń”. Po portugalsku jest już trudniej, gdyż dodatkowe elementy (trzy do wyboru) mogą mieć nad sobą wszystkie samogłoski, co oznacza akcent, a w ślad za nim często także modyfikację wymowy. Warto natomiast zapamiętać, że litera „ç” jest praktycznie zawsze czytana jako głoska zbliżona do [s]. Podobne znaki występują też po rumuńsku (to także język romański), ale mają inne znaczenie: „ș” to [sz], a „ț” – [c], zaś „ă” to dźwięk między [a] a [e], a „â” i „î” wskazują na dźwięk zbliżony do polskiego [y]. Po francusku można przyjąć, że „ç” to – jak po portugalsku – [s]; znaki nad samogłoskami modyfikują ich wymowę w stopniu nieistotnym dla osoby nieznającej francuskiego. W niektórych językach używane są zapożyczone z łaciny, tzw. ligatury, czyli połączenia dwóch liter: po francusku i po duńsku, szwedzku i norwesku „æ” (dźwięk między [a] a [e]), a tylko po francusku „œ” (dźwięk między [o] a [e]). Ortografia języków skandynawskich (nie piszę tu o islandzkim) zawiera też literę „ǿ” (długie [a]). Duńskie „ø” jest zbliżone do [e], szwedzkie „ä” (w odróżnieniu od niemieckiego) to dźwięk między [a] a [e], a „ö” (także inaczej niż po niemiecku) między [o] a [e].

Nie wolno zapominać o naszych sąsiadach Litwinach. Samogłoski „ą”, „ę” i „ų” oznaczają długie odpowiedniki tych samych samogłosek bez diakrytów. Spółgłoski „ć”, „ś” i „ź” są odpowiednikami naszych [cz] [sz] i [ż], znaki zapożyczone z czeskiego. Samogłoski „ů” i „y” oznaczają długie [u] i [i]. Litera „ě” to tzw. wąskie e (lit. e siauroji), oznacza dźwięk między [i] a [e]. Po fińsku mamy samogłoski „ä” (wymowa to po prostu [o]), „ä” (między [a] i [e], ale bliżej [a]) i „ö” (między [o] a [e], bliżej [e]).

Dobrze jest wreszcie mieć świadomość, że transkrypcją na języki zapisywane alfabetem łacińskim i jego modyfikacjami z języków, których użytkownicy posługują się innym alfabetami (grecki, ukraiński, rosyjski, białoruski i bułgarski; język serbski może być zapisywany zarówno cyrylicą serbską, jak i modyfikacją łacinki), jest zawsze tylko pewnym przybliżeniem. Opracowano wprawdzie systemy zapisu rosyjskiego, ukraińskiego i białoruskiego na alfabet łaciński, ale zasady transkrypcji (w tym na polski) nie są na nich oparte, np. litera „и” w cyrylicy rosyjskiej jest po polsku oddawana jako „szcz”, choć w wymowie przypomina raczej nasze [śc], zaś „ч” to po rosyjsku [ć], po ukraińsku w sąsiedztwie niektórych liter [cz], a innych [ć], a polsku jest ona oddawana jako „cz”.

Angielski wystarczy do komunikowania się w społeczności naukowej, ale nie uciekniemy przed poznawaniem innych języków, choćby tylko poprzez wymowę nazw i nazwisk, gdyż transkrypcja lub (w przypadku naszego języka ojczystego) spolszczenie dotyczy tylko niektórych, (niekonsekwentnie) wybranych. Sam odczuwam silną satysfakcję, gdy rozmawiam z badaczem z innego kraju, który chwali mnie za to, że poprawnie (a przynajmniej akceptowalnie) wymówiłem jego/jej nazwisko lub nazwę miasta, w którym pracują. Tymczasem gdy dzwonią Anglicy, zawsze pytają, jaka jest teraz pogoda [in Irosłof]. Już przywykłem, że mają wtedy na myśli Wrocław.



200 lat polskiej bajki dla dzieci

Mimo że bajka w literaturze polskiej pojawiała się już w tekstach średniowiecznych, to przez wieki powstawała na użytek czytelnika dorosłego. Utwory te zyskiwały coraz większą popularność dzięki wybitnym twórcom, m.in. Ignacemu Krasickiemu, Stanisławowi Trembeckiemu czy Adamowi Mickiewiczowi, jednak wciąż nie istniała odmiana tego gatunku dla dzieci. Jej twórcą został Stanisław Jachowicz.

Stanisław Jachowicz

Chory kotek

Pan kotek był chory i leżał w łóżeczku,
I przyszedł kot doktor: – jak się masz, koteczku?
– Żle bardzo... I łapkę wyciągnął do niego.
Wziął za puls pan doktor poważnie chorego
I dziwy mu śpiewa: – zanadto się jadło,
Co gorsza, nie myszki, lecz szynki i sadło,
Żle bardzo..., gorączka! Żle bardzo, koteczku!
Oj! Długo ty, długo, poleżysz w łóżeczku
I nic jeść nie będziesz, kleiczek i basta:
Broń Boże kielbaski, słoninki lub ciasta!
– A myszki nie można? – zapyta koteczek –
Lub z ptaszka małego choć z parę udeczek?
– Broń Boże! Pijawki i dieta ścisła!
Od tego pomyślność w leczeniu zawisa.
I leżał koteczek; kielbaski i kiszki
Nietknięte, z daleka pachniały mu myszki.
Patrzcie, jak złe łakomstwo! Kotek przebrał miarę,
Musiał więc nieboraczek srogą ponieść karę:
Tak się i z wami, dziecieczki, stać może,
Od łakomstwa strzeż was Boże!

Osiół i dzik

Osiół, zaślepion srodze, drwił sobie raz z dzika.
Dzik chciał zaraz na ćwierci rozszarpać nędznika,
A potem myśli sobie: wszak on rozum stracił.
Uśmiechnął się i tylko wzgardą mu zapłacił.
*Kiedy kto nierozsądny na cię potwarz miota:
Wstrzymaj zemstę, przebaczać – najpiękniejsza cnota.*

Red. M. Lutomiński

W 1824 roku w Płocku ukazał się zbiór wierszowanych bajek i powiastek Stanisława Jachowicza. Była to pierwsza na rodzimym rynku wydawniczym książka zawierająca literackie bajki w całości adresowane tylko do najmłodszych odbiorców. W okresie dwóch stuleci popularność tego rodzaju bajki nie słabnie; wprost przeciwnie, rozwija się, przybiera nowe formy i występuje w różnych odmianach.

Wieloznaczność terminu

Bajka jest jednym z najstarszych gatunków literackich, wywodzącym się z twórczości oralnej dla dorosłych. Ma różne oblicza i jest znana na całym świecie, zyskując niezwykłą popularność w opowieściach ustnych i pisanych, malarstwie, muzyce, teatrze, filmie czy reklamie. Bajka bywa źródłem mądrości, radości i siły, a także pomostem między pokoleniami, kulturami czy religiami.

Okazuje się, że autorzy, czytelnicy, słuchacze, nauczyciele i badacze (zwłaszcza folklorysty, literaturoznawcy, pedagodzy i psycholodzy) bardzo różnie rozumieją słowo „bajka”. Najkrócej rzecz ujmując, można zaobserwować kilka popularnych stanowisk. Pierwsze – za bajkę uznaje się każdy utwór, który ma szczęśliwe zakończenie. Drugie – bajka to każdy utwór, który czegoś uczy. Trzecie – bajka to każdy utwór literacki czy filmowy, który jest adresowany do dziecka. Czwarte – bajka to inna nazwa baśni.

W dydaktyce szkolnej bajkę rozumie się wąsko, natomiast w badaniach i dydaktyce akademickiej szeroko (takie ujęcie prezentuje również niniejszy artykuł). Bajka jest gatunkiem nadzwyczaj bogatym w odmiany, o czym pisali wielokrotnie m.in. Julian Krzyżanowski (zob. *Polska bajka ludowa w układzie systematycznym*, t. 1–2, 1962–1963) i Violetta Wróblewska (zob. pod red. tejże, *Słownik polskiej bajki ludowej*, t. 1–3, 2019). Nie sposób dokonać tu kompletnej typologii, pod którą zgodnie podpisaliby się nawet sami badacze. Na potrzeby niniejszego artykułu chciałbym tylko przypomnieć moim zdaniem kluczowe kryteria różnicujące bajki sensu largo: źródło (b. ludowa/literacka), forma (np. b. wierszowana/prozatorska, b. epigrama-

tyczna/narracyjna), funkcja (np. b. aitiologiczna, b. filozoficzna, b. komiczna, b. publicystyczna, b. satyryczna, b. terapeutyczna), właściwości (np. b. zwierzęca, b. magiczna, echobajka). Przy tej okazji należy jednak podkreślić, że utwory nazywane przez wieki bajkami (i/lub baśniami) nie powinny być a priori utożsamiane z utworami dla dzieci, jak to się dziś często zdarza.

Tylko dla dzieci

Mimo że bajka w literaturze polskiej pojawiała się już w tekstach średniowiecznych, to przez wieki powstawała na użytek czytelnika dorosłego (zob. *Bajka polska. Od Kadłubka do Herberta*, wyb. i oprac. W. Woźnowski, 1992). Utwory te zyskiwały coraz większą popularność dzięki wybitnym twórcom, m.in. Ignacemu Krasickiemu, Stanisławowi Trembeckiemu czy Adamowi Mickiewiczowi, jednak wciąż nie istniała odmiana tego gatunku dla dzieci. Jej twórcą został Stanisław Jachowicz (1796–1857), nauczyciel, pedagog, poeta, pisarz, dziennikarz i filantrop. Pierwszy zbiór utworów, zatytułowany *Bajki i powieści*, ukazał się w 1824 roku w Płocku drukiem Karola Kuliga i prawdopodobnie nakładem autora. (zob. M. Lutomiński, *Edycje bajek i powiastek Stanisława Jachowicza*, „Sztuka Edycji” 2020, nr 2). Tomik jest książką o niewielkich rozmiarach i zawiera 58 krótkich utworów, oryginalnych, tłumaczonych lub naśladowanych. Wśród nich znalazły się m.in. wielokrotnie przedrukowywane później wiersze, takie jak: *Siejba*, *Tadeuszek* czy *Stas*.

Jachowicz stale rozbudowywał swój zbiór wierszowanych utworów dla dzieci. Za życia autora zbiory jego bajek i powiastek (pod różnymi tytułami) ukazały się dziewięć razy. Z dwoma wyjątkami (w 1829 i 1855 r.) każde następne wydanie było poszerzone przez autora o kolejne wiersze. Poeta nie zmieniał swoich utworów, tylko wciąż dopisywał nowe, rozszerzając tym samym debiutancki zbiór wydany w Płocku.

Warto również podkreślić, że bajkowo-powiastkowa spuścizna autora *Chorego kotka* nie ukazała się w edycji naukowej czy popularnonaukowej. Utwory pierwszego polskiego bajkopisarza dla dzieci nie zostały jeszcze opublikowane z komentarzem historycznoliterackim. Natomiast autor *Chorego kotka* doczekał się wielu znanych i mniej znanych naśladowców, zwłaszcza w XIX i początkach XX wieku, takich jak m.in. Teofil Nowosielski, August Zaleszczyński, Władysław Belza).

Z ludowego źródła

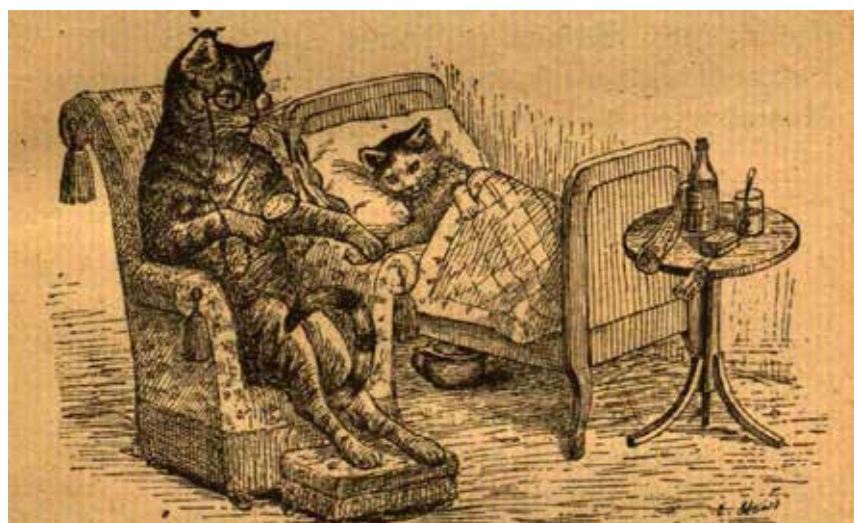
Obok bajek klasycznych (czerpiących z utworów przypisywanych Ezopowi czy utworów autorstwa Jeana de La Fontaine'a) od XIX wieku na ziemiach polskich

zaczęto publikować ludowe bajki magiczne (baśnie) w mniej lub bardziej udanych adaptacjach literackich adresowanych do odbiorców w różnym, także młodym, wieku. Niewątpliwie był to trend w kulturze zainspirowany działalnością Jakuba i Wilhelma Grimmów, a także wynikający z rodzimego podejścia do ludowości w poszczególnych okresach historycznoliterackich.

Jednak zbiory bajek takich zbieraczy i adaptatorów (czasem także autorów), jak m.in. Kazimierz Władysław Wójcicki (*Klechdy. Starożytne podania i powieści ludowe*, 1837), Roman Zmorski (*Podania i baśni ludu w Mazowszu*, 1852), Józef Antoni Gliński (*Bajarz polski*, 1853), trudno jest uznawać za literaturę dla dzieci sensu stricto. A z drugiej strony właśnie te książki inspirowały i wciąż inspirują pisarzy, którzy z ludowych opowieści tworzą literaturę piękną, wysokoartystyczną, adresowaną do dzieci i młodzieży. Mam tu na myśli m.in. Marię Konopnicką, Janusza Korczaka, Kornela Makuszyńskiego, Janinę Porazińską, Ewę Szelburg-Zarembinę, Hannę Januszewską, Wandę Chotomską, Joannę Papużyńską, Martę Berowską, Małgorzatę Strzałkowską, Roksanę Jędrzejewską-Wróbel i Małgorzatę Orlińską – autorkę wydanego niedawno *Współczesnego bazarza polskiego* (2021).



Fot. Marcin Lutomiński (ze zbiorów Towarzystwa Naukowego Płockiego)



Fot. Polonia

Ilustracja do bajki *Chory kotek* z książki Stanisława Jachowicza *Bajki. Powiastki. Pieśni*, opublikowanej w roku 1919 przez Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie

Gry z tradycją

Współcześni twórcy bajek (szeroko rozumianych) podejmują różne formy dialogu z tradycją tego gatunku, najczęściej rezygnując z dydaktyzmu bezpośredniego na rzecz pośredniego (ukrytego), a niekiedy także przekładając ludyczność nad dydaktyczność utworów. Mowa tu przede wszystkim o parafrazach i trawestacjach dawnych historii. Przełomowa w tym zakresie była twórczość Jana Brzechwy z czasów Polski Ludowej, autora nowych bajek zwierzęcych, a także nowych wersji baśniowej klasyki, m.in. *Jasia i Małgosi* (za czarownicę przebrała się pani pracująca w fabryce słodczy). Tym tropem literackim podążył m.in. Marcin Pałasz, który w 2012 r. opublikował zbiór *B@jki*, a w nim: *Złotą rybkę, Królową Śmieszkę, Zielonego Kapturka, Smoka (pod)wawelskiego i Babę Dżagę*. Natomiast Joanna Olech w bardzo oryginalny sposób opowiedziała historię o Czerwonym Kapturku, nawiązując do zapomnianej wersji Charlesa Perraulta i przekształcając ją we współczesny utwór o konsekwencjach braku zrozumienia, akceptacji i asertywności (*Czerwony Kapturek*, seria: *Niebaśnie*, 2005).

Interesująco na tle innych współczesnych bajek literackich dla dzieci wypadają echobajki. Nazwę tę wprowadziła Alicja Baluch w swojej książeczce dla dzieci (*Echobajki*, 1999), jak również w wywiadach i artykułach. Zwięźle rzecz ujmując, można powiedzieć, że jest to gatunek intertekstualny, „bajka z bajek”, czyli opowieść o nowej, oryginalnej fabule składającej się głównie z motywów zaczerpniętych z innych bajek, najczęściej bajek magicznych. Chciałbym jednak zaznaczyć, że poza powyższym wyjątkiem nie spotkałem się z tym, żeby autorzy i wydawcy echobajek posługiwali się tą nazwą. Za klasykę tego gatunku uważam dosyć długą i pod każdym względem wspaniałą opowieść Roksany Jędrzejewskiej-Wróbel *Małeńkie Królestwo królowny Aurelki* (2009, 2018). Zamiłowanie autorki do twórczych gier z tradycją bajkową potwierdzają również jej zaskakujące adaptacje baśni z cyklu *Siedem szczęśliwych. Baśnie nie dość znane*. Do ciekawych przykładów polskich echobajek można zaliczyć jeszcze m.in. *Czy znacie Wróżkę-Czarownicę?* Elżbiety Pałasz (2010), *Mam prawo i nie zawaham się go użyć* Joanny Olech i Edgara Bąka (2014, 2020) oraz *Awanturę w bajkach* Agnieszki Olejnik (2018).

Problemy z tekstami

Ze względu na uwolnienie niektórych tekstów bajkowej klasyki w ramach domeny publicznej czytelnicy mają dostęp do dziesiątek (a nieraz nawet setek) wydań teoretycznie tych

samych utworów. Po uważnej analizie okazuje się jednak, że spora część tych edycji jest przygotowywana niezbyt starannie.

Dlatego nawet w tak znanej bajce jak *Chory kotek* Jachowicza do tytułowego bohatera przychodzi człowiek doktor (zamiast „kota doktora”), który dziwy mu „prawi”, a powinien „śpiewać”. Niemało kłopotów dydaktyczno-wychowawczych pojawia się wówczas, kiedy czytamy bajki ludowe i spotykamy różne warianty tych samych opowieści (co jest kulturowo uzasadnione), które nierzadko zmieniają lub nawet zacierają sens opowieści.

„Bajki terapeutyczne”

Istnieje dziś w Polsce nurt badań, a przede wszystkim praktyk, wyzyskujących terapeutyczne walory dawnych i współczesnych bajek: bajkoterapia. To interesujące i niejednorodne zjawisko wymagałoby osobnego omówienia, w którym należałoby sięgnąć do wcześniejszych poglądów na temat bajek, m.in. Brunona Bettelheima (*Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni*).

Na potrzeby niniejszego artykułu warto chociaż wspomnieć, że za sprawą publikacji Marii Molickiej (badaczki, terapeutki i pisarki) od końca lat 90. XX wieku bajkoterapia stawała się coraz popularniejszą formą biblioterapii. Dawne i współczesne bajki są traktowane przez terapeutów, nauczycieli, a czasem też rodziców jako forma pomocy w rozwoju psychospołecznym dziecka, zwłaszcza problemach adaptacyjnych i lękach rozwojowych w okresie średniego dzieciństwa (między 3 a 6 rokiem życia). Do odbiorców w tym wieku są adresowane coraz liczniejsze książki z utworami nazywanymi bajkami terapeutycznymi.

Oto kilka spośród wielu tytułów wymienionych w kolejności chronologicznej: *Bajki terapeutyczne dla dzieci* (M. Molicka, 2000), *Zaczarowane bajki, które leczą. Dla dzieci i dorosłych* (A. Kozłowska, 2007), *Już się nie boję. Bajki terapeutyczne dla przedszkolaków* (J. Śniarkowska, 2014), *Bajkoterapia, czyli bajki-pomagajki dla małych i dużych* (tom wieloautorski, 2015), *Bajkomat. Nowe bajki plasterki na dziecięce rozterki* (J. Winięcka-Nowak, 2019), *Bajki pocieszanki. Opowiadania terapeutyczne dla dzieci borykających się z lękiem* (U. Dmitruk, 2023). Należy jednak podkreślić, że tylko sporadycznie mamy tu do czynienia z opowieściami o wysokich walorach artystycznych.

Mimo upływu 200 lat polskie bajki dla dzieci, zarówno oryginalne, jak i adaptowane, są wciąż popularne na rynku wydawniczym, choć z oczywistych względów mają zdecydowanie większą konkurencję – książkową czy filmową. Sięgając po bogate i różnicowane dziedzictwo bajkowe, warto zwracać uwagę nie tylko na tematykę i walory (artystyczne, wychowawcze, ludyczne, terapeutyczne), lecz także na edycję, zwłaszcza podstawę tekstową bajkowej klasyki. Oczywiście równie ważnym, ale odrębnym zagadnieniem są książkowe ilustracje do bajek.



Fot. Marcin Lutomiński (ze zbiorów prywatnych)

Marcin Lutomiński, dr filologii polskiej,
literaturoznawca, edytor, pracownik
Wydawnictwa Naukowego Uniwersytetu
Mikołaja Kopernika w Toruniu, członek
Pracowni Badań Kultury i Literatury Dziecięco-
Młodzieżowej UMK

Sabina Kowalczyk-Wesołowska

Na tropie staropolskiej wiedźmy

W I Rzeczypospolitej niektóre sprawy sądowe dotyczyły magii miłosnej, nieliczne skupiały się na mocy wróżebnej. Najczęściej oskarżano domniemane czarownice o uprawianie czarów gospodarczych i handlowych – szkodzenie ludziom, ich dobytкови i żywemu inwentarzowi, oraz o oszustwa związane głównie ze sprzedażą alkoholu. W dawnej Polsce rzadziej niż w innych krajach Europy pojawiały się oskarżenia o uczestnictwo w sabatach.

Dzisiaj postać czarownicy wykorzystuje się na różne sposoby. Ludzie bawią się jej wizerunkiem, parodiując wydzwięk typowych dla niej rekwizytów. Chętnie przebijają się za jakieś jej wyobrażenie albo wręcz z nią utożsamiają, głosząc przy tym ideę powrotu do natury i wagę więzi siostrzanych kręgów. Opowieści o lokalnych wiedźmach traktuje się jako rozrywkę dla turystów. W trakcie protestów kobiet zamieszczane były na sztandarach hasła nawiązujące do ofiar stosów. Jak te wszystkie działania mają się do wyobrażeń wiedźm zawartych na kartach staropolskiego piśmiennictwa?

Gdyby zapytać na ulicy przeciętnego polskiego przechodnia, która epoka przychodzi mu na myśl, gdy słyszy o tak zwanych polowaniach na czarownice, ten wskazałby najpewniej średniowiecze. W powszechnej świadomości to właśnie ono kojarzy się jednoznacznie z zafaniem, zabobonami i okrucieństwem (nad tak uproszczonym wyobrażeniem tej epoki zgodnie ubolewają badacze wieków dawnych). Krytykę kobiet praktykujących magię i ludzi wierzących w moc czarów rzeczywiście możemy odnaleźć między innymi w kazaniach żyjących na przełomie XIV i XV wieku Stanisława ze Skalbierza, Łukasza z Wielkiego Koźmina czy Marcina z Holeszowa. W XV-wiecznej *I Pieśni Sandomierzanina* znajduje się uwaga, by każdy w potrzebie udawał się do Boga, a nie „do czarownic przeklętych”. Obecnie jednak wiemy, że pierwsza znana nam śmiertelna ofiara oskarżona o uprawianie czarów zginęła na stosie dopiero w 1511 roku w Chwaliszewie. W XVI wieku oskarżeń o uprawianie magii i wyroków śmierci pojawiało się coraz więcej. Kumulacja procesów o czary w dawnej Polsce przypadła na ostatnią ćwierć XVII stulecia. Nie w średniowieczu więc, ale w renesansie i baroku, a nawet u progu oświecenia najsilniej wierzone w złowrogą moc czarownic, co przekłada się również na przedstawianie praktykarek w staropolskich tekstach.

O wiedźmach napisano już wszystko?

Rzesze kulturoznawców, historyków, etnografów, antropologów i wielu innych naukowców różnych humanistycznych dyscyplin zarówno w kraju, jak i za granicą poświęciło swe

prace czarownicom. Nie sposób więc traktować tego obszaru badań jako terra incognita. To z jednej strony ułatwia poszukiwania, ponieważ jest się do czego odnieść, z drugiej strony wymaga nakładów czasu i energii na zapoznanie się z bogatą literaturą przedmiotu.

Lektura publikacji badaczy z różnych dyscyplin uświadomiła mi kilka istotnych kwestii. Po pierwsze, owszem, sam temat jest często eksplorowany, ale przede wszystkim przez badaczy dziejów i znawców kultury. Stosunkowo dużo wiemy więc o wiedźmie znanej z akt spraw procesów o czary czy XIX- i XX-wiecznych wierzeń ludowych, ale nasza wiedza o ich literackich portretach w tekstach staropolskich jest znikoma. Po drugie, badania literaturoznawcze skupiające się na problematyce magicznej dotyczą przede wszystkim wróżebnych aspektów magii, a przy tym głównie kalendarzy oraz różnych utworów poświęconych tematyce astrologicznej; warto w tym wypadku zapoznać się chociażby z publikacjami Macieja Janika, Małgorzaty Krzysztofik, Danuty Kowalewskiej czy Bogdana Roka. O samych czarownicach można znaleźć informacje głównie na marginesie rozważań bądź w pojedynczych artykułach, między innymi Jerzego Krocza. Po trzecie wreszcie, nawet jeśli którykolwiek z badaczy odnosi się w swoich pracach do piśmiennictwa staropolskiego, powołuje się przeważnie na te same dzieła ściśle odnoszące się do tematyki czarów, takie jak: anonimowy moralizatorski udratyzowany tekst *Postępek prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu* (1570) oraz traktat *Czarownica powołana* (1639) czy sielanki *Czary Szymona Szymonowica* (XVI wiek) oraz *Odczary na Simonidesowe „Czary”* Jana Gawińskiego (XVII wiek). W polskim literaturoznawstwie brakowało całościowego ujęcia problematyki czarownic opisanych w piśmiennictwie staropolskim, które można by zestawić z dokonaniem historyków oraz badaczy kultury i religii. Podjęłam próbę wypełnienia tej luki.

Od przydatnej baby do poplecznicy czarta

W I Rzeczypospolitej nie od razu zaczęto dosłownie rozumieć i często przywoływać biblijną formułę z Księgi Wyjścia

„Nie pozwolił żyć czarownicy” (tłum. Biblii Tysiąclecia) oraz powtarzać o wiedźmach tezy w rodzaju „Wiemy, że od zawsze szkodziły one ludziom, zwierzętom i urodzajom”, prezentowane między innymi w słynnym inkwizytorskim podręczniku *Malleus maleficarum*, przetłumaczone na język polski przez Stanisława Ząbkowica w 1614 roku (*Młot na czarownicę*). Początkowo wszelkie znachorki czy baby traktowano stosunkowo łagodnie, mimo wyrażanej wobec nich dezaprobaty przez przedstawicieli środowisk duchownych czy medycznych. Wzbudzały one strach, ale też ciekawość, nieraz darzono je zaufaniem. Udawano się do nich po porady miłosne, zwracano o pomoc w walce z chorobą, proszono o przepowiedzenie przyszłych zdarzeń.

Sami władcy, tacy jak Zygmunt August i Zygmunt Stary, utrzymywali na swoich dworach wiedźmy, radząc się ich w różnych sprawach. Co ciekawe, w murach Akademii Krakowskiej astrologią i alchemią (dziedzinami dziś kojarzonymi z magią, dawniej traktowanymi jako pogranicze nauki i magii) zajmowały się najwybitniejsze umysły I Rzeczypospolitej, w tym słynny na całą Europę Michał Sędziwój. Nawet Zygmunt III Waza łączył w sobie, wydawałoby się, sprzeczne wartości: głęboką katolicką wiarę z wielkim zamiłowaniem do alchemii. Dla czego w związku z tym w dawnej Polsce z czasem wzmożła się wiara w demoniczną naturę i złowrogą aktywność wiedźm?

Przyczyn takiego stanu rzeczy podawanych jest wiele. Wskazuje się między innymi na rozwój w XVI i XVII wieku postaw mizoginicznych, których korzenie sięgają jeszcze starożytności i średniowiecza, oraz patriarchalny system sytuujący kobiety na niskiej pozycji zarówno w środowisku państwowym, jak i rodzinnym. Wielkim źródłem społecznych niepokojów były konflikty wyznaniowe (spowodowane ruchami reformacyjnymi i kontrreformacyjnymi), wzrastająca inflacja, zwiększająca się w wyniku ubożenia społeczeństwa liczba wzbudzających niepokój ludzi wędrownych, w tym żebraków, bab i Cyga-

nów. Ludzie czuli coraz większą niechęć do Żydów zajmujących w dawnej Polsce uprzywilejowaną pozycję. Do tego groźba nadchodzących wojen, głodu i epidemii (szczególnie odczuwalna na przełomie XVI i XVII wieku) oraz związane z tym liczne przepowiednie wieszczące nadchodzący koniec świata wpływały na potrzebę znalezienia kozłów ofiarnych, które można by obarczyć odpowiedzialnością za wszystkie krzywdy. Polowania na wiedźmy urządzone w sąsiednich państwach (szczególnie w Niemczech), nauki Kościoła, zagraniczna literatura demonologiczna coraz częściej tłumaczona na język ojczysty oraz rozpowszechnione w całej Europie przekonanie o wpływie demonicznych sił na ówczesną rzeczywistość sprzyjały rozwojowi wiary w to, że wszelkie dotychczas swojskie i przeważnie pomocne baby mają bliskie kontakty z diabłem i zagrażają innym ludziom. A jeśli zagrażają, należy je zniszczyć.

Śmierci są godne

W I Rzeczypospolitej niektóre sprawy sądowe dotyczyły magii miłosnej, nieliczne skupiały się na mocy wróżebnej. Najczęściej oskarżano domniemane czarownice o uprawianie czarów gospodarczych i handlowych – o szkodenie ludziom, ich dobytкови i żywemu inwentarzowi, oraz o oszustwa związane głównie ze sprzedażą alkoholu. W dawnej Polsce rzadziej niż w innych krajach Europy pojawiały się oskarżenia o uczestnictwo w sabatach.

Domniemane czarownice przed samym procesem nieraz poddawano próbie wody bądź igły. W trakcie przesłuchań zaś próbowano zmusić do przyznania się do winy, stosując tortury i zadając ciąg natarczywych, powtarzających się pytań. Wyroki śmierci obejmowały głównie odebranie życia poprzez spalenie na stosie (czasem przed wykonaniem wyroku kobietę duszono lub dekapitowano).

W naszym kraju w sądowniczej działalności inspirowano się w dużej mierze prawodawstwem niemieckim, a wyroki ferowano przeważnie na podstawie odpowiednich zapisów zawartych w *Constitutio Criminalis Carolina* i *Zwierciadle saskim*. Dziś uznaje się, że najwięcej procesów miało miejsce na terenie Wielkopolski. Najstarszy z procesów świeckich miał miejsce najprawdopodobniej w 1436 roku w Poznaniu. Pierwszy znany wyrok śmierci zapadł w Chwaliszewie w 1511 roku. Historycy nie są dziś zgodni w kwestii ostatniego procesu na ziemiach polskich. Najprawdopodobniej miał on miejsce w latach 70. lub 90. XVIII wieku (wymienia się przy tym najczęściej sprawę z Doruchowa, Poznania lub Bełżyc), a więc tuż przed konstytucją sejmową zatytułowaną *Konwicyje w sprawach kryminalnych* z 1776 roku bądź kilka lat po niej. Dokument znosił możliwość stosowania tortur i wydawania wyroków śmierci w sprawach związanych z oskarżeniami o uprawianie magii. Mimo to znane są przypadki samosądów i nieoficjalnych procesów o czary urządzanych nawet w XX wieku.

Obecnie polscy badacze dziejów zgodnie stwierdzają, iż w dawnej Polsce wyroków śmierci i samych procesów o czary było znacznie mniej niż zakładano chociażby w XX wieku (obalono w ten sposób tezę Bohdana Baranowskiego). Liczba procesów w I Rzeczypospolitej sytuowała się na tle Europy pośrodku: jest niższa w stosunku do liczby podobnych spraw w Niemczech, Francji czy Szwajcarii i wyższa niż w Hiszpanii czy we Włoszech.

W naszym kraju ofiarami stosów były przeważnie kobiety. W piśmiennictwie XVI i XVII wieku to również głównie płeć żeńską kojarzono z magiczną działalnością. Przy tym należy podkreślić, że o czarownicy w tych stuleciach pisali mężczyźni. Poznajemy więc dość jedno-



Karta tytułowa Czarownicy powołanej, wyd. z 1639 roku

stronną wizję świata z uwagi na to, że tylko nieliczne kobiety potrafiły wówczas czytać i pisać, a praktycznie żadne nie podejmowały tematyki wiedźm (pojedyncze wzmianki o babach pojawiają się jedynie w tekstach zakonnich).

Niejedno ma imię

Wszelkich możliwych wątków z czarownicami w tle poszukiwałam w tekstach użytkowych i literackich. Wzięłam pod uwagę nie tylko powszechnie uznane arcydzieła, ale też twórczość mniej znaną, nieraz na polu grafomańskiej. Przy tym bazaowałam na bibliografiach naukowych oraz wskazówkach zawartych w publikacjach innych badaczy. Prowadziłam kwerendy (między innymi w Bibliotece Narodowej w Warszawie i Polskim Towarzystwie Ludoznawczym we Wrocławiu). Ponadto analizowałam zasoby repozytoriów cyfrowych. W tym wypadku w odnajdowaniu fragmentów poświęconych wiedźmom pomógł mi program napisany przez mojego męża, Grzegorza Wesołowskiego, identyfikujący synonimy określające kobietę praktykującą magię (takie jak *wiedma*, *baba*, *latawica*, *zwodnica* czy *mierzienica*). Każde z takich określeń również niosło ze sobą nieco inne znaczenie, a tym samym wzbogacało portret dawnej czarownicy o kolejne cechy.

Okazało się, że w zdecydowanej większości przypadków wiedźmy były postaciami epizodycznymi albo funkcjonowały nie jako bohaterki, a pewna figura stylistyczna, a nawet... obelga. Przykładowo Jan Andrzej Morsztyn w wierszyku *O Marku* podkreślał, że tytułowy bohater miał żonę tak brzydką, że robił wszystko, by w nocy nie musieć się „podle przemierzłej ukłaść czarownicę”.

Raz wiedźmy były wykwittem wyobraźni autora, innym razem stanowiły zapożyczenie z literatury obcej bądź mitologii grecko-rzymskiej. Zdarzało się i tak, że ktoś w swoim tekście wspominał postacie historyczne oskarżane o uprawianie magii (Zuzannę Orłowską czy Roksolanę) oraz znane mu z życia baby handlujące rzekomymi talizmanami czy wróżące za pieniądze. W piśmiennictwie portretowane były więc i postacie znane z tradycji mitologicznej czy biblijnej, i bohaterki fikcyjne, i te kobiety, które uważały się za wiedźmy bądź świadomie udawały je w prawdziwym życiu w celach zarobkowych.

Wpływ na sposób przedstawiania czarownicy miała również biografia autora, jego przynależność do danej grupy społecznej oraz typ uprawianego przez niego piśmiennictwa. Wymienione czynniki znacząco różnicowały sposób przedstawiania żeńskich postaci praktykujących magię. Nieraz zdarzało się, że nawet przedstawiciele tego samego środowiska prezentowali zupełnie odmienne zdanie na temat czarownic, odnosząc się przy tym pośrednio do samych procesów. Szczególnie interesujące jest zestawianie stanowisk osób duchownych. Kaznodzieja królewski i dominikanin Fabian Birkowski głosił surowo: „Skąd rozumieć możesz, iż czarownicy i czarownice śmierci są godne i nie mają miejsca w rzeczachpospolitych”, zaś jezuita Tomasz Młodzianowski jednoznacznie ganił wiarę w możliwość uprawiania magii, przekonując przy tym, że za śmierć bydlę, alkoholizm, kłótnie czy choroby odpowiedzialni są nie wiedźmy i diabeł, a sami ludzie. Dowodził: „O! nie czary to są, nie czary, ale złość ludzka i ludzkie grzechy, co do frasunku nawet za życia już nas przywodzą”. W tekstach dawnych czytelnik znajdzie odrażającą i siejącą groźę Kanidyję znaną w naszym kraju z ód Sebastiana Petrycego z Pilzna, a przeszczepioną na grunt Polski z poezji Horacego, ale też piękną uwodzicielską Armidę opisaną w eposie *Gofred abo Jeruzalem wyzwolona* przez Piotra Kochanowskiego (wybitnej, spolszczonej wersji dzieła Torquata Tassa). Z kolei czytając

teksty sowizdrzałów, poznajemy wzbudzającą śmiech i politowanie wiedźmę rzucającą nonsensowne zaklęcia, parodiującą rytuały oraz wysmiewaną przez samego diabła.

Lektura staropolskiego piśmiennictwa prowadzi również do interesujących obserwacji, w jaki sposób nasi przodkowie przenosili do polskiej literatury czarownice znane z mitologii czy Biblii. Każda z nich pełniła w tekstach określone funkcje. Przykładowo bohaterka *Księgi Samuela*, wiedźma z Endor, wykorzystywana była w walkach z reformacją. Stanowiła symbol największej herezji i grzechu oraz wystąpienia przeciwko Boskim prawom. Z kolei opisana między innymi w *Odysei* Homera Kirke stała się w I Rzeczypospolitej uosobieniem pijaństwa i określeniem przydawanym polskim szynkarkom, które podając w karczmach alkohol, zmieniały tym samym metaforycznie zachowania mężczyzn na zwierzęce. Już zaledwie tych kilka przykładów pokazuje, z jak wielowymiarowym portretem wiedźmy w piśmiennictwie dawnym mamy do czynienia.

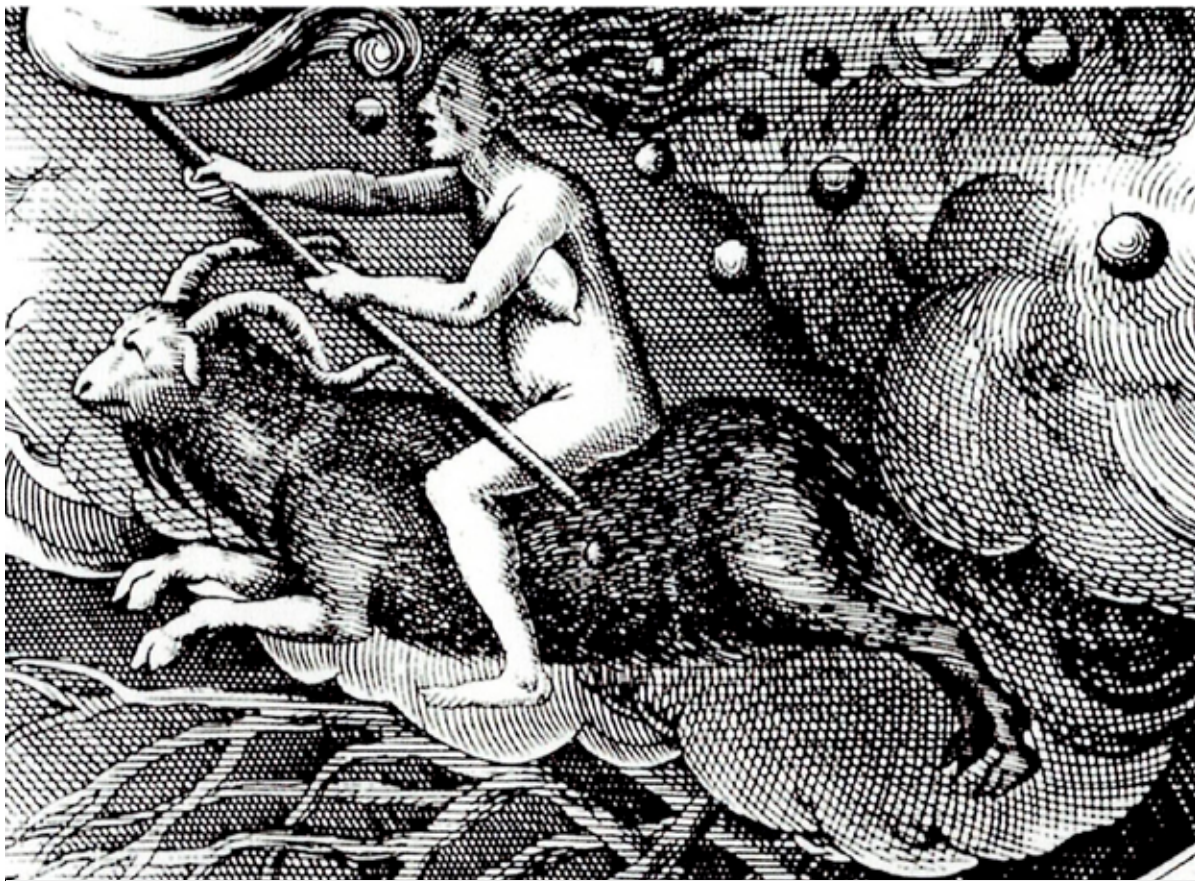
Ożóg zamiast mioty

Lektura tekstów z XVI i XVII wieku dowodzi, że nasi przodkowie nie zawsze wyobrażali sobie wiedźmę tak, jak myślimy o niej dzisiaj. Co prawda czarownica mieszkała w dzikich ostępach, zasiedlała góry, cmentarze, rozdroża, a więc miejsca powszechnie przypisywane tej postaci. W magii nieraz wykorzystywała zaczarowane jabłka znane nam z baśni. Bywała niezwykle urodziwa, jak i straszliwie brzydka, młoda i stara – w zależności od tego, czy miała uwodzić, czy też straszyc – podobnie jak w wytworach współczesnej popkultury.

Jednocześnie zdecydowanie częściej ukazywano ją jako istotę zależną emocjonalnie od mężczyzny (kierowała się często zazdrością, zawiedzioną miłością i chęcią zemsty za wyrządzone krzywdy; czasem pod wpływem ukochanego zmieniała



Karta tytułowa polskiego wydania *Malleus Maleficarum* w tłum. S. Ząbkowica, 1614



P. Bruegel Starszy, Czarownica przecinająca niebo na plecach Kozła (fragm.), akwaforta Hieronymusa Cocka, XVI w.

całkowicie swoje poglądy czy wiarę) oraz fizycznie od diabła (głównego pomocnika, kochanka i źródła mocy). Jeśli ukazywano niezależność wiedźmy od demona oraz jej władzę nad nim, to zwykle po to, by podkreślić, że jak silnym wrogiem (silniejszym od szatana!) ludzie zmuszeni są walczyć. Całą odpowiedzialnością za wyrządzone szkody można było wówczas obarczyć czarownicę. Nieraz przy tym pojawiały się głosy takie jak ten Jakuba Kazimierza Haura, autora traktatu gospodarczego *Skład albo skarbiec...*, który ubolewał, że biedne, naiwne kobiety oddają się diabłu, podczas gdy ten nie tylko im nie pomaga, „ale tylko szyderstwo i pośmiewisko z swoich czyni czarownic”.

Poza zamieszkiwaniem typowych dla bab miejsc, staropolscy autorzy podkreślali, że wiedźmy zasiedlają tereny kojarzone z wrogimi grupami czy nacjami (taka tendencja jest szczególnie zauważalna w XVII, przepełnionym różnorodnymi konfliktami, stuleciu). Czarownica przebywała więc w protestanckich zborach na terenie I Rzeczypospolitej, ale mieszkała też w Szwecji, na Rusi, w Turcji, na Zaporozżu. Chętnie latała do Kijowa – co ciekawe, nie na miotle (jak dziś to sobie wyobrażamy), lecz na kijach, a dokładnie na ożogach służących do poprawiania bierwion w piecach. Nieraz powód, dla którego wskazywano poszczególne miejscowości, może zdumiewać współczesnego czytelnika. Przykładowo Maciej Kazimierz Sarbiewski dowodził, że centrum czarostwa jest Wiedeń, sama nazwa miasta miała pochodzić od słowa *wiedma*.

Staropolskie wiedźmy utożsamiały nieraz egzotyczne magiczne rośliny z rodzimymi gatunkami porastającymi okolicy. W dawnej Polsce mandragorę symbolizował pokrzyk wilcza jagoda, któremu przypisywano wszystkie właściwości słynnej rośliny, w tym korzeń w kształcie ludzkiej sylwetki, krzyk podczas wrywania z ziemi i wielką moc. Niezmiernie rzadko czarny kot był towarzyszem baby, znacznie częściej otaczała się

ona zwierzętami i bestiami kojarzonymi ze śmiercią (jaszczurkami, żabami, insektami, kretami) bądź sferą seksualną i grzechem (kozy, smok). Nietoperze z kolei często były składnikami miłosnych wywarów.

Wymienione wyżej wyróżniki to tylko nieliczne elementy wizerunku naszej czarownicy. W książce piszę chociażby również o bogatym repertuarze rytuałów, zaklęć i rodzajach magii staropolskich wiedźm. Portret tej postaci jest niezwykle złożony i przez to jeszcze bardziej fascynujący.

W przyszłości

Zgłębianie piśmiennictwa staropolskiego to niezwykle podróż w świat przekonań naszych przodków. Poznawanie przeszłości umożliwia również bardziej dogłębne zrozumienie tego, co dzieje się wokół nas dzisiaj. Dotychczasowe poszukiwania przekonały mnie, że w XXI wieku tylko nam się wydaje, że wiemy już wszystko. Dawne wieki wciąż kryją w sobie wiele tajemnic, które tylko czekają na odkrycie. Wszystko to zachęca mnie do badania fenomenu wiedźmy także w oświeceniu oraz w początkach XIX wieku, kiedy polscy autorzy z jednej strony stopniowo zwracali się ku racjonalizmowi, ale też byli zafascynowani wierzeniami ludu. W kolejnych stuleciach wyobrażenia mężczyzn wzbogacają literackie portrety wiedźm tworzone przez coraz liczniejsze grono kobiet autorek, co również daje podstawę do prowadzenia interesujących literaturoznawczych analiz i badań komparatystycznych.

Artykuł oparty na badaniach opublikowanych w monografii *Wizerunek wiedźmy w piśmiennictwie staropolskim XVI i XVII wieku*, Kraków 2023.

Dr Sabina Kowalczyk-Wesołowska, Katedra Literatury Polskiej,
Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Warmińskiego-Mazurskiego w Olsztynie

Artur Wolski

Sztuczna inteligencja oszczędzi czas lekarzowi

Jestem przekonany, że nowa aplikacja zaoszczędzi lekarzowi czas konieczny do sporządzenia dokumentacji medycznej. Znaczna część tego procesu będzie się toczyć automatycznie, z nagrywaniem głosu i wydawaniem systemowi komend słownych, umożliwiając lekarzowi „oderwanie się” od klawiatury.

„Niezajomość dobra prowadzi do zła” – mówił ojciec europejskiej filozofii Sokrates (V w p.n.e.). W medycynie nawet niewielki błąd w diagnozie, zła interpretacja badań, niewłaściwie dobrany lek i dawka mogą prowadzić do poważnych konsekwencji ze śmiercią chorego włącznie. Czy w XXI w. sztuczna inteligencja wsparta systemami multimedialnymi pozwoli skuteczniej leczyć, poprawi jakość dokumentacji medycznej i wygeneruje dodatkowy czas w pracy lekarza, który zostanie wykorzystany na podniesienie jego kwalifikacji zawodowych oraz na lepszy kontakt z pacjentem? Naukowcy wierzą, że tak będzie, poszukując dobra w nauce, które posłuży ludzkości.

Obecny system sporządzania dokumentacji medycznej zabiera lekarzowi bardzo dużo czasu niezależnie od tego, czy jest to oddział kliniczny, sala operacyjna, oddział ratunkowy, pracownia diagnostyczna czy też przychodnia. To niestety ogranicza lekarzom możliwości kontaktu z chorym. Dotyczy to zwłaszcza wizyt w gabinecie.

To opinia prof. dr. hab. Krzysztofa Narkiewicza, kierownika Kliniki Nadciśnienia Tętniczego i Diabetologii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego. Wpisywanie danych medycznych do komputera i wynikający z tego utrudniony kontakt wzrokowy podczas zbierania wywiadu może sprawiać wrażenie, że lekarz skupia się na systemie informatycznym, a nie na rozmowie z chorym. Ostatnią rzeczą, o której marzy chirurg po wyczerpującej operacji, jest siadanie przy komputerze i uzupełnianie dokumentacji medycznej, dodaje prof. Krzysztof Narkiewicz.

Co było impulsem do podjęcia wyzwania inżynierskiego mającego usprawnić pracę lekarza?

Do podjęcia wyzwania zachęcił nas ogłoszony przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju IV konkurs INFOSTRATEG

na projekty tematyczne – mówi prof. dr hab. inż. Andrzej Czyżewski z Katedry Systemów Multimedialnych, Wydział Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki Politechniki Gdańskiej. Program INFOSTRATEG został przygotowany, by wspierać rozwój polskiego potencjału sztucznej inteligencji (SI) poprzez opracowanie rozwiązań wykorzystujących sztuczną inteligencję i blockchain, mających bezpośrednio zastosowanie w praktyce. Złożyliśmy wniosek z zastosowaniem sztucznej inteligencji dla lekarzy, który obecnie realizujemy, oczywiście po akceptacji konkursowej NCBR. Tytuł projektu, którego jestem kierownikiem, to: ADMEDVOICE – Adaptacyjny system inteligentnego przetwarzania mowy lekarzy wraz ze strukturalizacją wyników badań i wspomaganie procesu terapeutycznego.

Warto dodać, że tematyka wagi zmysłów w komunikacji była poruszana też i przez filozofów. Np. Arystoteles (IV wiek p.n.e.) mówił, że „nic nie jest w umyśle, czego wcześniej nie było w zmysłach”. I mimo upływu dwóch tysięcy lat człowiek nadal kontaktuje się zmysłowo z otoczeniem. Niechlubnym wyjątkiem jest jednak praktyka lekarska, która kontakt zmysłowy zamieniła w biurokratyczny. Lekarz zamiast rozmawiać z chorym, słuchać jego głosu i patrzeć mu w oczy, swój wzrok kieruje na ekran komputera, wypełnia ogrom administracyjnych procedur. Medycy robią to w gabinetach lekarskich, na salach operacyjnych, niestety nawet w szpitalnych oddziałach ratunkowych. Od lat współpracuję z wieloma wybitnymi lekarzami różnych dyscyplin medycznych, którzy akcentują ten problem. Zwracał na to moją uwagę m.in. prof. Henryk Skarżyński, światowej sławy otolaryngolog, audiolog i foniatra, twórca i dyrektor Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu oraz Światowego Centrum Słuchu w Kajetanach. I zawsze słyszę, mówi prof. Andrzej Czyżewski, że lekarze ubolewają na ciągły brak czasu



Prof. Andrzej Czyżewski

dla pacjenta i chociaż minimum rozmowy z nim, bo muszą wypełnić tomy dokumentacji medycznej. Najbardziej męczące jest wielogodzinne siedzenie w opisowni po zakończonej operacji i tworzenie całych historii pozabiegowych. Mnie, inżynierowi, przychodzi natychmiast taka myśl do głowy: a co by było, gdyby tworzyć takie dokumentacje np. w trakcie zabiegu? Wtedy nie trzeba by rozpisywać czasu lekarza podwójnie: raz na zabieg, a potem na opis. Przecież to modelowy przykład złej logistyki pracy.

Panie profesorze, czy projekt, nad którym pracuje duży zespół naukowców, wniesie coś pozytywnego również i dla pacjenta? Jeśli tak, to co się zmieni?

Tworzona głosowo dokumentacja będzie dokładniejsza, co da większą wiedzę o chorobie i możliwość skuteczniejszego podjęcia działań diagnostyczno-leczniczych w celu przywrócenia zdrowia. Oczywiście można zarzucić takim opisom zbyt rozbudowany charakter przypominający raczej wypracowanie a nie lakoniczny zbiór informacji medycznych. Dziś nie stanowi to jednak problemu, bo dysponujemy w komputerze narzędziami do obróbki tekstów, potrafiącymi streszczać informacje czy wyszukiwać słowa kluczowe. Reasumując: pacjent będzie miał więcej kontaktu bezpośredniego z lekarzem, który nie utonie w komputerze przy wypełnianiu dokumentów, a tworzona dokumentacja medyczna chorego będzie bardziej szczegółowa, co może mieć niebagatelne znaczenie przy np. długotrwałym leczeniu lub występowaniu wielu chorób towarzyszących. A słowa-klucze mogą przydać się przy kolejnych zlecanych badaniach, aby trafnie postawić diagnozę i rozpocząć skuteczne leczenie.

Jaki jest konkretnie cel projektu?

65 procent swojego czasu pracy lekarz poświęca na tworzenie dokumentacji. Chcemy, aby dzięki naszemu projektowi

z wykorzystaniem sztucznej inteligencji czas ten mógł przeznaczyć na rozmowę i kontakt z chorym.

W raporcie *The Future of Jobs Report 2023*, opublikowanym przez World Economic Forum, umiejętność komunikacji jest wymieniana jako jedna z głównych kompetencji potrzebnych w miejscu pracy, w kontekście zachodzących zmian technologicznych i społecznych. W tym samym badaniu ponad 75% pracodawców deklaruje, że wdroży sztuczną inteligencję w ciągu najbliższych pięciu lat. Tak więc polska nauka wpisuje się w trendy rozwoju światowych badań nad sztuczną inteligencją, której aplikacje znajdą zastosowanie w medycynie – dodaje prof. Andrzej Czyżewski.

Realizacja projektu rozłożona jest na etapy. Jakie?

Nasza praca rozpisana jest na kilka etapów, w których uwzględniamy rozpoznanie mowy a następnie tak zwaną „obróbkę” pozyskanych tekstów. Konkretnie są trzy fazy: pierwsza to zebranie mowy kilkudziesięciu lekarzy reprezentujących dziesięć specjalności medycznych z silną reprezentacją kardiologii z uwagi na włączenie do procesu badawczego zespołu prof. Krzysztofa Narkiewicza. Mamy już zebranych i nagranych przez medyków ponad 20 tysięcy takich tekstów, a pochodzą one z prawdziwych dokumentacji medycznych. Dla zapewnienia bezpieczeństwa danych wrażliwych teksty zostały zanonimizowane. Próby z wykorzystaniem istniejących już systemów sztucznej inteligencji, ale bez uwzględnienia języka polskiego, wypadły niepomyślnie. Było od 20 do 60% błędów, co całkowicie przekreślało wykorzystanie istniejących już opracowań. Dlaczego? Bo polski język medyczny zawiera nie tylko skomplikowane nazwy chorób, czasem inaczej brzmiących niż np. w języku angielskim, niemieckim, hiszpańskim czy francuskim. Mamy też tysiące nazw handlowych leków występujących tylko na polskim rynku medycznym. Dodatkowo w tekstach pojawia się wiele skrótów medycznych, które są oczywiste w konkretnej specjalizacji, ale już mało czytelne dla lekarzy pracujących w innych działach medycyny. Tak więc to mocno komplikowało stworzenie bezpiecznego opracowania, które nie będzie popełniało nawet minimalnych błędów. Pamiętajmy, że błąd może kosztować utratę ludzkiego życia. Wtedy przecież lekarz szybciej napisze to ręcznie, niż będzie tracił czas na poprawianie pojawiających się błędów w komputerze. Krótko mówiąc, w pierwszej fazie chodziło o stworzenie tak zwanego korpusu mowy. Jako bazę wykorzystujemy tu: słowniki schorzeń pobrane z oficjalnych stron Ministerstwa Zdrowia, międzynarodową klasyfikację chorób, wykaz leków czy teksty z największego szpitala klinicznego, czyli Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego w Gdańsku. Nasz projekt będzie trwał jeszcze dwa lata i przewidujemy stały proces wzbogacania bazy i douczania systemu, aby mógł stać się częścią systemu medycznego CGM CLININET HIS, który jest doskonałym przykładem współpracy doświadczonych lekarzy i programistów. Stworzone oprogramowanie umożliwia zarządzanie pracą całego szpitala w sposób elektroniczny. I to wszystko z zachowaniem maksymalnego bezpieczeństwa dla danych wrażliwych. Warto wspomnieć, że dodatkową trudnością w tym etapie było pokonanie braku umiejętności lektorskich u lekarzy w przekazywaniu i nagrywaniu tekstów. Czytają oni niewyraźnie i w taki sposób, który nie nadaje się do wytrenowania algorytmów sztucznej inteligencji.

Najlepsze warunki do nagrań głosowych są zawsze w studiach radiowych czy wyspecjalizowanych studiach telewizyjnych. A jak poradzą sobie państwo z nagraniami, które np. lekarz będzie realizował w maseczce chirurgicznej na sali operacyjnej albo na konsylium lekarskim, gdzie

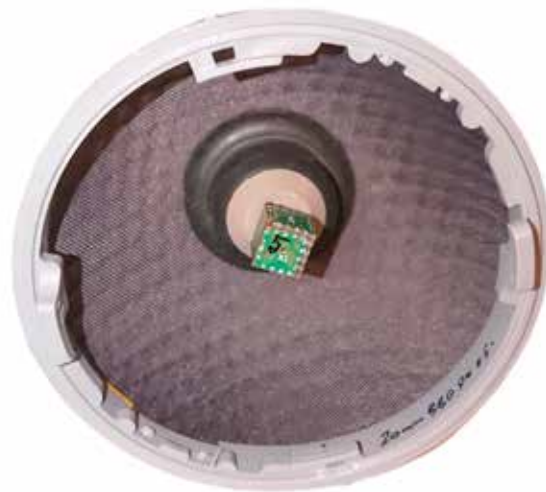
równolegle obecnych i mówiących jest kilkunastu specjalistów? Czy tu rozwiązaniem będzie sonda akustyczna?

Tak, to prawda, sonda akustyczna, którą wynaleźliśmy i opatentowaliśmy na Politechnice Gdańskiej, jest naszym silnym argumentem wzmacniającym wagę i znaczenie realizowanego projektu. To jest niewielkie i, co ważne, niedrogie urządzenie. Zastępuje wielomikrofonowe systemy, bo przy nagrywaniu zawsze jest problem z mową równoległą, gdy kilka osób mówi w tym samym czasie. A taka sytuacja jest na sali operacyjnej czy w szpitalnych oddziałach ratunkowych. Gdyby nie było sondy akustycznej, to każdy mówca musiałby być omikrofonowany osobno. W sytuacji dużego napięcia, gdy najważniejszą sprawą jest ratowanie ludzkiego życia, nikt nie będzie zajmował się przypinaniem niewysterylizowanych mikrofonów do kitli operatorów. Nasza sonda akustyczna potrafi pobierać głosy z różnych kierunków i od różnych osób oraz rejestrować je osobno. Powstały zapis jest czytelny i zrozumiały. Każdy z tych głosów może być przekładany z mowy na tekst i uzyskujemy osobne zapisy dla wszystkich mówców.

A co przewidziano do realizacji w fazie drugiej i trzeciej?

Druga faza to trening sieci neuronowych, aby efektywnie rozpoznawały polską mowę lekarską. Jest taka dziedzina wiedzy nazywana przetwarzaniem języka naturalnego. Lekarz, mimo że posługuje się nomenklaturą medyczną, jednak nie jest robotem i często mówi, dyktując opisowo, w sposób naturalny. Natomiast rozpoznanie kontekstu i tego, o czym mówi, spoczywa na sztucznej inteligencji, która wyławia słowa kluczowe i bada ich układ w celu zrozumienia intencji lekarza.

Trzecia faza to rozumienie treści w taki sposób, żeby komputer podsuwał lekarzowi odpowiednie części formularza two-



Fot. Andrzej Czyżewski

Sonda akustyczna

rzonej dokumentacji medycznej. System sam rozpoznaje, kiedy ma być np. skierowanie, recepta czy zaciągnięcie z baz szpitalnych danych patomorfologicznych chorego. Sprawne działanie systemu pozwoli lekarzowi zaoszczędzić dużo czasu przy tworzeniu opisów i ograniczy szukanie w poszczególnych zakładkach właściwych druków, które trzeba wypełnić.

Jak, będąc lekarzem, koordynatorem zespołu lekarskiego projektu ADMEDVOICE, ocenia pan możliwości wykorzystania zaoszczędzonego czasu lekarza po wprowadzeniu aplikacji? – pytam prof. Krzysztofa Narkiewicza.

Jestem przekonany, że nowa aplikacja zaoszczędzi lekarzowi czas konieczny do sporządzenia dokumentacji medycznej. Znaczna część tego procesu będzie się toczyć automatycznie, z nagrywaniem głosu i wydawaniem systemowi komend słownych, umożliwiając lekarzowi „oderwanie się” od klawiatury.

A jak z perspektywy praktyka ocenia pan znaczenie komunikacji medycznej między lekarzem a chorym w procesie diagnostyki, leczenia i rehabilitacji?

Moim zdaniem umożliwi to nie tylko łatwiejsze zbieranie i przechowywanie informacji medycznych, ale przede wszystkim da większą możliwość komunikacji z chorym: wsłuchania się w jego wątpliwości, udzielenia odpowiedzi na zadane pytania, wytłumaczenia opcji diagnostycznych i terapeutycznych czy też motywowania chorych do przestrzegania zaleceń. To niezwykle ważne dla budowania więzi chory – lekarz. Bez tego nie ma sukcesu leczenia i to we wszystkich chorobach.

Reasumując: czy nauka w projekcie ADMEDVOICE oprócz rozwiązań inżynierskich szuka również pierwiastków humanistycznych, czyli tych dobrych i najlepszych działań, które mogą posłużyć ludzkości w ochronie i wzmocnieniu ludzkiego zdrowia?

Zdecydowanie tak, odpowiada prof. Andrzej Czyżewski z Politechniki Gdańskiej, kierownik projektu ADMEDVOICE.

Pozostali koordynatorzy projektu to Mariusz Budzisz (eTRUST sp. z o. o.), Dariusz Szplit (współpraca z UCK).

Z koordynatorami i kierownikami projektu ADMEDVOICE rozmawiał red. Artur Wolski, komentator naukowy.



ware ADMEDVOICE

Fot. Andrzej Czyżewski

Polskie dynastie architektoniczne w Dnieprze (Jekaterynosławiu)

(połowa XIX i początek XX wieku)

Jekaterynosław na przełomie XIX i XX w. przekształcił się w duże miasto przemysłowe z ciągle wzrastającą liczbą ludności. Zamieszkali tam polscy architekci zostawili po sobie wzniesione kościoły i cerkwie prawosławne, kamienice, budynki publiczne i mosty.

W dziewiętnastowiecznym Dnieprze (wówczas Jekaterynosławiu) mieszkali i pracowali dwie dynastie architektoniczne założone przez przedstawicieli starożytnych polskich rodów z Wołynia i Litwy: Alberta Brodnickiego i Edwarda Charmańskiego. Wraz ze swoimi synami – Leonidem Brodnickim, Stanisławem Charmańskim i Zdzisławem Charmańskim – zostawili po sobie wzniesione kościoły i cerkwie prawosławne, kamienice i budynki publiczne, mosty i to nie tylko w dawnym Jekaterynosławiu, ale i na terenie guberni jekaterynosławskiej oraz Charkowa.

Dzięki mozolnej pracy przeszli wszystkie szczeble kariery architektonicznej przewidywane w prowincjonalnym mieście i zdobyli stanowiska architekta oraz inżyniera gubernialnego. Rodziny Brodnickich i Charmańskich były zaangażowane w życie społeczne i kulturalne miasta, wpisane na listę najbardziej zasłużonych rodów. Niestety do tego czasu ich spuścizna architektoniczna jest znana raczej tylko naukowcom; ich imiona są nieco zapomniane w mieście, do rozwoju którego znacząco się przyczynili.

Polskiemu czytelnikowi te słynne postacie rodaków, których los był powiązany z jednym z największych miast Ukrainy Lewobrzeżnej, mogą być w ogóle nieznanne, a niniejszy artykuł zawiera pierwsze w Polsce wyniki badań ich życia i twórczości architektonicznej.

Albert Brodnicki (1830 – po 1893)

Albert urodził się w 1830 r. w rodzinie szlacheckiej Wincentego i Apolonii Brodnickich, mieszkających we wsi Karpyłówka Kamień w powiecie kaszyrskim (obecnie obwód wołyński, Ukraina). W wieku 15 lat wyjechał na studia do Szkoły

Budowlanej w Sankt Petersburgu, gdzie uzyskał dyplom inżyniera cywilnego. Od 1852 r. jego życie zostało na zawsze związane z Jekaterynosławiem, dokąd został skierowany na stanowisko pomocnika Jekaterynosławskiej Gubernialnej Komisji Drogowej i Budowlanej. Przeszedł wszystkie szczeble kariery zawodowej aż do architekta gubernialnego, którego obowiązki pełnił w latach 1865–1875.

Jaskrawy opis Alberta Brodnickiego podał jego kierownik Andriej Dostojewski, architekt gubernialny w latach 1860–1865: „Był to technik bardzo sprawny i doświadczony (...) Jako człowiek był bardzo miłym i mądrym panem (...) Po moim wyjeździe z Jekaterynosławia w 1865 roku zajął moje miejsce, to znaczy został mianowany jekaterynosławskim architektem gubernialnym”. Brodnicki był jednym z najmłodszych (ze względu na wiek) architektów gubernialnych w Imperium Rosyjskim.

Jego obowiązki zawodowe były dość szerokie. Nadzorował liczne remonty i przebudowy gmachów publicznych, m.in. budynku Gubernialnego Zgromadzenia Szlacheckiego (obecnie – Pałac Studentów Narodowego Uniwersytetu im. Olesia Gonczara), dziś wpisanego na listę zabytków architektury o znaczeniu narodowym, a także uważanego za jeden z najstarszych budynków współczesnego Dniepra. Zaprojektował szereg obiektów o charakterze publicznym wzniesionych na terenie guberni jekaterynosławskiej. W dużym stopniu zajmował się budownictwem i remontem mostów (niestety przeważnie niezachowanych do dzisiaj). Podobnie jak inni miejscowi architekci pracował w różnych stylach, takich jak: neoklasycyzm, eklektyzm, „styl neorosyjski”.

Albert Brodnicki został autorem pierwotnego projektu przysiężnego kościoła św. Józefa, wybudowanego w Jekaterynosławiu

w latach 1869–1877 na koszt miejscowej parafii katolickiej. Nie wielki kościół w stylu gotyckim miał zostać zaprojektowany w tradycyjnym rozwiązaniu architektonicznym, ale równocześnie miał być inspirujący. Główna fasada od strony prospektu była ozdobiona dwoma wysokimi dzwoniczami, wspieranym portalem wejściowym i aniołem z krzyżem nad nawą. Nad ołtarzem na dachu była przewidywana wysoka ażurowa wieża. Projekt kościoła autorstwa Brodnickiego po przedstawieniu go Komitetowi Techniczno-Budowlanego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nie zyskał akceptacji. W rezultacie został znacząco przeredagowany przez członka tegoż Komitetu, Piotra Mierkułowa, architekta-urzędnika z wieloletnim doświadczeniem w petersburskich urzędach. Szerokość budowli została nieznacznie zwiększona, a wysokość nawy i wież (choć ich całkowita wysokość wraz z iglicami pozostała niezmienną) – zmniejszone.

Albert Brodnicki wraz z żoną Iriną Sawicką, wywodzącą się ze znanego rodu kozacko-starszyńskiego Ukrainy Lewobrzeżnej, mieli dwóch synów, Leonida i Sergieja, oraz córkę Ninę, którzy z czasem stali się szanowanymi obywatelami Jekaterynosławia.

Albert Brodnicki pozostał w pamięci współczesnych jako człowiek rzetelnie wykonujący swoją pracę na polu administracyjnym, gdzie pełnił obowiązki architekta gubernialnego. Był niewątpliwie fachowcem jako budowniczy, pozostawiwszy po sobie różnorodne obiekty, które niestety nie przetrwały do naszych dni.

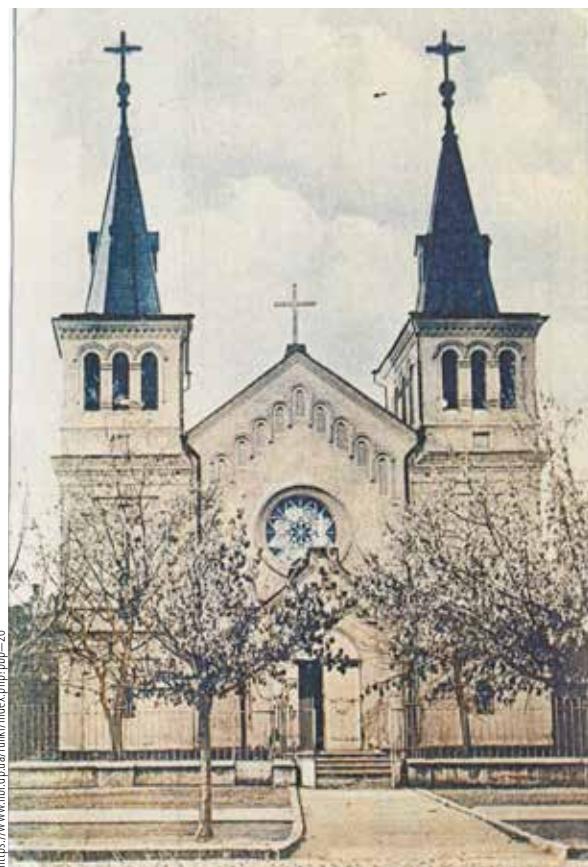
Leonid Brodnicki (1864–1907)

Leonid urodził się w 1864 r. w Jekaterynosławiu. Po ukończeniu w 1881 r. Szkoły Realnej studiował w Instytucie Inżynierów

Cywilnych (byłej Szkole Budowlanej) w Sankt Petersburgu. Uzyskał tam dyplom inżyniera cywilnego i w 1886 r. został skierowany na stanowisko technika przy Gubernialnym Urzędzie Ziemskim guberni jekaterynosławskiej. Następnie pracował jako młodszy inżynier architekt diecezjalny jekaterynosławskiej diecezji prawosławnej. Szczegółem osiągnięcia zawodowego było stanowisko architekta gubernialnego, które, podobnie jak ojciec, piastował około dziesięciu lat na przełomie XIX i XX w.

W okresie działalności zawodowej Leonid Brodnicki zaprojektował w Jekaterynosławiu i na obszarze guberni szereg budynków o charakterze administracyjnym i kulturalnym. Pracując na stanowisku architekta diecezjalnego, zaprojektował na terenie guberni kilka budowli sakralnych, m.in. cerkiew św. Mikołaja zbudowaną w 1894 r. we wsi Kamińskie (obecnie miasto Kamińskie w obwodzie dniproperowskim) w stylu „neoruskim”. Inicjatorem wzniesienia obiektu był dyrektor miejscowego przedsiębiorstwa, Polak Ignacy Jasiukowicz. W czasach dzisiejszych świątynia ta jest znana jako sobór św. Mikołaja, katedralny sobór prawosławny w Kamińskim.

Na stanowisku architekta gubernialnego wykonał Leonid Brodnicki wiele prac inżynierskich i technicznych w Jekaterynosławiu i guberni. Zaprojektował i nadzorował budowę kilku kluczowych dla miasta budynków o cywilnym i kulturalnym przeznaczeniu. W 1896 r. wraz ze Stanisławem Charmańskim wybudowali w stylu neoklasycystycznym Auditorium Komisji Czytań Ludowych. Na początku XX w. był zaangażowany w powstanie jednej z pereł architektonicznych Jekaterynosławia: sfinalizował projekt (którego autor jest nadal nieznan) i nadzorował budowę gmachu Gubernialnego Urzędu Ziemskiego. Dwupiętrowy budynek o bogatym wystrój, zwany „Domem Ziemskim”, łączy w sobie elementy neoklasycyzmu i eklektyzmu.



Kościół św. Józefa Źródło: Zbiór pocztówek z widokami Jekaterynosławia z początku XX w., źródło kopii elektronicznej: Obwodowa Biblioteka Naukowa w Dnieprze im. Pierwszych Nauczycieli Słowian Cyryla i Metodego



Tablica pamiątkowa Leonida Brodnickiego na jego budynku, ul. Troicka 3 b, Dniepr



Budynek Dmytra Jawornickiego, 1929 Źródło: Zbiory Domu Pamięci – Muzeum Dmytra Jawornickiego (oddział Narodowego Muzeum Historycznego w Dnieprze im. D.I. Jawornickiego).

Zajmował się aktywnie wykonaniem zleceń prywatnych. Wizytówką jest willa wybitnego ukraińskiego historyka Dmytra Jawornickiego (1855–1940), w której obecnie znajduje się muzeum jego pamięci. Parterowy dom z wyrazistą dwupiętrową wieżyczką miał fasadę od strony placu Dworianskiego (plac Szewczenki 5). Budynek został wykonany z użyciem minimum elementów dekoracyjnych stylu romańskiego. Dziś willa ta to prawdopodobnie jedyny budynek, który zachował się z czasów starego Jekaterynosławia, w charakterystycznym „katerynosłowiańskim” stylu i typowej kolorystyce – czerwonej cegły. W 2009 r. budynek został wpisany do wykazu zabytków dziedzictwa kulturowego o znaczeniu narodowym. Zachowała się też willa Leonida Brodnickiego przy ulicy Troickiej 3b, na której umieszczono tablicę pamiątkową architekta.

Brał on czynny udział w życiu społecznym miasta: uczestniczył w pracy Jekaterynosławskiej Komisji Czytań Ludowych, dla której przygotowywał wykłady publiczne.

Na początku 1907 r. Brodnicki nagle zmarł, pozostawiając po sobie w dwóch małżeństwach trzy córki, a także zaprojektowane kamienice, cerkwie i budynki użyteczności publicznej, w których życie społeczne trwa do dziś. Polski architekt swo-

imi dziełami dodał wyjątkowości nie tylko przestrzeni miejskiej Jekaterynosławia przełomu XIX i XX w., ale także Dniepru w XXI w., gdzie wśród wieżowców, jakby z innych epok, wyłaniają się jego parterowe, bajeczne wille.

Edward Krzysztof Piotr Charmański (1836–1910)

Edward Krzysztof Piotr Charmański urodził się 22 lutego 1836 r. w rodzinie sędziego ziemskiego Józefa Bibersteina Charmańskiego i jego małżonki Justyny z Dowmont-Siesickich. Ród Charmańskich był staropolski i miał herb Rogala, którego właściciele byli znani od połowy XIV wieku.

W latach 1852–1858 studiował w Szkole Budowlanej w Sankt Petersburgu, po ukończeniu której został przydzielony do służby w Jekaterynosławskiej Gubernialnej Komisji Drogowej i Budowlanej na stanowisko asystenta architekta. Wraz z żoną Zofią przenieśli się do Jekaterynosławia. Synowie, Marian Józef Zdzisław i Stanisław Antoni, zostali architektami. Działalność najmłodszego, Anatola, była związana z pracą oświatową. Ojciec dla rodziny zaprojektował i wybudował budynek (rozebrany w 1998 r.) na rogu ulic Potiomkńskiej (obecnie Sergieja Jefremowa) i Krutohirnej.

W pracy zawodowej Edward Charmański przeszedł szereble od „asystenta architekta” do „architekta gubernialnego, radnego stanu” (1875). Na temat początkowego okresu działalności zawodowej nie zachowały się prawie żadne informacje. Na stanowisku młodszego architekta, które piastował aż do przejścia na emeryturę architekta gubernialnego Alberta Brodnickiego w 1875 r., faktycznie był jego zastępcą.

Edward Charmański, pracując na stanowisku architekta gubernialnego, miał szerokie uprawnienia: układanie planów fasady, rysunków i kosztorysów na wszystkie budowy rządowe, przebudowy, remonty obiektów publicznych, nadzоровanie przedsięwzięć budowlanych. Najważniejszym osiągnięciem architekta stał się gmach ziemstwa powiatowego w mieście Wierchniodniprowsk (obecnie ul. Dniprowska 56) w guberni jekaterynosławskiej. Projekt został ukończony w 1871 r., a budowa w 1874 r. Wykorzystanie stylu neogotyckiego w budynku użyteczności publicznej było dość niezwykle, ale ziemstwu to się spodobało i przedstawiciele samorządu zaakceptowali takie architektoniczne rozwiązanie.

W 1888 r. Charmański uczestniczył w pracach przy odnowieniu soboru Trójcy Świętej w mieście Nowomoskowsku. Świątynia ta jest unikatowym dziełem architektury drewnianej Ukrainy, należy do stu najlepiej zachowanych budowli drewnianych na świecie.

Mówiąc o rodzinie Charmańskich, należy podkreślić zachowanie w niej ducha polskości: dzieci otrzymały naukę domową czytania i pisania w języku ojczystym. Świadectwem tego jest list z 7 października 1879 r. studenta Instytutu Inżynierów Cywilnych Zdzisława Charmańskiego do polskiego historyka Mariana Dubieckiego, który przez pewien czas po zakończeniu zesłania za udział w powstaniu styczniowym mieszkał w Jekaterynosławiu i przyjaźnił się z rodziną architekta. Warto tutaj przypomnieć, że brat Edwarda, Julian Charmański, był także uczestnikiem powstania.

Niestety brak źródeł archiwalnych nie pozwala na nakreślenie obrazu szerokiej działalności architektonicznej Edwarda Charmańskiego. Można jednak stwierdzić, że był on sumiennym pracownikiem na polu zawodowym, a nieliczne zaprojektowane i zachowane do dzisiaj budynki charakteryzują go jako projektanta z dobrym gustem, zainspirowanym stylem neogotyckim. Jego synowie, Stanisław i Zdzisław, zdolni architekci, kontynuowali rodzinną tradycję w Jekaterynosławiu i Charkowie, tworząc na terenie Ukrainy Lewobrzeżnej piękne świątynie katolickie.

Stanisław Antoni Charmański (1861–po 1914)

Stanisław Antoni urodził się w 1861 r. w Jekaterynosławiu. W latach 1882–1887 r. studiował w Instytucie Inżynierów Cywilnych w Sankt Petersburgu. Ukończył studia z oceną celującą i otrzymał dyplom, uzyskawszy „tytuł inżyniera cywilnego z prawem prowadzenia prac cywilno-budowlanych i drogowych”. Został mianowany na stanowisko inżyniera młodszego w Jekaterynosławskim Gubernialnym Oddziale Budowlanym. W 1897 r. pełnił obowiązki inżyniera gubernialnego, a w 1900 r. otrzymał pełne stanowisko inżyniera gubernialnego. W październiku 1914 r. zrezygnował z pracy z powodu choroby.

Zaprojektował liczne budynki użyteczności publicznej, co było uwarunkowane faktem, że Jekaterynosław na przełomie XIX i XX w. przekształcił się w duże miasto przemysłowe z ciągle wzrastającą liczbą ludności. Był niezwykle oryginalnym architektem, którego dzieła ceglane powstały w kilku stylowych rozwiązaniach, charakterystycznych dla tej epoki.



Budynek Charmańskich w Jekaterynosławiu, 1990 r.



Gmach ziemstwa powiatowego w Wierchniodniprowsku, ul. Dniprowska, 56

Fot. Walerij Starostin

Źródło: Wikipedia

Kilka takich budowli powstało we współpracy z innymi architektami Polakami. W 1896 r. wraz z Leonidem Brodnickim zaprojektował i wybudował Auditorium Komisji Czytań Ludowych. Ten unikatowy budynek w stylu neoklasycystycznym jest zabytkiem architektury. W 1898 r. wspólnie z Ignacym Gorleńskim, architektem z Sankt Petersburga, zaprojektował i zbudował w stylu neorosyjskim Letni Teatr w Ogrodzie Miejskim, którego sala była jedną z największych w mieście.

Zajmował się także projektowaniem budynków na zlecenie różnych towarzystw dobroczynnych ówczesnego Jekaterynosławia. Wybitnym dziełem jest „Dom Pracowitości” (ul. Lewanewskiego 15) na zlecenie Jekaterynosławskiego Towarzystwa Dobroczynnego (1910–1911). Półtorapiętrowy budynek zaprojektowano w stylu secesji. Uważany jest za jedną z najlepszych realizacji wśród rzadkich zachowanych w mieście przykładów nurtu secesyjnego.

Na stanowisku inżyniera gubernialnego nadzorował powstanie ważnych budowli w Jekaterynosławiu. W latach 1899–1901 był kuratorem wzniesienia budynków pierwszej w mieście uczelni – Wyższej Szkoły Górniczej. W 1904 r. nadzorował budowę gubernialnego urzędu pocztowo-telegraficznego. Został zaangażowany w życie polskiej społeczności Jekaterynosławia, na której zlecenie przebudował kościół św. Józefa.

Pozostawił swój bardzo widoczny ślad w przestrzeni miejskiej Nowomoskowska w guberni jekaterynosławskiej. Na początku XX w. zaprojektował kompleks szpitala ziemskiego, a w 1909 r. budynek Nowomoskowskiego Ziemskiego Urzędu Powiatowego.

Niestety projekty wykonane przez Stanisława Charmańskiego na zlecenia prywatne pozostają nieznanne. Realizowane projekty na zamówienia od towarzystw dobroczynnych, publicznych, urzędowych, posiadających ograniczone środki, wykonane są w bardzo oszczędnym i racjonalnym stylowym rozwiązaniu. Przy takich zamówieniach po prostu nie da się ustalić stylu twórczego architekta, chociaż nawet te budynki, które w różnych stanach zachowane są do dzisiaj, świadczą o zdolności Charmańskiego jako architekta nurtu secesyjnego.

Inżynier gubernialny Stanisław Charmański był najmłodszym przedstawicielem architektonicznej dynastii Charmańskich w Jekaterynosławiu, autorem projektów wielu budynków użytecz-

ności publicznej zachowanych do dnia dzisiejszego w Dnieprze. Wzniesione przez niego w mieście dzieciństwa budynki są wymownym przykładem talentu i zdolności ich twórcy.

Przyjechawszy do obcego miasta, w nieznanym środowisku, dzięki cechom swego charakteru Albert Brodnicki i Edward Charmański potrafili zintegrować się z lokalną społecznością i miejscową Polonią. Ich dynastie należały do elity architektonicznej Jekaterynosławia połowy XIX – początku XX wieku. Architekci projektowali w różnych stylach: od neoklasycystycznego do secesyjnego, urozmaicili i wzbogacili swoimi dziełami wygląd architektoniczny nie tylko Jekaterynosławia, ale też miast powiatowych tej guberni.

Prof. dr hab. Lubow Żwanko, kierownik Centrum Muzealnego w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; stypendystka programu POLONISTA (NAWA) realizowanego na Wydziale Nauk Biologicznych i Weterynaryjnych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu (2023–2024 r.), specjalizuje się m.in. w historii i wojny światowej (szczególnie uchodźców), procesach migracyjnych XX i XXI w., historii Polonii Charkowa oraz Polaków na terenach Ukrainy Wschodniej.

Konsultacje językowe tekstu: dr Marcin Lutomiński



Budynek byłego Nowomoskowskiego Ziemskiego Urzędu Powiatowego Źródło: strona internetowa Nowomoskowskiej Rady Miejskiej



Dom Pracowitości (trudlubija)

https://nowomoskowsk-rada.dio.gov.ua/pro-misto/miasto_misto/budynki-kolishniyy-zemskoyi-upravl, licencja: Creative Commons Attribution 4.0 International license.

Fot. Artem Kostuk, fmepr.info

Marcelina Smużewska

Henryk Paszkiewicz i „trylogia ruska”

Paszkiewicz włożył dużo pracy, żeby zapoznać się z opisywanymi zagadnieniami. Sięgał po materiał literacki i archeologiczny. Książki były napisane z rozmachem i próbowały dostarczyć odpowiedzi na temat specyfiki Rosji, nad którą głowili się ówczesni intelektualści i politycy.

Henryk Paszkiewicz należy do najlepiej znanych w historiografii światowej polskich badaczy średniowiecza. Stało się tak przede wszystkim za sprawą trylogii o dziejach Rusi: *The Origin of Russia* (1954), *The Making of the Russian Nation* (1963) i *The Rise of Moscow's Power* (wydane pośmiertnie w 1983 r.). Wszystkie te dzieła ukazały się na emigracji, na którą udał się Paszkiewicz po II wojnie światowej. Szeroko komentowane na Zachodzie, w Polsce pozostawały nieznanne szerszej publiczności. Dopiero po upadku komunizmu PAU zdecydowała się wydać te prace w języku ojczystym Paszkiewicza. W 1996 r. ukazały się *Początki Rusi*, dwa lata później *Powstanie narodu ruskiego*, a w 2000 roku *Wzrost potęgi Moskwy*. Druk prac wsparła Fundacja z Brzezia Lanckorońskich, z którą historyk był związany.

Wczesne lata

Henryk Waclaw Paszkiewicz urodził się 10 marca 1897 roku w Łodzi (niektóre źródła podają Pruszków). Jego ojcem był Michał Waclaw Paszkiewicz, mechanik z Warszawy, pracujący na kolei łódzkiej jako urzędnik państwowy. Matka, Wanda Fryderyka, pochodziła z kupieckiej rodziny Salingerów, która osiadła w Warszawie i była wyznania ewangelicko-augsburskiego. Ojciec historyka miał pochodzenie ziemiańskie i był katolikiem. Podobnie jak wiele dzieci z rodziny średniozamożnych na terenie zaboru rosyjskiego Henryk początkowo uczył się w domu. Dopiero w wieku dziewięciu lat poszedł do ośmioklasowego prywatnego Gimnazjum im. Mikołaja Reja w Warszawie. Maturę zdał w 1915 roku. Nie podjął jednak studiów od razu ze względu na słaby stan zdrowia. Na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Warszawskiego zapisał się jesienią 1916 roku.

I wojna światowa i pierwsze kroki zawodowe

Podczas I wojny światowej Paszkiewicz należał do Polskiej Organizacji Wojskowej. Wstąpił do wojska na ochotnika w listopadzie 1918 roku. Służył jako podporucznik i brał udział w wojnie 1920 roku w oddziale piechoty. Rozprawę doktorską pt. *Polska i Litwa w dziejowym stosunku* obronił w tym samym roku. Dysertacja była przygotowana pod kierunkiem Oskara Haleckiego (1891-1973), znawcy średniowiecznej historii Pol-

ski, Litwy i Rusi oraz Cesarstwa Bizantyjskiego. Po obronie doktoratu Paszkiewicz wyjechał na rok na studia do Niemiec. Potem pracował jako nauczyciel historii w Państwowym Gimnazjum Żeńskim im. Juliusza Słowackiego w Warszawie, w prywatnym Gimnazjum Żeńskim Janiny Tymińskiej, prywatnym Gimnazjum Żeńskim Józefy Gagatnickiej i Joanny Krasuskiej oraz w Państwowym Instytucie Nauczycielskim (lata 1922-1928). Jednocześnie prowadził prace badawcze. W tym czasie ukazały się drukiem *Popularna historia Polski od czasów Jagiellonów* (1924) oraz *Polityka ruska Kazimierza Wielkiego* (1925). Ta ostatnia była podstawą do habilitacji, którą przeprowadzono w 1927 roku. W kolejnym roku Paszkiewicz rozpoczął wykłady na temat Europy Wschodniej jako docent na Uniwersytecie Warszawskim.

Od 1929 roku był zatrudniony w Wolnej Wszechnicy Polskiej, a w latach 1934-1939 pełnił funkcję tamtejszego dziekana Wydziału Humanistycznego. W latach trzydziestych współpracował z Haleckim, czego pokłosiem było wydawnictwo *Regesta Lithuaniae. Ab origine usque ad Magni Ducatus cum Regno Poloniae unione* (1930). W latach 1924-1930 Paszkiewicz opublikował trzynaście prac, w latach 1931-1939 dwanaście, w tym *Jagiellonowie a Moskwa* (1933) i *O genezie i wartości Krewa* (1938). W 1936 roku został członkiem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, co było uznaniem jego dorobku. Wniosek o członkostwo w PAU został złożony w 1937 roku, ale jego wybór nastąpił dopiero po II wojnie światowej. Od 1939 roku Paszkiewicz miał uzyskać katedrę na UW, ale także nie zdążył.

Prywatnie był mężem Jadwigi, z domu Kraus, która była także historykiem. Mieli dwoje dzieci – Hannę i Janusza. Jako oficer rezerwy Paszkiewicz wziął udział w obronie Warszawy w 30. Pułku Strzelców Kaniowskich. Potem trafił do Ofłagu VIIA w Murnau, gdzie spędził całą wojnę.

II wojna światowa

Pierwszymi jeńcami w bawarskim Murnau byli oficerowie armii „Lublin” na czele z gen. Tadeuszem Piskorem (1889-1951). W połowie października trafili tam też oficerowie z armii „Warszawa” wraz z gen. Juliuszem Rómmlem (1881-1967). W grupie

tej znajdował się podporucznik Paszkiewicz i otrzymał numer obozowy 32711. Do końca roku 1939 roku trafiło tam ponad 2 tys. polskich oficerów, w tym 29 generałów. Po upadku powstania warszawskiego liczba ta zwiększyła się do 5,4 tys. Wśród oficerów rezerwy znaczną grupę stanowili naukowcy, co umożliwiło zbudowanie struktur oświatowych i kulturalnych w obozie. To był legalny wymiar pracy. Oprócz tego była też działalność konspiracyjna. Paszkiewicz zaangażował się w oba nurty życia obozowego.

Profesor zaangażowany był w działalność Wyższych Kursów Nauczycielskich oraz Obozowego Instytutu Pedagogicznego. Te pierwsze były popularne dlatego, że największą grupę zawodową spośród jeńców stanowili nauczyciele (22%). Paszkiewicz prowadził przedmioty humanistyczne. Ogółem na kursach kształciły się 193 osoby. Obozowy Instytut Pedagogiczny służył doskonaleniu umiejętności zawodowych wśród nauczycieli. Wzorowany był na katowickim Instytucie Pedagogicznym. Jego obozowym dyrektorem był Stanisław Bilewicz (1903-1962). Ukończyło go 52 nauczycieli. Jeśli chodzi o działalność tajną, Paszkiewicz był zaangażowany w prace Wydziału Propagandy wchodzącego w skład Oddziału Łączności z Krajem i Zagranicą, którym kierował gen. Edmund Knoll-Kownacki (1891-1953). Można się zatem spodziewać, że Paszkiewicz dysponował w miarę adekwatnymi informacjami na temat sytuacji w kraju i na frontach wojennych.

Przystanek Rzym

Oflag VIIA Murnau wyzwolili Amerykanie 29 kwietnia 1945 roku. Ponad 3 tys. więźniów nie wróciło do kraju, lecz wstąpiło do 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa, który stacjonował we Włoszech. Wśród nich był podporucznik Paszkiewicz, który zaangażował się w ideę kształcenia polskich żołnierzy na włoskich uczelniach. Razem z prof. Karoliną Lanckorońską (1898-2002) pełnili funkcję opiekunów naukowych Ośrodków Akademickich w Rzymie, Bolonii, Florencji, Turynie i Mediolanie. Na studia przyjęto 1280 żołnierzy i nimi właśnie opiekowali się prof. Paszkiewicz i prof. Lanckorońska. Z tego względu bohater tego tekstu przebywał w Rzymie aż do

jesieni 1948 roku, mimo że 2. Korpus Polski został ewakuowany do Wielkiej Brytanii wcześniej.

Współpraca z prof. Lanckorońską i ks. prof. Walerianem Meysztowiczem (1893-1982) zaowocowała utworzeniem w Rzymie Polskiego Instytutu Historycznego jeszcze w 1946 roku. Jego prezesem przez kolejne 35 lat był ks. prof. Meysztowicz, a potem prof. Lanckorońska. PIH wydawał „Antemurale” (od 1953 r.), ważne czasopismo służące wymianie myśli między historykami w kraju i za granicą oraz „Elementa ad Fontium Editiones” (od 1960 r.), źródła dotyczące poloników okresu średniowiecznego i nowożytnego. Paszkiewicz jako współzałożyciel PIH był związany z obydwojema tytułami.

Okres londyński

Będąc jeszcze w Rzymie, historyk wznowił działalność badawczą. Był częstym gościem tamtejszych archiwów. Po przyjeździe do Londynu w 1948 roku został członkiem wielu organizacji naukowych. Zaangażował się w prace Wolnego Studium Nauk Politycznych i Społecznych, które w 1950 roku przekształciło się w Szkołę Nauk Politycznych i Społecznych. Wykładał historię Polski, co wchodziło w skład kanonu studium podstawowego. Prowadził także wykłady w ramach Kursu Spraw Wschodnich, który wiązał się z działalnością Instytutu Wschodniego „Reduta”. W latach 50. Paszkiewicz wykładał też na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO), z którym był związany do końca swojego życia, kierując Katedrą Historii Średniowiecznej. Był członkiem Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii i współpracował z jego czasopismem, ukazującym się pod tytułem „Teki Historyczne”.

Nie każdy wie, że profesor Paszkiewicz był także przez krótki czas kimś w rodzaju premiera. W roku 1950 otrzymał od gen. Andersa misję utworzenia rządu i pogodzenia prezydenta Augusta Zalewskiego (1883-1972) z emigracyjnymi partiami. Mimo wysiłków mediacyjnych Paszkiewicza misja była nieudana. Zalewski nie chciał ustąpić ani wskazać terminu końca swojej kadencji, partie bez tego nie chciały uformować rządu. Kolejna okazja by zostać premierem, trafiła się Paszkiewiczowi trzy lata później, ale być może ze względu na wcześniej-



Walerian Meysztowicz i Henryk Paszkiewicz



Teren Oflagu VII A w Murnau

Źródło: audiowis.nac.gov.pl

sze doświadczenia nie podjął się tego zadania. Bohater niniejszego tekstu cieszył się zaufaniem gen. Andersa, dlatego był też członkiem Głównej Komisji Skarbu Narodowego oraz Rady Polskiej Macierzy Szkolnej Zagranicą.

Paszkievicz był historykiem gabinetowym. Nie przepadał za publicznymi wystąpieniami i spotkaniami branżowymi, gdyż łączyły się one z podróżami i kosztami. W jednym z listów w następujący sposób przedstawił swoje podejście: „Nie zamierzam osobiście stykać się i polemizować z Moskalami, ich satelitami lub „wielbicielami” z Zachodu. Pomijam już szereg innych powodów, które mnie wstrzymują od udziału w Kongresie. Nowa moja książka, która – jak się spodziewam – powinna ukazać się pod koniec roku [wyszła dopiero sześć lat później], wywoła jeszcze większy szal i wściekłość strony rosyjskiej. Moją więc skromną walkę z Moskalami podjąłem i kontynuuję, ale w takiej formie, która mi odpowiada” (List do Mariana Kukiela z 3 maja 1957 roku, przytaczam z pracy pod redakcją Małgorzaty Dąbrowskiej *Henryk Paszkiewicz wydobyty z zapomnienia*, Łódź 2019). Nie da się więc ukryć, że historyk za Rosjanami nie przepadał, co też może być traktowane jako zarzut, gdyż był pejoratywnie nastawiony do podmiotu swoich badań.

Trylogia ruska

Paszkievicz kontynuował prace badawcze w brytyjskich archiwach. W zaciszu swojego mieszkania pracował nad monumentalnymi pracami na temat powstania narodu i państwa rosyjskiego. Pierwsza z prac, wydana w 1953 r. dzięki Komitetowi Obywatelskiemu Pomocy Uchodźcom, pt. *The Origin of Russia*, dotyczyła normańskiego rodowodu Rusi. Zdaniem Paszkiewicza, Rusi nie utworzyli Słowianie, lecz Wikingowie. Fundament państwa zbudowany był na religii i surowych rządach inspirowanych systemem politycznych Mongołów. Zdaniem historyka, termin ‘jazyk’ nie oznaczał wyłącznie mowy, ale coś na kształt greckiego ethnosu (tj. ludu, plemienia, narodu, wspólnoty) i miał też znaczenie kościelno-religijne. Kwestie państwowości i duchowości przenikały się wzajemnie w narodzie rosyjskim. Książka spowodowała liczne kontrowersje i zalew kry-

tycznych recenzji, zwłaszcza ze strony badaczy pochodzenia rosyjskiego.

Druga z prac, pt. *The Making of the Russian Nation* (1963), była w dużej mierze polemiką z recenzjami dotyczącymi pierwszego tomu. Paszkiewicz powtórzył wszystkie swoje ustalenia z pierwszego tomu, a odpowiedzi recenzentom podzielił na poszczególne części dotyczące różnych zarzutów. Książka ta doczekała się mniejszej ilości recenzji i niestety nie zamknęła dyskusji rozpoczętej przez pierwszą część. Nadal zarzucano Paszkiewiczowi brak krytyki źródeł, udowadnianie z góry przyjętych (błędnych) tez oraz niekompetencję w zakresie przygotowania do badań nad Rusią.

Trzecia z prac była niedokończona i wydana już po śmierci Paszkiewicza w 1983 roku. Jej tytuł to *The Rise of Moscow's Power*. Tezy w niej zawarte nie wydawały się już tak kontrowersyjne jak te z pierwszego tomu. Dlatego publikacja nie wywołała ożywionej dyskusji. Recenzje zawierały głównie omówienia książki. Podobno Paszkiewicz zmarł pół godziny po napisaniu ostatniego zdania w dziesiątym rozdziale książki.

Bez względu na kontrowersje, książki Paszkiewicza były imponujące pod względem wykorzystanych materiałów źródłowych i opracowań. Charakteryzował je nowoczesny warsztat pracy, choć trylogia powstawała, kiedy historyk był już ukształtowanym badaczem, po pięćdziesiątych urodzinach. Paszkiewicz włożył dużo trudu, żeby zapoznać się z opisywanymi zagadnieniami. Sięgał po materiał literacki i archeologiczny. Książki były napisane z rozmachem i próbowały dostarczyć odpowiedzi na temat specyfiki Rosji, nad którą głowili się ówczesni intelektualiści i politycy. Jak doszło do tego, że powstał Związek Radziecki i republiki satelickie? Skąd taka potęga Moskwy? Paszkiewicz, sięgając do „mroków średniowiecza”, próbuje wyjaśnić ten fenomen. Naród rosyjski stworzył silny, opresyjny aparat państwowy, jednocześnie czerpiąc z duchowości Kościoła Prawosławnego. Choć komunizm próbował zrezygnować z tego drugiego, współczesność przyniosła powrót do korzeni. Rosja czuje się nadal silna, dumna i imperialistyczna, choć pewnie wolelibyśmy sądzić, że to „kolos na glinianych nogach”.

Warsztaty literackie, a szczególnie poetyckie

Niedawno na łamach „Forum Akademickiego” była mowa o kołach naukowych na uczelniach, ale nie wspomniano o podobnych kołach zainteresowań, które mnożą się w rozmaitych organizacjach pozarządowych, ośrodkach kultury, parafiach, teatrach, liceach. Wszystkie takie grupy, skupiające tak zwanych chętnych lub zainteresowanych, działają na zasadzie pełnej dobrowolności. Na przykład warsztaty literackie. Jeśli ktoś próbuje nadawać im status finansowy (np. wprowadzając opłaty uczestników na wynagrodzenie dla prowadzących) albo w inny sposób zmuszać i (albo) zobowiązywać uczestników do czegokolwiek jak w – nie daj Boże – sekcje, to sprzeniewierza się bazowej zasadzie organizacyjnej tego rodzaju koła: łamie sens dobrowolności, ogranicza swobodę uczestników w decydowaniu o sobie. Jeśli w tym zakresie istnieją jakiegokolwiek zobowiązania (z wyjątkiem zadań merytorycznych związanych z tematyką koła), których niewykonanie jest w jakikolwiek sposób karcone (choćby upomnieniem słownym), to grupa szybko przestaje być kołem zainteresowań, a staje się zespołem roboczym lub co gorsza właśnie sektą.

Warsztaty, szczególnie poetyckie, w tym koła młodych literatów przy organizacjach pisarskich, takich jak Stowarzyszenie Pisarzy Polskich (np. w Warszawie przy SPP istnieje koło znane jako „Stajnia Literacka”) czy Związek Literatów Polskich, nie są rzadkością. W setkach ośrodków kultury organizuje się stale lub doraźne spotkania pisarzy z początkującymi wierszopisami, prozaikami. Zgłaszający się z własnej inicjatywy, zapraszani, ale niezmuszani przez nikogo uczestnicy przychodzą na kolejne zebrania i omawiają z prowadzącymi własne utwory, oceniają utwory cudze (kolegów i poetów spoza tej grupy, także poetów znanych, wybitnych i dawnych), wykonują ćwiczenia lub słuchają wykładów. Uczą się z własnej niezawisłej woli, bawią się tym, starają się jak najwięcej dowiedzieć o poezji, jej roli w literaturze i w ogóle w kulturze, funkcji w życiu autorów. Jeśli istnieje taka możliwość, to chcą nauczyć się pisania, a także (to bardzo częsta motywacja) sprawdzić siebie, swoje możliwości, ocenić swoje dotychczasowe dzieła. Prawie wszystkie takie grupy w Polsce mają ten sam system działania, ale niestety nie zawsze dobrych prowadzących. Zdarzają się bowiem osoby, które nie tyle chcą rozwoju uczestników koła, ile wsparcia własnej osoby, tworzenia grupy fanów, i mogą wyrządzać uczestnikom nieodwracalne szkody osobowościowe. Trzeba to brać pod uwagę.

Jednym z najczęstszych nieporozumień dotyczących warsztatów literackich (w tym poetyckich) jest przesąd, że artystą, zwłaszcza artystą słowa, może zostać każdy. Niestety tak nie jest. Osób predestynowanych, czyli obdarzonych talentem, jest stosunkowo niewiele. Jeśli utalentowani piszą złe wiersze, to czasem wystarczy podpowiedzieć, co zrobili źle albo gdzie coś usprawnić, i od razu wskoczą na właściwe tory. Według moich obserwacji talent ma jakieś pięć-siedem procent osób zgłaszających się na warsztaty. Ich uczyć pisania nie trzeba, a pozosta-

łych nauczyć się nie da. Ci drudzy powinni możliwie szybko, ale bezboleśnie dowiedzieć się, że nie mają talentu i w zamian zostać wybornymi znawcami technik odbioru poezji. Zresztą wbrew pozorom na ogół chętnie na to przystają.

I to jest główne zadanie warsztatów poetyckich. Tak samo jak na uczelniach sztuk np. plastycznych – wszyscy do nich się dostający muszą już umieć rysować (jest egzamin!). Mimo to idą na studia, ponieważ chcą się dowiedzieć, czym, co i na czym rysować, malować; czym, z czego i po co rzeźbić, co z tym robić dalej. Wbrew opiniom osób niezających się na rzeczy rozsądni prowadzący warsztaty poetyckie wcale nie liczą na to, że z jakiegoś beztalentca zrobią laureata literackiego Nobla.

Niektórzy sportowcy nie mają talentu, ale usilną pracą doprowadzają organizm do tak maszynowej automatyki, że to im pozwala wygrywać z niemal każdym talentem. Takim zawodnikiem był na przykład słynny Jean René Lacoste, francuski tenisista, w latach 20. i 30. XX w. zwycięzca turniejów wielkiego szlema, Pucharu Davisa, igrzysk olimpijskich. Jak głosi legenda, talentu nie miał za grosz, ale był tytanem pracy. Skonstruował maszynę do wyrzucania piłek i ścianę do ćwiczeń, fenomenalnie wytrenował organizm.

W poezji tak się nie da. Poezja to gra umysłowa w od urodzenia podatnym mózgu. Sposób bycia i życia, obserwacji, styl wyobraźni, analizy i syntezy. Niekoniecznie samo pisanie. Są poeci, którzy nie napisali ani jednego wiersza. A jeśli pisanie, to według reguł osiągalnych tylko dla niewielu. Wynika też z metod oceny jakości, na przykład wedle znanego dekalogu Leszka Żulińskiego (są również inne, nie mniej trafne):

- 1) Wiersz jest wytworem rzemiosła językowego.
- 2) Wiersz powinien być nowatorski.
- 3) Wiersz dąży do odkrywczosci, gardzi banałem.
- 4) Wiersz powinien być autentyczny i wiarygodny.
- 5) Wiersz szybuje na skrzydłach emocji i intelektu.
- 6) Wiersz dąży do szlachetnej prostoty.
- 7) Wiersz dąży do lakoniczności.
- 8) Niechaj wiersz będzie niedosłowny, „niedomówiony” i otwarty.
- 9) Wiersz rodzi się z pychy i z... pokory.
- 10) Ojcem i matką wiersza jest natchnienie.

Jeśli jakiś tekst nie realizuje jednego z tych punktów, to jest słabym wierszem. Obowiązkiem prowadzącego jest ciekawe rozważanie i wpajanie takich dekalogów. Także uczenie czytania poezji, cichego ze zrozumieniem i głośnego do rozumienia przez innych (nie recytowania w stylu sprzed stu lat). Też nauka oceny puent, konstrukcji, rymów, rytmu. Tworzenia konstrukcji melodycznych wiersza białego. Odróżniania liryki, epiki, traktatu, satyry. I wielu innych fascynujących spraw związanych z językiem i twórczością. Niekoniecznie pisanie własnych słabizn. A jeśli już ktoś napisał kandydatkę na wiersz, to omawianie jej w gronie zaufanych uczestników na zasadzie „ja mówię o tobie, a ty mówisz o mnie”. Poezja jest tyleż publiczna co intymna.

e-mail: lpj@lpj.pl

Kulturalnych ludzi szacunek nie trudzi



Jedną z najbardziej przygnębiających cech ludzkości jest zdolność do zamienienia praktycznie każdej dobrej ludzkiej cechy w powód do wywyższenia się indywidualnych osób czy całych grup nad bliźnich, może to być nawet chęć pomocy potrzebującym, gościnność czy inne przymioty zakładające raczej życzliwość niż potrzebę wskazania komuś jego (rzekomego) miejsca w hierarchii. Warto jednak zauważyć, że owe cnoty indywiduum lub grupa zaczyna wówczas praktykować tylko w odniesieniu do „swoich”, a przynajmniej do tych, którzy spełniają jakieś standardy. Można wówczas łączyć dobre mniemanie o sobie z pogardą dla innych i nawet nie czuć, że to kolejna forma plemienności. Jedną z zalet książki Anny Jawor jest – poza szczegółową i opartą na obszernym materiale źródłowym rekonstrukcją wzorca człowieka kulturalnego w Polsce od dawnych epok do dziś, ze szczególnym uwzględnieniem PRL – wskazanie na pułapki tego wyobrazonego modelu życia i luki w nim widoczne. Dzięki temu w publikacji obecna jest zarówno perspektywa „oni” (ogład innych globalnie i w szczegółach), ale także „my”, a ostatecznie „ja” (spojrzenie w lustro). Nie jest tu istotne, czy odbiorca identyfikuje się z wzorcem, czy samym pojęciem „człowieka kulturalnego”, gdyż wspomniane luki i pułapki można dostrzec u siebie i tak.

Człowieka kulturalnego cechują z jednej strony grzeczność i ogólna umiejętność zachowania się w różnych sytuacjach, panowanie nad sobą, szacunek okazywany innym bez względu na pozycję społeczną oraz dbanie o siebie, z drugiej zaś obcowanie z kulturą, rozumianą tu jako wytwory ludzkiej myśli (wiedza o świecie i aktualnych wydarzeniach, osiągnięcia humanistyki i nauk społecznych) oraz wytwory talentu (różne dziedziny sztuki). Anna Jawor wskazuje na dwie pułapki tego wzorca. Po pierwsze, jest on w przeważającej mierze oparty na przestrzeganiu zewnętrznych wobec działającego podmiotu zasad – robi się to, co „wypada”. Zaangażowanie społeczne wymaga już proaktywnej, a nie reaktywnej postawy, symptomatyczne jest zatem, że respondenci w obficie cytowanych przez autorkę badaniach socjologicznych z czasów PRL rzadko wspominają o tym komponencie. Po drugie, obcowanie ze sztuką polega w nim na spełnianiu określonych oczekiwań płynących z góry, od intelektualnych elit danego społeczeństwa: „wypada znać” określone teksty, przedstawienia czy filmy; znać, ale czy faktycznie rozumieć? Niepokojący jest manifestowany wręcz jako wyznacznik „kulturalności” konserwatyzm i elitaryzm – wciąż powtarzają się te same nazwiska i tytuły kojarzące się z „kulturą wyższą”, co skłania niestety do podejrzeń, że są przytaczane bezrefleksyjnie, stanowią przejaw reprodukcji wzorca, a nie rozumienia na własną rękę.

Anna Jawor wskazuje też na ważną różnicę między polityką kulturalną PRL a współczesnym podejściem do obcowania z tekstami kultury. Przed 1989 rokiem promowano wzorzec „człowieka kulturalnego” w dużej części oparty na ideałach inteligenckich, do którego aspirujący robotnicy czy mieszkańcy wsi mieli dążyć. Dziś coraz trudniej powiedzieć, co właściwie „człowiek kulturalny” miałby czytać lub oglądać, skoro hierarchie literackie czy filmowe uległy zatarciu. Nic dziwnego, że indagowani w jednym z końcowych rozdziałów przybysze z Ukrainy cenią w Polakach przede wszystkim dobre wychowanie, takt i pozytywnie rozumianą powściągliwość. Jeśli umiemy z szacunkiem podchodzić do Innego, nasz dobór lektur czy zawartość Mojej Listy na Netflixie stają się czymś ważnym, ale nie kluczowym. Jeśli ktoś pogrąży się w uprzedzeniach i lękach, ambitna kultura sama w sobie go z tego nie wyciągnie, będzie tylko kolejną rolą lub azylem.

Marek Misiak

Anna JAWOR, **Kulturalność. Rekonstrukcja wzorca człowieka kulturalnego w Polsce**, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2023.

O Rety(k)!



„Okolo 1510 roku, prawie czterdziestoletni wówczas Kopernik, ponownie wyobraził sobie wszechświat nie z Ziemią, ale ze Słońcem znajdującym się w jego centrum. Swoją teorię ukrywał przez trzydzieści lat, przepelniony strachem przed szyderstwami ze strony jego matematycznych pobratymców. Kiedy jednak w 1539 roku niespodziewany gość o nazwisku Retyk, wiedziony chęcią zdobycia wiedzy na temat nowatorskiego porządku planetarnego u samego źródła, odbył niebezpieczną, kilkusetmilionową podróż do północnej Polski, starzejący się

Kopernik zgodził się przerwać milczenie. Młodzieniec pozostał tam przez dwa lata, pomimo ustaw zakazujących mu przebywać jako luteraninowi w katolickiej diecezji Kopernika w czasie pełnego sporów okresu protestanckiej reformacji. Retyk pomógł swemu mentorowi przygotować do wydania jego długo zaniegdywany rękopis, a następnie przekazał manuskrypt do Norymbergi, gdzie złożył go na ręce najlepszego w Europie drukarza tekstów naukowych”.

Powyższy, obszerny cytat ze wstępu doskonale opisuje tematykę podjętą przez Davę Sobel. Książka składa się z trzech części: *I. Początki*, *II. Wzajemne oddziaływanie (I zatrzymało się słońce. Sztuka w dwóch aktach)*, *III. Następstwa*. Połączenie dwuaktówki własnego autorstwa oraz części badawczej wydało mi się pierwotnie dosyć ryzykownym pomysłem, aczkolwiek, czy to za sprawą talentu dramatycznego Sobel, czy niezwykle interesującego tematu, jakiego się podjęła, taki zamiar w moim mniemaniu okazał się sukcesem. Autorka szczegółowo zaznajamia czytelnika z biografią astronoma z Fromborka; pisze nie tylko o karierze naukowej w strukturach kościelnych i protekcji wpływowego wuja, ale nawet podaje przykłady jego zwykłej administracyjno-gospodarczej aktywności. Zapewne wielu czytelnikom po zapoznaniu się z licznymi biograficznymi szczegółami zniknie sprzed oczu obraz mędrca pochylonego nad księgami lub obserwującego niebo, a pojawi się postać z krwi i kości, sprawny organizator i zarządca żyjący niezwykle blisko ludzkiej codziennej niedoli. Pojawia się także wątek uczuciowy pod osobą gospodyni astronoma Anny Schilling, jego domnianej konkubiny, chociaż może należałoby użyć zwrotu „ukochanej”. Od razu wyjaśniając wątpliwości, trzeba przypomnieć, że Kopernik posiadał niższe święcenia, więc formalnie nie był księdzem (spór o to wciąż trwa), a raczej „człowiekiem Kościoła”. Jednakowoż biskup warmiński Jan Dantyszek zwrócił się listownie do kanonika fromborskiego Feliksa Reicha, by ten potępił Kopernika za związek z kobietą.

Po zapoznaniu się z biografią czytelnik może przejść do wcale udanej sztuki traktującej o wydarzeniach cytowanych na początku tej recenzji. Należy oddać Sobel sprawiedliwość, że dramatycznie, fabularnie i stylistycznie *I zatrzymało się słońce* jest całkiem udaną minisztuką. Nie brakuje w niej wyraziście zarysowanych postaci, zaskakujących zwrotów akcji, humoru i wzruszenia. Możemy jedynie domniemywać, co by się stało z *O obrotach sfer niebieskich*, gdyby nie autentyczna wizyta Geografa Joachima Retyka u Mikołaja Kopernika i jakie byłyby koleje tego dzieła i jego znaczenia dla światowej nauki. Warto wspomnieć, że zanim doszło do wydania *De revolutionibus orbium coelestium*, Retyk spędził dziesięć miesięcy na rozmowach ze swoim mistrzem oraz zapoznawaniu się z jego opus magnum, by następnie wydać *Narratio Prima*, czyli streszczenie i wyjaśnienie kopernikańskiej teorii i jego metod badawczych. *Narratio Prima* okazało się na tyle wydawniczym sukcesem i wzbudziło intelektualny ferment, że na szczęście zachęciło Kopernika do publikacji własnego dzieła w całości, co dokonało się w roku jego śmierci.

Jacek Hnidiuk

Dava SOBEL, **Doskonalsze niebo. Jak Kopernik zrewolucjonizował wszechświat**, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2023.

Straceni dla Polski

„Kolonialne jądro”



Bohaterami książki są polskie dzieci. Żyły na przestrzeni całych naszych dziejów, a pochodząc często z odmiennych stanów społecznych i mieszkając w różnych zakątkach kraju, wyraźnie zaznaczyły się w jego historii. Niestety często były to dramatyczne dzieje, a ofiara złożona z ich cierpienia, a nierzadko życia, powiększyła i tak już przebogaty panteon martyrologii. W poczet *Najmłodszych bohaterów* autorzy włączyli dzieci z rodów królewskich i książęcych: Bolesława Chrobrego, świętą Jadwigę Andegaweńską, Władysława Warneńczyka, królewiczów świętego Kazimierza i Władysława Wazę. Są tu najmłodszy bohaterowie Głogowa, ci z XI w. i ci z II wojny światowej, są orlęta grodzieńskie z 1939 r. Opisano losy Emilii Plater, filomatów, Franciszka Dydackiego, najmłodszego bojownika powstania listopadowego, Feliksa Wiktora Reidla, jednego z najmłodszych bohaterów powstania styczniowego i jednego z najmłodszych powstańców zesłanych na Syberię, filomatów pomorskich z XIX i XX w., dzieci wrzezińskich katowanych za mówienie po polsku, dziewcząt gwałconych przez rosyjskich żołnierzy. Na kartach książki wspomniane zostały losy walczących dzieci i młodzieży z powstania wielkopolskiego, orląt lwowskich, sejneńskich, płockich, sokołowskich, obrońców Zadwórze, harcerzy z Zielonki, małoletnich obrońców Warszawy, dzieci deportowanych do Kazachstanu i na Syberię, zatrzymanych na Pawiaku, niemczonych w obozach przystosowawczych, dzieci ratujących żydowskich kolegów w czasie II wojny oraz dzieci będących często mimowolnymi uczestnikami konfrontacji społeczeństwa z komunistyczną partią w trakcie wydarzeń czerwcowych 1956 r. czy marca 1968.

Nie zapomniano o młodzieży usiłującej w PRL-u obchodzić święto 3 Maja, strajkujących w Miętmem i Włoszczowie w obronie krzyży, Federacji Młodzieży Walczącej, o aresztowaniu świętych Mikołajów i narodzinach ruchów „Pomarańczowej Alternatywy” czy „Rewolucji Krasnoludków”. W końcu przedstawiono bohaterską postawę Jakuba Vaugona, który miał odwagę stanąć w obronie Polaków i prawdy historycznej, gdy we francuskim podręczniku znalazł nieprawdziwą informację o tym, że Polacy mordowali Żydów. Skutek tych działań doprowadził do przeprosin wydawcy podręcznika i skorygowania fałszywych informacji. Pozycja *Najmłodszy bohaterowie* to ponad 500 stron opisu pięknej, dramatycznej i ofiarnej postawy najmłodszych Polaków.

Jednym z tragiczniejszych wątków książki jest opis losów chłopców, którzy po upadku powstania listopadowego wcielani zostali do carskiej armii. Poniewierka, głód, rusyfikacja i zmuszanie do prawosławia stały się ich codziennością. W Rosji już od czasów Piotra I istniały dla młodych sierot szkoły kantonistów. Dominowała tu nauka wojskowości. Po zakończeniu szkoły służba wojskowa trwała 25 lat. Wcielano do tych szkół masowo synów żołnierzy i ludzi ubogich, sieroty, chłopców pochodzenia żydowskiego i z rodzin podbitych narodów. Car Mikołaj I w marcu 1831 roku wydał polecenie, aby dzieci osób biorących udział w powstaniu listopadowym umieszczać w szkołach kantonistów. Tylko w roku 1832 z Królestwa Polskiego i ziem kresowych do szkół kantonistów wcielono 3130 polskich chłopców. Za czasów Mikołaja I z powodu ciężkich warunków bytowania umierało rokrocznie około 42 tys. żołnierzy. Śmiertelność chłopców z Królestwa Polskiego w oddziałach kantonistów była większa. Jeśli już przeżyli drogę w głąb Rosji a potem pobyt w armii, straceni byli dla polskości. Nie mówili po polsku, a na każdym kroku wpajano im, że mają służyć carowi i cerkwi prawosławnej. Po 25 latach służby wojskowej rzadko wracali w rodzinne strony. Stawali się Rosjanami.

Bogdan Bernat

Wojciech POLAK, Sylwia GALIJ-SKARBIŃSKA, Michał DAMAZYŃ, *Najmłodszy bohaterowie. Historia polskich dzieci X-XXI w. Opowieści o walce i cierpieniu*. Wydawnictwo Biały Kruk, Kraków 2023.



Dariusz Skórczewski rozważa orientalizujące lub okcydentalizujące żywiły historyczno-kulturowe i geograficzno-polityczne, które kształtują odmienną kulturową społeczeństw i narodów, kultur i dzieł w naszej postsekularnej epoce. Konsekwencje politycznego podporządkowania i hegemonii ujmuje wieloaspektowo. Widzimy Polskę i Europę Środkowo-Wschodnią jako przestrzenie zdegradowane („peryferyjne”) w myśli zachodniej. Nie od dziś wiadomo, że na naszą część Europy świat patrzy przez pryzmat Rosji.

Książka stanowi najważniejszą współcześnie w polskim literaturoznawstwie koncepcję metodologiczną w zakresie „dyskursu postkolonialnego”. Jest on zawłaszczany przez ugrupowania lewicowe, nazywane „postępowymi”, gdyż kontynuują marksizm. Poszukiwanie prawdziwego i nowego zysku poznawczego polega na sięganiu do źródeł. Lubelski literaturoznawca ujmuje badane zjawiska kompleksowo i pluralistycznie. Głosi potrzebę dialogu, przeciwstawiając się dezintegracji ludzkiej wspólnoty oraz ideologicznej instrumentalizacji literaturoznawstwa. Przewycięża „przemoc epistemiczną”. Upomina się o podmiotowość procesu poznania na różnych poziomach i obszarach. Projektuje performatywny i sprawczy model uprawiania humanistyki. Powinna być ona czymś więcej niż transmisją założeń gotowych mód badawczych.

Na tożsamość narodów Europy Środkowo-Wschodniej wciąż oddziałuje historyczne doświadczenie utraty niepodległości. Rozważania metodologiczne wprowadzają do postkolonialnego czytania polskiej literatury od początków XIX do XXI w. Mimo braku własnej państwowości, polscy twórcy utrwalili obecność „międzypokoleniowej transmisji wartości”, a co za tym idzie, etnosu, który ustanawia empatia, gościnność i solidarność. Jest to dowód „nowoczesności” polskiej kultury, która ma wpisana w swój kod otwartość na Innego.

Studium o Conradzie potwierdza jego pionierstwo w przedstawianiu tragicznych rezultatów kolonializmu. Wrażliwość autora *Jądra ciemności* ukształtowało dziedzictwo logocentryzmu, czyli charakterystyczna dla polskiej tradycji kulturowej wiara w obiektywny i racjonalny porządek metafizyczny, z którego wynika trwały porządek moralny. Stąd bierze się postulat, aby twórczość Conrada badać w kontekście doświadczeń wschodnioeuropejskich wywodzących się z przeciwstawiania się „imperium zła”.

Bardzo interesujące jest studium o prozie Piotra Ibrahima Kalwasa, który jest przykładem postkolonialnego wyparcia. Istotnie, zarówno literaturę, jak i kulturę po roku 1989 zdominowały bardziej lub mniej radykalne odcięcie od chrześcijańskiej pamięci i tradycji kulturowej, co oczywiście wpłynęło na narracje i światy liryczne ostatnich trzech dekad.

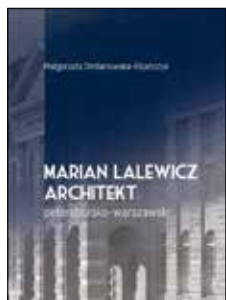
Zależność kolonialna od realnego hegemonu, tj. ZSR, utrwalana w latach 1944-1989, umocowała się głęboko w polskiej kulturze popularnej. Skórczewski zdemistyfikował „idole” powojennej Polski w brawurowych analizach seriali *Stawka większa niż życie* czy *Stawiam na Tolka Banana*. W perspektywie postkolonialnej obnażone też zostały strategie i manipulacje narracyjne w cyklu powieściowym Zbigniewa Nienackiego o Panu Samochoziku.

Kodą rozważań jest studium *Strach jako kategoria języka postkolonialności*. O kinie Wojciecha Smarzowskiego. Tytułowa kategoria konkretyzuje się w różnych sferach przeszładowczej pamięci historycznej i współczesnego doświadczenia społecznego. Wniosek przemyśleń ma charakter uniwersalistyczny. Filmy Smarzowskiego są spektakularnym przejawem procesu przewyciężenia „kolonialnego jądra”. Fantazmaty postkolonialne Polaków uświadamiają niezbywalność myśli Montaigne’a, że „Największa rzecz na świecie, to umieć należeć do siebie”. Kto jest sobą, nie zna strachu.

Zbigniew Chojnowski

Dariusz SKÓRCZEWSKI, *Fantazmaty skolonizowanych Polaków. Studia o tożsamości kulturowej*. Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 2023.

Życie i dzieło architekta



Autorka monografii, Małgorzata Omilanowska-Kiljańczyk, zaznacza we wstępie, że podczas pisania książki w dużej mierze korzystała z materiałów zebranych przez Roberta Pasiecznego, który przygotowywał opracowanie życia i twórczości Mariana Lalewicza. Przekazał je autorce, co było decyzją ze wszech miar słuszną. Jeżeli sam nie zdecydował się na opracowanie monografii, to oddał temat w ręce osoby chyba najbardziej kompetentnej w tej tematyce w środowisku polskich historyków sztuki.

Efektem jest praca wyczerpująco ukazująca dzieło wybitnego architekta, publicysty i pedagoga. Omilanowska wskazuje jednak, że z wielu powodów jest jeszcze dużo do zrobienia. Wybuch wojny na wschodzie spowodował, że nie mogła przeprowadzić wszystkich koniecznych kwerend w rosyjskich archiwach. Ale wskazywanie takich „braków” nie ma najmniejszego sensu. Powstała bowiem książka, która pozwoli czytelnikom zapoznać się z dorobkiem Lalewicza, książka, która – trzeba to wyraźnie stwierdzić – była bardzo potrzebna, a jak bardzo, możemy stwierdzić dopiero teraz, kiedy otrzymaliśmy ją do rąk.

Przed zarysowaniem treści książki należy zwrócić uwagę na to, że mamy do czynienia z bardzo porządnie metodologicznie przemyślaną i opracowaną pozycją. Nie jest to praca o publicystycznym zacięciu, ukazuje tło społeczne, historyczne oraz dzieje architektury tego okresu w stopniu większym niż to absolutnie konieczne. Autorka nie prezentuje – w pełni świadomie – analiz stylistycznych. W zamian możemy przeczytać bardzo dokładne omówienie, ułożone w porządku chronologicznym, dzieł wybitnego architekta, oczywiście uzupełnione informacjami o jego życiu.

Twórczość architektoniczną (tak samo jak i samo życie) Mariana Lalewicza można podzielić na dwa okresy. Wykształcenie zdobył w Petersburgu i tam też stawiał pierwsze kroki w zawodzie, biorąc udział w konkursach i projektując oraz wznosząc budynki nie tylko publiczne, lecz także prywatne wille. Osiągnął uznanie, czego dowodem jest fakt, że pomimo młodego wieku był twórcą wielu założeń i udało mu się osiągnąć samodzielność finansową.

Rewolucja bolszewicka przerwała tę wspaniałą zapowiadającą się karierę i zmusiła architekta wraz z rodziną do wyjazdu do Polski, do Warszawy, z którą związał się już do końca życia. Sama śmierć – został zamordowany przez Niemców podczas powstania warszawskiego – wiąże go ze stolicą w sposób niemożliwy do rozerwania.

Jednakże przybywając do Polski u progu odzyskania niepodległości, był zmuszony do rozpoczęcia kariery zawodowej niejako na nowo. Miał nawet rzekomo pracować jako „murzyn” w pracowni innego architekta. Ale wydaje się to raczej legendą. Z całą pewnością bardzo szybko osiągnął wysoką pozycję zawodową, czego dowodem są liczne projekty i zrealizowane założenia. Natomiast w latach trzydziestych jego działalność zawodowa straciła na intensywności, z jednej strony z powodu kryzysu ekonomicznego, ale drugą przyczyną była zmiana stylistyczna w polskiej architekturze, za którą nie umiał albo nie chciał nadążyć.

Marian Lalewicz, z ducha klasycysta, wywarł ogromny wpływ na krajobraz Warszawy. Zaprojektował przebudowę Pałacu Namiestnikowskiego, adaptację budynku Ministerstwa Skarbu przy placu Bankowym czy też Pałacu Szaszcza, a także opracował samodzielny projekt Dyrekcji PKP na warszawskiej Pradze, aby wymienić najbardziej znane jego założenia. Ale budował też poza stolicą; Lublin, Toruń, Gdynia są miastami, w których możemy spotkać dzieła tego twórcy. Bardzo często oglądający te interesujące budynki nie mają pojęcia, kto jest projektantem ich obecnego wyglądu. Książka Omilanowskiej nie tylko o nim przypomina, lecz także pozwala na poznanie dorobku architektonicznego II RP.

Juliusz Gałkowski

Małgorzata OMILANOWSKA-KILJAŃCZYK, **Marian Lalewicz. Architekt petersbursko-warszawski**, Narodowy Instytut Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą POLONIKA, Warszawa 2023.

Rola życia



Rozmowy o wyborze trenera w naszym kraju zazwyczaj zaczynają się od pytania: polski czy zagraniczny? Zwolennicy pierwszego rozwiązania przekonują, że rodzimy szkolenowiec będzie dobrze znał panującą u nas realia, co znacznie ułatwi mu pracę. Z kolei apologety drugiego modelu podkreślają, że tylko obcokrajowiec, niezależny i obiektywnie patrzący na sytuację, może przyczynić się do końcowego triumfu. Historia pokazuje, że oba rozwiązania mają podobną szansę, by się sprawdzić albo okazać się całkowitą pomyłką. Mimo

iz toczone w różnych gronach dyskusje często bywają gorące, rzadko kto pyta, jak naprawdę wygląda praca trenera. Co jako człowiek musi poświęcić i jak wiele rzeczy podporządkować, a z ilu zrezygnować, żeby móc dobrze wykonywać swoje zajęcia. Jak ułożyć sobie życie rodzinne, kiedy ciągle jest się na wyjazdach, zgrupowaniach czy treningach? Jakie cechy charakteru są potrzebne w tym wymagającym zawodzie?

Odpowiedzi na te pytania postanowił poszukać Piotr Chłystek. W tym celu zaprosił 15 szkoleniowców, którzy opowiedzieli mu o swojej drodze do upragnionych sukcesów. Rezultatem tych rozmów jest książka *Trener czyni mistrza*. Z pełnych szczerości wypowiedzi wylaniają się sylwetki osób o różnych temperamentach, zainteresowaniach i koncepcjach prowadzenia drużyn albo poszczególnych zawodników i zawodniczek. Tym, co rzuca się w oczy w każdym przypadku jest z pewnością niezwykła ambicja i całkowite oddanie swojej profesji.

Piotrowi Chłystkowi udało się nakreślić realistyczne portrety trenerów i trenerek z różnych dyscyplin sportu. Poznajemy ich jako ludzi z krwi i kości, którzy tak samo jak każdy z nas miewają trudne dni, czasami nie mogą porozumieć się ze swoimi podopiecznymi, tak samo przeżywają chwile zwątpienia i bywają zwyczajnie zmęczeni. Dowiadujemy się, jak wiele w ich życiu znaczy to, co robią. Trenerka piłkarek ręcznych Zagłębia Lubin Bożena Karkut wprost przyznaje: „Przeszłam wiele, za mną dużo trudnych chwil. Sport mi w nich pomógł, bo miałam do czego wracać. Ja dzięki niemu żyję”. Szkoleniowcy to ludzie mający wpływ na innych, potrafiący ukształtować zawodników i doradzić im w różnych wyborach, podkreśla w swojej wypowiedzi Aleksander Matusiński, trener lekkoatletyki. Paweł Słomiński, były coach Otylii Jędrzejczak i Pawła Korzeniowskiego, opowiada o tym, że nawet najpiękniejsza historia nie musi mieć szczęśliwego zakończenia. Inny z rozmówców, Tomasz Kryk, trener reprezentacji Polski w kajakarstwie kobiet, uświadamia nam, jak ważne jest, by szkoleniowiec dbał o wszystkie szczegóły, także o odpowiednią dietę podopiecznych. Maria Sajdak natomiast, trenerka sekcji wioślarskiej AZS AGH Kraków, z przekonaniem obala tezę o tym, że studenci są wyłącznie imprezowiczami. Jej zdaniem to bardzo szkodliwa opinia, bo młodzi ludzie potrafią zaangażować się na sto procent w sportowe zmagania. Z kolei przykład Joanny Fiodorow, trenerki mistrza olimpijskiego w rzucie młotem Wojciecha Nowickiego, stanowi przekonujący dowód na to, że była zawodniczka może świetnie się sprawdzić także w roli szkoleniowca.

Kiedy drużyna wygrywa, trenerzy są chwaleri i zostają pierwszoplanowymi bohaterami, kiedy natomiast przegrywa, to ich w pierwszej kolejności obwinia się o porażkę. Za sukcesami w sporcie stoją konkretni ludzie, na których barkach spoczywa odpowiedzialność za osiągnięcie satysfakcjonujących wyników. Bez nich z pewnością nie byłoby tylu medali zdobywanych na różnych imprezach. Piotr Chłystek oddaje im głos, po to by, jak sam przyznaje, nie odeszli w niepamięć. Cała książka natomiast „powstała z przekonania, że o pracy trenerów wciąż mówi się zbyt powierzchownie”.

Aneta Zawadzka

Piotr CHŁYSTEK, **Trener czyni mistrza. Opowieści o architektach sportowych sukcesu**, Ringier Axel Springer Polska sp. z o.o., Warszawa 2023, seria: Biblioteka Przeglądu Sportowego.



Leszek Szaruga

Zagęszczenie

Zagęszczenie i przyspieszenie zmian – do niedawna ledwo dostrzegalne, dziś jednak już uderzające swą intensywnością – musi siłą rzeczy doprowadzić do zasadniczych zmian w sferze nauki i edukacji. Ktoś niedawno przypomniał, że jakieś pół wieku temu nasze wyobrażenie o świecie, którego elementem jest drobna, skalista kulka, na jakiej żyjemy, było nieporównywalne z tym, co obecnie wiemy. Wszechświat zogromniał i odsłania coraz więcej zagadkowych zjawisk, o których wiedza być może pozwoli w relatywnie dalekiej, liczonej w tysiącach, a może dziesiątkach tysięcy lat przyszłości nam lub istotom, które na bazie, jaką stanowi obecna forma inteligentnego życia na naszej planecie, wydobyć się z ograniczeń skazujących na życie na zagładę. Pomijam, rzecz jasna, niepowstrzymaną jak dotąd tendencję do samozagłady ludzkości – to wydaje się mało interesujące, choć skądinąd dość prawdopodobne.

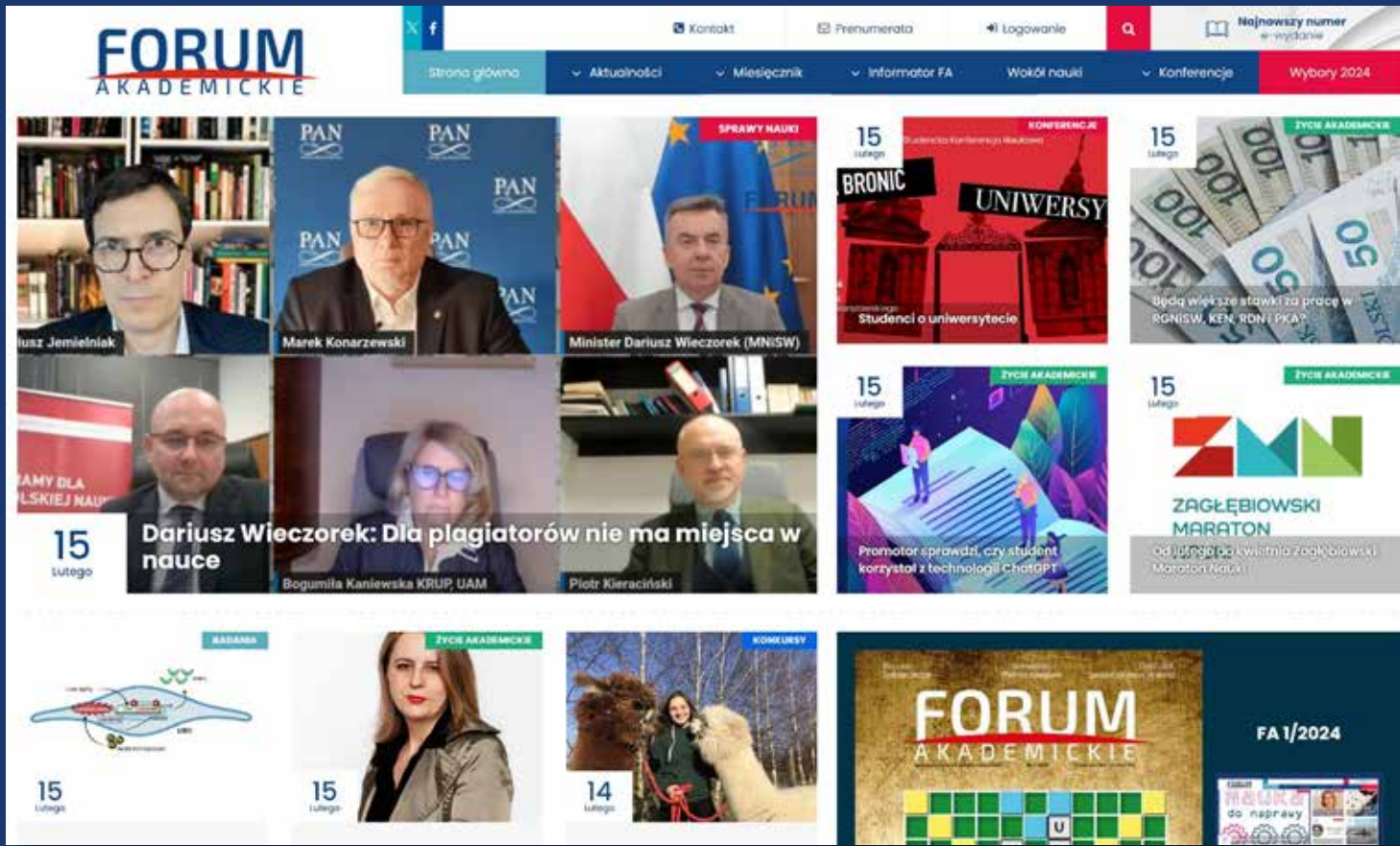
Proces, który w tej chwili powinien stać się przedmiotem szczególnej uwagi, to gwałtowny przyrost naturalny. W ciągu tylko mojego życia populacja ludzi, mimo wciąż i nieustannie toczonych wojen, wzrosła ponad dwukrotnie, a to oznacza, że przez sam ten fakt nastąpić musiało przyspieszenie badań naukowych we wszystkich dziedzinach. Procentowo zapewne liczba naukowo zatrudnionych jest niezmienna, ale w liczbach bezwzględnych jest przyrost ogromny, a tym samym wzrasta nie tylko ilość pisanych wierszy czy malowanych obrazów, ale też i wynalazków, w szczególności w sferze, że tak to w uproszczeniu nazwę, elektronicznej. Drobiazg: pół wieku temu rozmowę z Nowym Jorkiem musiałem zamawiać poprzez centralę międzynarodową i czekać na połączenie czasem kilka godzin, gdy dziś w każdej chwili i z dowolnego miejsca mogę rozmawiać ze znajomym spacerującym po Manhattanie. Internet pozwala mi przeglądać zdjęcia robione przez teleskop Webba, ukazujące obrazy kosmosu sprzed 12 miliardów lat. Już nie mówię o takich udogodnieniach jak płacenie blikiem...

To tylko pierwsze z brzegu przykłady. Ale właśnie te przykłady uświadamiają mi, że noszę w kieszeni nie tylko telefon, lecz także filmotekę, bibliotekę, wszelkie encyklopedie, a nawet już podręcznego tłumacza, nie mówiąc o zasobach muzycznych. Mam natychmiastowy dostęp do wiedzy, a to mnie zwalnia z konieczności wbijania jej sobie w pamięć. Natomiast bez wątplenia powinienem się kształcić w sposobach wykorzystywania tych możliwości. No może ja już nie, ale moi studenci i studentki na pewno. Być może za chwilę nie będzie możliwe zdobycie podstawowego wykształcenia bez umiejętności pro-

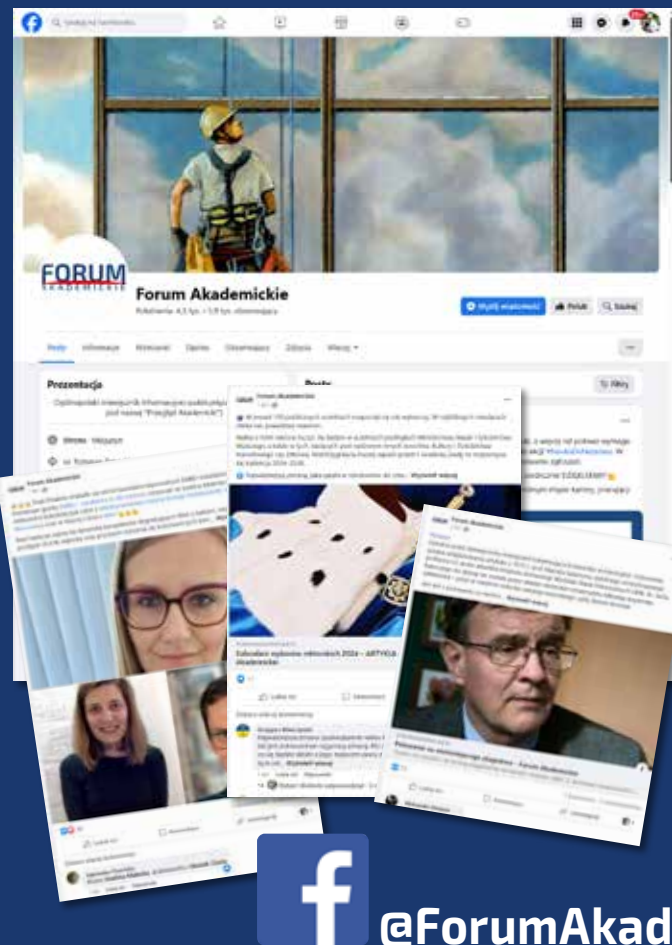
gramowania – o ile wiem, jeszcze to nie jest konieczne. Ale mamy też do czynienia z gigantycznym przyrostem informacji liczonej już w quettobajtach (10^{30}) lub quectobajtach (10^{-30}). Jak tę informację porządkować, by móc ją skutecznie wykorzystywać? Znajdą się specjaliści także od tego, w ogóle najbliższa przyszłość zapowiada mnóstwo zmian w tej dziedzinie: nowe zawody, dawne będą praktykowane jako rodzaj „rękodziela”. Ale nie ulega kwestii fakt, że bardzo dalekim zmianom ulegną programy nauczania, wciąż pokutujący model XIX-wieczny całkowicie się już wyczerpał. Zmiany wszakże muszą objąć całość procesu kształcenia: od przedszkoli po szkoły doktoranckie (jeśli ten model się utrzyma).

Temu wszystkiemu towarzyszyć będą daleko idące zmiany społeczne, co także nie pozostanie bez wpływu nie tylko na pojmowanie ludzkiej tożsamości – gatunkowej i indywidualnej – ale również lokalnej. Przyznam, że gdy słucham dyskusji na temat nieudanych prób stworzenia społeczności wielokulturowej, ogarnia mnie śmiech. Gdy spojrzę z dystansu, widać wyraźnie, że świat jest wielokulturowy, pytaniem natomiast zasadniczym jest zagadnienie stworzenia tym wielu kultur, pozostającym obok siebie, ale i mieszącym się z sobą, warunków możliwie bezkonfliktowej koegzystencji. Ucieczki przed tym nie ma, nie do zatrzymania jest napływ imigrantów głównie na osi Południe-Północ (a przyzwyczajeni jesteśmy rozglądać się ze wschodu na zachód), i nie chodzi nawet o „biedne Południe”, bo nie tylko bieda będzie napędzać ruchy mas ludzkich, choć i ten czynnik ma oczywiście swoje znaczenie. Tym bardziej to oczywiste, że społeczeństwa Północy w dość szybkim tempie się starzeją – ktoś będzie musiał zarobić na ich egzystencję.

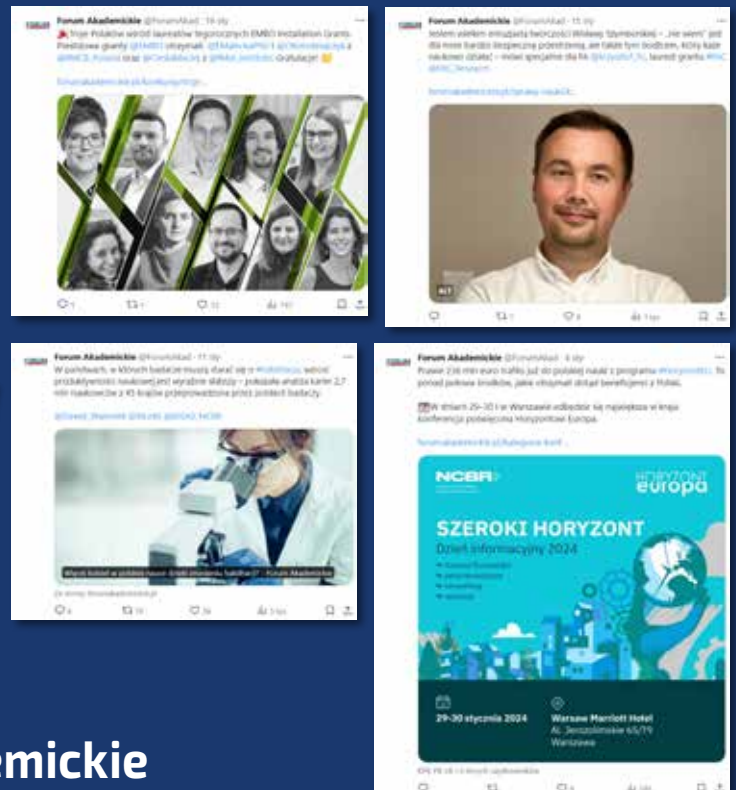
Żyjemy obecnie w okresie przełomu, który zapewne będzie się charakteryzował mniej lub bardziej odczuwalnymi wstrząsami społecznymi, być może nawet chaosem. W stosunkowo krótkim okresie świat przeszedł bardzo gwałtowne przemiany, począwszy od fali ruchów dekolonizacyjnych, poprzez rozpad dwubiegunowego układu sił, aż po gigantyczną rewolucję technologiczną ostatniego ćwierćwiecza. W tym wszystkim coraz bardziej bezradni, skazani na działania reaktywne, a tym samym skuteczne jedynie doraźnie, są politycy, w większości pozbawieni wyobraźni i z uporem, jak choćby w kwestiach przemian klimatycznych, zaprzeczający ustaleniom nauki. Ale, jak zwykle, życie będzie się toczyć dalej i może uda się uniknąć globalnej anarchii.



www.forumakademickie.pl



 @ForumAkad



 @ForumAkademickie



70 LAT TRADYCJI

**30 LAT
UNIwersYTETU
OPOLSKIEGO**

Fotografie: Uniwersytet Opolski

